

Nowe Zagłębie

Czasopismo
społeczno-kulturalne

nr indeksu

252352

nr 4 (4/28) lipiec–sierpień 2013

cena 7 zł zawiera
8% VAT

**Pierwsze szkoły na wsiach
pogranicza śląsko-małopolskiego**
Jacek Malikowski

Wakacje w Zagłębiu
Paulina Budna

Skazana na życie, skazana na śmierć
Michał Sobelman

FELIETONY

Jadwiga Gierczycka,
Michał Kręcisz, Andrzej Wasik

WYWIADY

Tadeusz Sławek,
Dariusz Rekosz

PORADY PRAWNE

Jacek Chomicz

POEZJA

Małgorzata Południak

PITAWAL

Henryk Kocot

ZAGŁĘBIARKA

70. ROCZNICA LIKWIDACJI BĘDZIŃSKIEGO GETTA



Fot. arch. Muzeum w Sosnowcu



Nowe Podyplomowe Studia Dziennikarskie

Czas trwania: 2 semestry

CEL STUDIÓW Podyplomowe Studia Dziennikarskie przygotowują wykwalifikowanych pracowników wszelkich mediów oraz specjalistów public relations w zakresie współpracy z mediami. Skierowane są również do wszystkich, którzy po prostu chcą skutecznie komunikować się z innymi. Celem zajęć jest zapoznanie słuchaczy z narzędziami, którymi posługują się współczesne środki masowego przekazu. Podczas studiów słuchacze pod okiem specjalistów wypracują sposoby pracy oparte na własnych kompetencjach oraz indywidualnym stylu. Słuchaczami mogą być absolwenci studiów wyższych dowolnego kierunku i uczelni

ATUTY STUDIÓW prowadzący – znani praktycy i teoretycy ● nasze długoletnie doświadczenie ● znakomite zaplecze: zajęcia w studiu nagraniowym, redakcjach; efekty trzech typów zajęć warsztatowych są zamieszczane w portalu multimedialnym. ● zajęcia praktyczne: ponad 70% programu ● ponad 200 godzin zajęć dydaktycznych w formie interaktywnych wykładów, seminariów, ćwiczeń oraz warsztatów.

PROGRAM

Blok przedmiotów — wiedza ogólna

Komunikowanie masowe ● Media w Polsce i na świecie ● Prawo prasowe i autorskie ● Warsztat językowy dziennikarza ● Etyka mediów

Blok przedmiotów specjalnościowych (Reklama i PR — elementy teorii i praktyki; Dziennikarstwo polityczne)

Reklama, promocja, public relations ● Rzecznictwo prasowe ● Opinia publiczna i jej badanie ● Analiza kampanii wyborczych ● Retoryka i analiza dyskursu publicznego ● Coaching i planowanie ścieżki kariery medialnej

Warsztaty

Dziennikarstwo prasowe w epoce multimediów Gatunki informacyjne, artykuł, felieton, recenzja, reportaż, wywiad; zapoznanie z pracą redakcji.

Dziennikarstwo radiowe Praca z mikrofonem, nagrywanie, montaż, symulacje rzeczywistych sytuacji; techniki prowadzenia wywiadów; próby prowadzenia audycji radiowych; pisanie i przedstawianie felietonów i komentarzy.

Dziennikarstwo telewizyjne Praca z kamerą: wystąpienia w kadrze, rozmowy itp.

Opłata za studia: 1850 zł semestr

Liczba miejsc: ograniczona (decyduje kolejność zgłoszeń)

Data rozpoczęcia: październik 2013 r.

Termin i miejsce składania dokumentów:

do 5 października 2013 r.

40-007 Katowice, ul. Bankowa 11, p. 307 i 304 B

tel.: 32/3591362, fax: 32/3591362

Przed złożeniem dokumentów prosimy

o kontakt w sprawie zainteresowania ofertą.

Kontakt w sprawie naboru:

dr Paweł Sarna

e-mail: pawel.sarna@us.edu.pl

tel. kom. 505686908



Szanowni Państwo!

Jak co roku, między 19 kwietnia a 16 maja obchodzono uroczystości powstania w getcie warszawskim. 70 lat temu również w dwóch największych miastach Zagłębia Dąbrowskiego: Będzinie i Sosnowcu przystąpiono do likwidacji gett.

Mamy obowiązek pamiętać o ważnych lokalnych wydarzeniach, do których niewątpliwie należy tragiczny koniec jednej z największych diaspor ludności żydowskiej w Zagłębiu Dąbrowskim. Będzin upodobał sobie Żydzi osadzający się od XV wieku w Polsce. Osadnictwo żydowskie w Sosnowcu rozpoczęło się wraz z rozwojem gospodarczym w połowie XIX w. Tworzyło ono ważną część wielokulturowej społeczności mieszkańców.

Struktura etniczna Sosnowca była inna niż Będzina, a tworzyli ją Żydzi, Rosjanie oraz Niemcy, których ślady odnajdujemy na cmentarzu czterech religii przy Mireckiego. W przypadku Będzina społeczność miejska była w zasadzie dwunarodowa, stanowili ją Polacy oraz Żydzi, którzy przeważali w różnych okresach. W czasie II wojny światowej okupant niemiecki na terenie naszych miast utworzył getta dla Żydów, nie tylko miejscowych, ale pochodzących z wszystkich ościennych miast i gromad zagłębiowskich oraz kilku miast śląskich. Pod koniec 1942 r. Sosnowiec i Będzin były jedynymi miastami w Zagłębiu Dąbrowskim zamieszkałymi przez Żydów. Łącznie przez getta sosnowieckie i będzińskie przewinęło się ok. 80 tys. Żydów, którzy w zdecydowanej większości zostali wywiezieni do obozów koncentracyjnych, głównie Oświęcimia. Zmasowany wywóz Żydów rozpoczął się w marcu 1943 r. i trwał do sierpnia. Gdy 1 sierpnia 1943 r. rozpoczęła się ostateczna akcja likwidacyjna gett w Będzinie i na Środuli w Sosnowcu, ruch oporu odpowiedział akcją samoobrony ludności znaną jako powstanie w getcie będzińsko-sosnowieckim. Ostatnia grupa będzińskich Żydów została wywieziona w lipcu 1944 r.

Dla upamiętnienia tego tragicznego wydarzenia Gmina Wyznaniowa Żydowska w Katowicach oraz Fundacja Brama Cukermana zapraszają na obchody 70. rocznicy likwidacji będzińskiego getta 28 sierpnia 2013 r.

Kończąc problematykę tego bolesnego historycznego wydarzenia, zapraszam do lektury tekstu poświęconego tragicznej historii Żydówki z Będzina – Chajki Klinger. Autorem artykułu jest rzecznik prasowy Ambasady Izraela – Michał Sobelman, rodowity sosnowiczanie, uczeń LO im. Staszica.

Zapraszam do lektury

Marek Barański



Spis treści

Wyzwolić lokalną energię.....	2
Wakacje w Zagłębiu	4
Perski dywan.....	6
Skazana na życie, skazana na śmierć	9
Moda na modernizm, czyli będzińskie oblicze „architektury nowoczesnej”	14
Co przyszły dziennikarz wiedzieć powinien	18
Pierwsze szkoły na wsiach pogranicza śląsko-małopolskiego	19
Polska mowa – trudna mowa?	22
PITAVAL	23
POEZJA	24
Historia w szkle	25
ZAGŁĘBIARKA	28
FILM	33
Siadamy z kulturą	34
RECENZJA	36
FELIETON	39
Król na emeryturze – niech żyje król!	41
Komu w drogę, temu czas, czyli z podróży w nieznane	43
III wojna światowa – scenariusz niedokończony ..	45
Lotnisko w Klimontowie	47
REGION	48

Nowe Zagłębie – czasopismo społeczno-kulturalne • Redaguje kolegium w składzie: Marek Barański – redaktor naczelny, Paweł Sarna – sekretarz redakcji, Maja Barańska, Ewa M. Walewska, Tomasz Kowalski – redakcja techniczna • Adres redakcji: 41-200 Sosnowiec, ul. Będzińska 65, tel./fax: + 48 32 788 33 62 do 63, + 48 512 175 814 • e-mail: redakcja@nowezaglebie.pl, www.nowezaglebie.pl • Wydawca: Związek Zagłębiowski • Współpracownicy: Zbigniew Adamczyk, Edyta Antoniak-Kiedos, Paulina Budna, Przemysław Dudzik, Robert Garstka, Henryk Kocot, Karol Kućmierz, Krzysztof M. Macha, Dobrawa Skonieczna-Gawlik, Piotr Smereka, Jerzy Suchanek, Joanna Wójcik • Felietoniści: Zbigniew Adamczyk, Jadwiga Gierczycka, Michał Kręciś, Jerzy Suchanek, Andrzej Wasik • Druk: Progress Sp. z o.o. Sosnowiec • Nakład: 1000 egzemplarzy • Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo ingerencji w teksty zamówione. Reklamę można zamawiać w redakcji; za treści publikowane w reklamach redakcja nie ponosi odpowiedzialności • Zasady prenumeraty „Nowego Zagłębia”: Prenumeratę krajową lub zagraniczną można zamawiać bezpośrednio w redakcji lub e-mailem • Cena prenumeraty półrocznej (przesyłanej pocztą zwykłą) – 3 wydania – 20 złotych, rocznej – 40 złotych • Prenumerata zagraniczna przesyłana pocztą zwykłą – 3 wydania – 60 złotych, roczna – 120 złotych • Wpłaty na prenumeratę należy dokonywać na konto: Związek Zagłębiowski, Bank Gospodarki Żywnościowej S.A., 54 2030 0045 1110 0000 0256 2940

Informujemy, iż Redakcja czasopisma „Nowe Zagłębie” nie bierze odpowiedzialności za poglądy Autorów piszących na naszych łamach. Jesteśmy otwarci na wszystkie opinie i przekonania oraz staramy się, aby były one reprezentatywne dla szerokiej grupy odbiorców naszego periodyku.



Druk i upowszechnianie czasopisma „Nowe Zagłębie” są współfinansowane przez Samorząd Województwa Śląskiego, gminę Sosnowiec, gminę Zawiercie Powiat Będziński



Śląskie. Pozytywna energia

Wyzwolić lokalną energię

Z Profesorem Tadeuszem Sławkiem rozmawiają Paweł Sarna i Karol Kućmierz

Książka Pana Profesora „NICowanie świata. Zdania z Szekspira” otrzymała nagrodę im. Andrzeja Siemka, przyznawaną przez miesięcznik „Literatura na Świecie” za najlepsze przekłady. Chyba przy tej okazji warto przypomnieć Czytelnikom, że wśród autorów, którymi się Pan interesował znaleźli się także autorzy spoza kręgu literatury angloamerykańskiej, między innymi Georg Trakl czy – wcześniej – Fryderyk Nietzsche.

Rzeczywiście wyrosłem głównie z kręgu literatury angloamerykańskiej, natomiast wątek niemiecki się pojawił przy okazji poszukiwania narzędzi do interpretacji literatury, która wymaga nowych odczytań. Wybór takiego myśliciela jak Nietzsche był dość oczywisty, bo literatura dotycząca jego dorobku jest tak ogromna, że dzisiaj jego roli nikt nie kwestionuje, ale proszę pamiętać, że jeszcze nie tak dawno temu pozycja Nietzschego była mocno dwuznaczna, z kilku powodów, głównie za sprawą dość niefortunnych zaszłości historycznych – przypisywano mu związki z pewnymi poglądami faszystowskimi, co było zupełnie mylne. Powstały bardzo piękne, poetyckie polskie przekłady, ale to były przekłady młodopolskie. Nietzsche, Trakl, a jeszcze wcześniej Hölderlin – nie było tutaj klucza literatury ani języka, to był raczej splot, klucz pewnego rodzaju myślenia. Język tu był rzeczą wtórną.

Nie tak dawno ukazał się w Instytucie Mikołowskim zbiór wierszy Trakla, co wydaje mi się przedsięwzięciem bardzo poważnym. Spoglądając na początki działalności tej placówki, widać ogromny progres. Instytut jest marką, która chociaż lokalna, staje się ogólnopolską. Zgodzi się Pan z tą opinią?

Rola Instytutu jest ogromna. To przedsięwzięcie – w najlepszym tego słowa znaczeniu – ilustrujące siły i możliwości lokalizmu. Wyrasta ono z jednej strony z kontynuacji bardzo wyrazistej tradycji Rafała Wojaczka – Instytut mieści się w jego mieszkaniu – a później rozwinął go już nieżyjący Paweł Targiel, który także był ważną figurą dla Mikołowa. Widać wyraźnie, jak coś, co się zaczęło lokalnie, rozciąga się coraz szerzej. To jest właśnie najfajniejsze i najbardziej wartościowe w lokalizmie. Nie oznacza on w żadnej mierze separacji ani ograniczenia się tylko do tego, co tu. Jest to próba lepszego zrozumienia tego, co jest tu, poprzez

wysłanie tego „tu” w świat. „Tu” potem powraca wzbogacone o różne echa, które przynosi z sobą z tej dalekiej wędrówki. Rola takich instytucji jak Instytut Mikołowski czy prowadzona przez Krzysztofa Czyżewskiego Krasnogruda i Fundacja Pogranicze jest



Prof. Tadeusz Sławek. Fot. K. Kućmierz.

bezcenna, bo pozwalają one pokonać taką sztywną dialektykę, opozycję: lokalne-globalne. One są lokalne, ale przecież ich zasięg jest grubo nielokalny. To napięcie lokalne-globalne istnieje, ale można na nie spojrzeć w sposób znacznie bogatszy niż tylko takie proste przeciwstawienie, w którym jedno jest dobre, a drugie złe, w zależności od punktu widzenia. Przedsięwzięcia takie jak Instytut Mikołowski to szansa na bogatsze spojrzenie na rzeczywistość.

Skoro już poruszyliśmy kwestie instytucji, które są jakoś wrośnięte w swoje otoczenie, to taką instytucją jest niewątpliwie Uniwersytet, ale z tym jest pewien problem. Obecnie kładzie się coraz większy nacisk na to, żeby wykształcenie było porównywalne w całej Europie, a co z jego aspektem regionalnym?

W pewnym sensie to napięcie między lokalnym i powszechnym jest wpisane w Uniwersytet, bo z jednej strony to jest uniwersytas, czyli coś, co jest wspólne i powszechne, a z drugiej strony ma on zawsze jakieś dodatki, imię, patrona, ostatnio pojawiła się też bardzo niefortunna tendencja uniwersytetów przymiotnikowych, typu Uniwer-

sytet Ekonomiczny czy Uniwersytet Muzyczny, więc to wszystko się teraz mgli i przyćmiewa. W napięciu między powszechnym a lokalnym z definicji nie ma nic złego i ono zawsze istniało, natomiast inną rzeczą jest to, co my robimy z Uniwersytetem Śląskim, który w tym sensie jest modelowy, że ma w tytule nazwę regionu. Tutaj wrzucam kamyczek do własnego ogródka: pewnie nie zrobiliśmy wystarczająco wiele i nie przynosi nam chyba zaszczytu to, że na Uniwersytecie nie ma jakiegś wyspecjalizowanej jednostki, która by zajmowała się właśnie tym, czym jest Śląsk, badałaby go w sposób interdyscyplinarny. Zajmują się Śląskiem historycy i geografowie, ale przecież region to jest coś więcej niż tylko historia i geografia, region jest fenomenem znacznie bardziej złożonym i skomplikowanym. Nie dopracowaliśmy się takiej jednostki, która byłaby miejscem, gdzie mogłyby się ścierać i uciierać rozmaite poglądy, różne szkoły myślenia, i mówić o Śląsku. Istnieją powieści niemieckie o Katowicach i okolicy, a do dziś nie doczekaliśmy się ich przekładów na język polski.

Taka świadomość dopiero musi się przebić.

Ja nad tym ubolewam, że czegoś takiego nie mamy, pewnie trochę też z ostrożności, bo myślenie regionalistyczne w Polsce przebija się z bardzo dużym trudem i oporami. Ono jeszcze wewnątrz ma swoje napięcia, pamiętajmy, że jesteśmy tutaj siostrzanie i bratersko związani z Sosnowcem, ale Zagłębie widzi wyraźnie swoje odrębności. Na to się nakłada jeszcze cała zaszłość zaborowa, której ślady wciąż widać wyraźnie. To myślenie przebija się z trudem i niestety staje się łupem ideologów politycznych, którzy z różnych pozycji chcą na tym zbić polityczny kapitał.

Bardzo się liczy też na to, że najgłośniejszą będą mówić w tej sprawie humaniści.

Proszę jednak pamiętać, że w tej chwili humanistyka jest w ogóle trochę w narożniku, traktowana jako rzecz mało „użyteczna” lub jako element „ozdobny” nadbudowany nad „prawdziwym” życiem.

Wiele się teraz mówi, że kierunki humanistyczne właściwie tylko produkują kolejnych bezrobotnych.

Jaką strategię powinny podjąć w związku z tym władze uczelni, trzymać się tradycji czy może podążać w stronę pewnej interdyscyplinarności?

Edukacja przeduniwersytecka i uniwersytecka właściwie zawsze myślały o sobie trochę osobno, nawet do dziś należą do osobnych ministerstw, podczas gdy w istocie nie ma takiej rozłączności między tymi dwoma systemami. Politechnika czy jakakolwiek wyższa uczelnia jest odbiorcą człowieka, który jest już właściwie w dużej mierze ukształtowany przez szkołę. Dzisiaj, kiedy patrzymy na reformę ministra Handkego, której całe koło się już obróciło, to trudno by było znaleźć kogoś, kto by bronił wyników tej reformy w sposób zdecydowany. Już w liceum gubi się to, co jest istotą humanistyki, a mianowicie zdolność do myślenia ponad granicami, łączenia faktów z różnych dyscyplin – to jest siła humanistyki. Tymczasem w liceum, według nowego programu, panuje od samego początku pewien rodzaj specjalizacji, uczeń musi sobie coś wybrać. Nawet jeśli jest humanistą, to w zasadzie duża część tej podstawy do pracy humanistycznej zostaje odjęta. Uniwersytet z kolei ma swoją strukturę, ale struktura ta niedokładnie już odpowiada kierunkom studiów. Dzisiaj próbuje się robić wiele rzeczy inter-, wiele rzeczy trans-, wiele rzeczy ponad dyscyplinami, i tak trzeba zrobić. Oczywiście osobną kwestią jest to, do jakiego stopnia cały gorset administracyjny jest w stanie uporać się z tymi problemami. Niefortunną karierę zrobił też przymiotnik „użyteczny”. Daliśmy go sobie kompletnie wydrzeć biurokratom, którzy użyteczność mierzą natychmiastowymi miernikami, użyteczne jest coś, co się przekłada na punkty, na korzyści, coś, co jest wymierne, kwantyfikowalne. To jest tylko jeden wąski sposób rozumienia słowa „użyteczne”. Myślę, że głęboka edukacja, taka prawdziwa edukacja, polega na tym, że w dużej mierze użyteczność pewnych rzeczy, których człowiek się nauczył, wychodzi dopiero po latach, ona „się odkłada” w człowieku, przyczyniając się do tego, że staje się on w ten sposób bardziej doświadczonym, mądrzejszym, lepiej reagującym, lepiej się uczącym rzeczy wyspecjalizowanych. Krótko mówiąc – padliśmy ofiarą odwrócenia kolejności. Obecnemu systemowi zarządzania edukacją wydaje się, że przygotowany zawodowo człowiek będzie dobrze ukształtowanym człowie-

kiem. Tymczasem właściwie jest odwrotnie: dopiero dobrze ukształtowany człowiek może w pełni wykorzystać swoje umiejętności zawodowe. Czym się kończy odwrócenie tej kolejności, to wiemy – mamy bezdusznych sędziów, bezdusznych lekarzy, dla których pacjent jest nosicielem symptomów, ale nie potrafiących tego pacjenta wysłuchać. Wysłano również bardzo wyrazisty sygnał, że więcej stypendiów, więcej dotacji idzie na to, co się w skrócie nazywa „info-nano-techno”, i słusznie, bowiem nie wolno lekceważyć tak istotnych dziedzin studiowania i pracy. Ale historia uczy, że społeczeństwo zyskuje na tego rodzaju umiejętnościach, gdy wystają one z bogatego zaplecza poważnego i wszechstronnego związku jednostki ze światem. To humanistyka wspomaga takie zaplecze mądrze kotwiczące człowieka w świecie.

Powracając do wątku napięcia pomiędzy lokalizmem a globalizmem, warto zapytać, jak w tym układzie umiejscowić coraz bardziej wszechobecne festiwale?

Przypominają mi się moje doświadczenia z dwóch lat, kiedy pracowaliśmy tu z grupą ludzi nad projektem „Katowice – Europejska Stolica Kultury 2016”. W dużej mierze zaczyna się od tego, co jest lokalne. Wielkim plusem tego projektu było właśnie to, że bardzo wyraziście ujawniły się energie tkwiące tutaj, na miejscu, i te energie zaczęły poszukiwać sobie ujścia i przyciągać też ludzi z zewnątrz. Postawiłbym taką tezę, że ten pierwszy impuls bierze się z tego, co miejscowe. Możemy myśleć o kulturze jakiegoś miejsca w kategorii wielkich eventów, ale czy to wielkie eventy, które się zdarzają kilka razy do roku, tworzą kulturę danego miejsca? Ja mam pewne wątpliwości. One są potrzebne, ale o tyle, o ile odpowiadają na jakies zapotrzebowanie, które zostało tutaj zrodzone, stąd się

wzięło. Festiwal Rawa Blues czy Off Festival to są dobre przykłady, które przyciągają dzisiaj nazwiska z całego świata, ale one się wzięły stąd, zaczynały się jako przedsięwzięcia lokalne.

To wspólna idea, do której inni będą mogli dołączyć. Konkurs ESK 2016 również sprawił, że coś się wyzwoiliło.

Właściwie wiele miast – Sosnowiec, Chorzów, Ruda Śląska i inne – poparło to zamierzenie. Zupełnie inną sprawą jest to, że kompletnie poszkapiliśmy inny projekt, który się nazywa Metropolia. To przedsięwzięcie co jakiś czas ożywa, ale ożywa z tak słabą energią, że moim zdaniem jest zupełnie przegrane. Jeżeli już tyle lat się o tym mówi, a wielka polityka temu nie pomaga, bo przepisy są dość kulawe w tej materii, ale jeżeli przez tyle lat nie potrafiliśmy się dogadać co do jednego biletu komunikacyjnego, to świadczy bardzo niedobrze o nas, naprawdę. To, że poszkapiliśmy metropolię, to jest duży grzech tutejszych polityków.

Na zakończenie zapytamy o wakacyjne plany Pana Profesora.

Wakacje są domowe, ponieważ zajmujemy się trójką wnuków (śmiech). One są jeszcze zbyt małe, żeby wybierać się z nimi na jakieś dalekie eskapady, więc jesteśmy lokalnie, w okolicy – takie wakacje regionalistów. **Dziękujemy za rozmowę.**



ekspresowy
DRUK
już od
1 sztuki!

GRAFPRINT
Group

GRAFPRINT Sp. z o.o.
ul. Lwowska 19b
41-200 Sosnowiec

tel.: 32/ 290 06 90/91
e-mail: biuro@grafprint.pl
www.grafprint.pl

Wakacje w Zagłębiu Paulina Budna

Lato powoli dobiega końca. Uczniowie szykują się do powrotu do szkoły, studenci rozkoszują ostatnim miesiącem wakacji. Nie wszystkim dane było je spędzić na egzotycznej wyspie lub za granicą. To nie znaczy, że ich wakacje w mieście były gorsze.

Od kilku lat wiele miast Zagłębia Dąbrowskiego szykuje ofertę dla swoich mieszkańców pozostających w domu podczas wakacji. Z roku na rok jest ona coraz bardziej urozmaicona i skierowana do szerszej liczby odbiorców. Zdecydowanie należy pochwalić inicjatywy, które sprawiają, że wakacje w mieście przestają kojarzyć się ze smutnym oglądaniem telewizji, a zamieniają w pełną przygód zabawę. Jeśli przez dwa letnie miesiące nie wybieramy się do żadnych miejscowości wypoczynkowych, należy stworzyć je sobie na miejscu. Dobrym kandydatem na wakacyjne miejsce marzeń, znanym już nie tylko Zagłębiakom, jest kompleks jezior Pogoria. Najbardziej znaną i obleganą jest Pogoria 3, gdzie można wypocząć na plaży, wykapać się, ale też pojeździć rowerami, popływać kajakami i żaglówkami, motorówkami itp. Możliwości jest mnóstwo, potrzebny jest tylko odpowiedni sprzęt, który można wypożyczyć w ośrodku przy jeziorze. Pogoria 4 i 2 to idealne miejsca na wycieczki rowerowe i rollkowe. Stowarzyszenie Rowerowa Dąbrowa proponuje wszystkim zapalonym kolarzom kilka ciekawych wycieczek, nie tylko w obrębie miasta. Podobny cel ma w założeniu Sosnowiecka Roweriada organizowana na przełomie lipca i sierpnia. Oczywiście, nie można zapomnieć o cotygodniowych zajęciach ruchowych na terenie Pogorii 3, tzn. fitness i nordic walking. Dla spragnionych adrenaliny swe podwoje otwiera sosnowiecki Poziom 450 – klub wspinaczkowy i sala gimnastyczna stworzona w byłej Kopalni Sosnowiec. Zwolennicy leniwych wakacji oprócz plaży na

Pogorii mają do dyspozycji również dąbrowski Park Zielona, park w Kazimierzu Górniczym, park w Będzinie, otwarte kąpieliska w Sosnowcu oraz konkurencyjny Zalew Sosina w Jaworznie z bardzo dobrą infrastrukturą.

Akcja „Lato w mieście”, propagowana przez każdą większą miejscowość

Nad Pogorią. Fot. J. Bratko-Litynska



Piesza wycieczka krajoznawcza na Jurze. Fot. J. Bratko-Litynska

w Zagłębiu, skierowana jest głównie do dzieci i młodzieży. W jej ramach dzieciaki, które nie załapały się na kolonie lub wakacje poza domem, mogą aktywnie wypocząć w miejscu swojego zamieszkania. Kluby osiedlowe i miejskie domy kultury proponują swoim małym mieszkańcom liczne warsztaty, np. rękodzieła, literackie, plastyczne, muzyczne, taneczne oraz wycieczki, konkursy i mnóstwo innych atrakcji. Pływalnie i aquaparki w Dąbrowie Górniczej i Łazach przygotowały liczne zajęcia dla dzieci i młodzieży. Aktywnie można spędzić czas również na boiskach oraz kortach tenisowych. Dla nieco bardziej leniwych miasta mają bogatą ofertę kulturalną. Letnie kina plenerowe to już nie tylko domena stolicy Zagłębia, ale również mniejszych miast ościennych. Pod chmurką, w dobrym towarzystwie można spędzić kilka godzin, oglądając film, który akurat przegapiliśmy w kinie. Lista filmów jest bardzo ciekawa, wystarczy wymienić „Autora widmo”, „Jestem Bogiem”



Sosnowiec Stawiki. Fot. I. Czechowicz.

czy kultowe polskie komedie, m.in. „Misia”. Dla dzieci placówki kulturalne również przygotowały zajęcia, biblioteka w Dąbrowie Górniczej organizuje „Kowbojskie Lato”, którego największą atrakcją ma być wycieczka do Miasteczka Twinpigs w Żorach. W Sosnowcu miłośnicy zagadek detektywistycznych i kryminałów odnajdą coś dla siebie. Natomiast Muzeum w Będzinie proponuje podróż do odległych czasów i zabawę w archeologa. Dodatkowo biblioteka w Sosnowcu organizuje spotkania ze współczesnymi pisarzami dla dzieci, m.in. Dariuszem Rekoszem.

Oferta instytucji kulturalnych zdaje się niewyczerpana. Zagłębie jest pełne ciekawych zakątków, które warto zwiedzić latem. Zamek w Będzinie zaprasza mieszkańców do odwiedzin. Podobnie Zamek w Siewierzu organizujący Turniej Rycerski czy najstarsza karczma Austeria w Sławkowie. W okolicy można zwiedzić również kopalnię ćwiczebną w Dąbrowie Górniczej oraz Zamek w Ogrodzieńcu. Jeśli wybierzemy się trochę dalej od domu, do gminy Niegowa, naszym oczom ukażą się dwa wspaniałe zamki umieszczone na Szlaku Orlich Gniazd: Bobolice oraz Mírów. Od-

dalone od siebie o kilka kilometrów są idealnym miejscem na całodniową wycieczkę. Zamek w Bobolicach został całkowicie odrestaurowany i prezentuje się naprawdę wspaniale na tle okolicznej przyrody. Ruiny zamku w Mirowie wciąż czekają na odbudowę, jednak nawet w takim stanie są niezwykłą atrakcją dla wszystkich zwiedzających.

I wreszcie coś dla nieco starszych. Lato to świetny czas na organizowanie wszelkiego typu imprez plenerowych. Mnożą się festiwale i koncerty. Warto wspomnieć o Festiwalu Energii w Jaworznie, na którym po raz kolejny wystąpili najlepsi polscy ar-

Wycieczka rowerowa – Będzin Grodziec. Fot. J. Bratko-Litynska.



Spływ Białą Przemszą. Fot. J. Bratko-Litynska.





Zjazd na linie w Podzamczu. Fot. J. Bratko-Litynska

tyści, m.in. Kult i Lady Pank. Natomiast w Sosnowcu odbyła się już trzecia edycja Festiwalu Eskalator; którego gwiazdą w tym roku była Ewelina Lisowska. Do imprez plenerowych zaliczyć można także wyścig Tour de Pologne, który zawitał do Zagłębia Dąbrowskiego 31 lipca. Najlepsi kolarze świata mieli okazję pokazać się zagłębiowskiej publiczności już kilka razy; jednak zawsze jest to niezwykle widowisko. Starsza młodzież z powodzeniem znajdzie coś dla siebie w ofertach klubów i dyskotek na terenie Zagłębia.

Na koniec coś, o czym pewnie większość nie myśli podczas wakacji, czyli nauka. W czasie kilku letnich miesięcy można postawić na doskonalenie samego siebie. Szkoły językowe proponują wakacyjne kursy, dlatego warto skorzystać i podjąć naukę języka, który zawsze chciało się

znać. Pierwszy krok do zrobienia patentu żeglarsza można zrobić na jeziorze Pogoria 3. W ofercie domów kultury jest wiele atrakcyjnych warsztatów odkrywających przed uczestnikami „nieznane lądy”. Na ochotników czekają także kursy taneczne, które sprawiają, że w kilka miesięcy staniemy się królami i królowymi parkietu.

Lato w mieście już nigdy nie powinno kojarzyć się nam negatywnie. W naszych rodzinnych miastach jest wiele atrakcji, które pozwolą nam przetrwać te dwa letnie miesiące. Tym bardziej że nie wszyscy mogą pozwolić sobie na zagraniczne lub nawet krajowe wojaże. Dlatego do wakacji w domu musimy podejść z pozytywnym nastawieniem. W końcu kiedy, jeśli nie w lecie można odkryć to, co miasto ma nam najlepsze do zaoferowania?

Zwiedzanie jaskini na Jurze. Fot. J. Bratko-Litynska



Zdjęcia wykonali członkowie Stowarzyszenia Miłośników Fotografii przy Miejskim Klubie Im. Jana Kiepur

Perski dywan

Krzysztof Macha

Pojechaliśmy do Iranu przede wszystkim w poszukiwaniu Persji. Wyjeżdżaliśmy pamiętni, że tylko siłą swego geniuszu i odwagą niezbyt wielkiej greckiej armii dwa i pół tysiąca lat temu Aleksander Macedoński odwrócił losy świata pokonując Dariusza III, króla najpotężniejszego i najnowocześniejszego imperium ówczesnego świata, Persji. Gdyby tego nie uczynił, Europa byłaby dziś innym kontynentem. Choć wyruszyliśmy na poszukiwanie Persji, to jednak przede wszystkim znaleźliśmy się w Iranie – osadzonym w historii pięknym i budzącym szacunek kraju; kraju współcześnie mało dla nas zrozumiałym – ze swymi nuklearnymi zapędami, z przywódcami duchowymi mającymi większą władzę od prezydentów, z egzotycznymi politycznymi i gospodarczymi sojuszami. Z zapisków po tej podróży powstał orientalny dywan, którego pierwszy fragment został opublikowany w poprzednim numerze „Nowego Zagłębia”. Dziś część druga.

Perska kochanka

*jestem niewolnikiem tej która skradła
moje serce
im więcej mam tym bardziej nic nie mam*

*kiedy piszę
łzy palców kapią arabeski na klawiaturę*

*a wersy wrastają w tabliczkę papieru
jakby usypywały swymi ciałami wały przed
inwazją Aleksandra*

*ona już nigdy nie wróci
zgaduję
wybrała Saadię i poślubiła Hafeza*

Napisałem ten wiersz, kiedy dotarło do mnie, że jestem w kraju poetów. To szokujące, ale Iran jest żywą krainą poezji. Nie dość, że w wielu rodzinach tomik Hafeza, Saadię czy Ferdousiego można znaleźć na stole obok Koranu, to przeczytanie kilku wierszów z Ha-



Przy grobowcu poety Hafeza w Shiraz zawsze jest tłum, jego poezję Irańczycy potrafią czytać tak jak Koran.

feza może być równoznaczne z czytaniem świętej księgi muzułmanów. Grobowiec Hafeza znajduje się w Shirazie. Choć położony jest z dala od turystycznych atrakcji miasta, to wokół wspartej na kilkudziesięciu kolumnach budowli zwykle spotkać można spory tłum. Wielu Irańczyków przychodzi w to miejsce, by w ciszy i skupieniu czytać wiersze Hafeza, ale również i po to, by się zamyślić i pomarzyć. Hafez, Saadi i Ferdousi tworzyli kilkaset lat temu – w czasach, kiedy picie alkoholu było dozwolone, a swoboda seksualna była zdecydowanie większa od dzisiejszej. Problemy z tłumaczeniem niewygodnych treści ich poezji są zmartwieniem dzisiejszych irańskich cenzorów – stąd bywa, że upojenie tłumaczy się oddaniem boskiemu duchowi, a miłość określa się jako uczucie kierowane ku Bogu. Co ciekawe, grobowiec Hafeza to jedno z ulubionych miejsc odwiedzanych przez tutejszą młodzież, można też tu zaobserwować wiele flirtujących par. A perska kochanka? Perska kochanka niby nie istnieje, nie dopuszcza myśli o niej wiara, nie dopuszcza współczesna irańska doktryna społeczna. Tylko życie, jak to życie, wielu lepiej i rozumie, że miłość ma wszelkie, także i te bolesne smaki.

Dziewczyny

Tak, Iranki są pięknymi kobietami. Smukłe sylwetki, dopasowane stroje, błyszczące, rzucające czarnymi piorunami oczy – patrzą na ciebie, a ty nie wiesz, czy jesteś w ich oczach innym, a przez to ciekaw-

szym facetem, turystycznym gadżetem zza drugiej strony politycznej szyby, czy kimś z minionego, upadłego wraz z odejściem szachów świata: mężczyzną, który



Włosy naszej przewodniczki powinny być zakryte, a nie są. To właśnie irańskie dziewczyny mają najwięcej problemów z rewolucją islamską.

zna tajne, a najprawdziwsze smaki kobiecości. Im bardziej jesteś na prowincji, tym ich ubiory są bardziej obojętne, ciemniejsze, odarte z powabu kształtów ciała. Im bliżej ci do Teheranu, tym są pewniejsze siebie i odważniejsze w relacjach. Owszem, włosy zawsze mają przykryte, ale chusty potrafią nosić tak, że widać pod nimi każdy kosmyk. Kiedy przyglądałem się ich przekornym uśmiechom, kiedy widziałem, jak wodziły za nos lokalnych policjantów, kiedy dostrzegałem szacunek, z jakim odnosili się do nich irańscy mężczyźni – z każdym dniem nabierałem pewności, że to właśnie kobiety doprowadzą do następnej, tym razem zdecydowanie liberalnej przemiany Iranu. Ale...

„Policja wzięła się za łajdaków i obwieściów, którzy publicznie pojawiali się w nie stosownych strojach i hołdowali szatańskiej modzie” – to wypowiedź szefa policji z Komszahr w nadkaspjskiej prowincji Iranu. O co chodzi, jak wygląda „szatański strój”? Chodziło oczywiście o kobiety – ubrane w obcisłe spodnie i wysokie buty „szatańskim zwyczajem” zsuwały chustki na tył

głowy, poza linię włosów. – Tak nie wolno – tłumaczy komisarz. – Iranki powinny osłaniać całe ciało tak, by nie widać było ich kształtów. Włosy muszą być zasłonięte chustą.

A przecież kłopoty miewają też mężczyźni, którzy układają fryzurę z pomocą żelu czy po prostu „złota pustyni” – olejku arganowego. Nie tak dawno policja podała, że zamknięto pięć zakładów fryzjerskich, a kolejnych dwadzieścia ostrzeżono, by nie „promowały zachodnich fryzur”.

Kocham ten kraj, ale co dalej?

Zasady szariaty dostrzec można w zaskakujących sytuacjach. Niemal w całym Iranie taksówki „dopycha się” osobami bez względu na płeć. I choć w autobusach i pociągach najczęściej przestrzeń podzielona jest na część męską i żeńską, to taksówki są właśnie tym wyjątkiem, gdzie ekonomika wzięła górę nad religią. Ale nie wszędzie – właśnie w Gom, przez które zaledwie przejeżdżaliśmy, jest na odwrót. Tu do samochodu mogą wsiąść osoby tylko tej samej płci. – I tak jest już lepiej – tłumaczy nam kierowca – do niedawna jeszcze budki telefoniczne w mieście także były podzielone na damskie i męskie.

Ale życie rodzinne też nie jest takie proste. Nasza pilotka, trzydziestokilkuletnia niezamężna dziewczyna od lat bije się z myślami, co zrobić ze swoim losem. Dzięki wykształceniu uzyskała niezależność, studia w Anglii wyrobiły w niej pogląd na męsko-damskie relacje, miłość ojca dała jej wolność w tym sensie, że może podejmować każdą decyzję bez obciążonego niepewnością pytania o zgodę mężczyzny. Ale inne miłości – do rodzimego kraju, do chłopaka, z którym spotyka się już kilka lat, do rodziny, do wymarzonego, a niepoczętego jeszcze irańskiego dziecka – nie pozwalają jej wyjechać za granicę, a budują strach i zabijają nadzieję na szczęśliwe życie w Teheranie*.

Jak być współczesną kobietą w Iranie, jak być współczesnym Irańczykiem? – to naprawdę niezła łamigłówka. Czy wolność płci rozpoczyna się wraz ze ściągnięciem z głowy chusty? Czy wielożenstwo kończy się wraz z brakiem środków na utrzymanie drugiej i kolejnych żon? Widziałem, że nawet w hotelach Irańczycy zwracali uwagę Europejkom, aby nakrywały włosy. Spotykałem irańskich mężczyzn, którzy traktowali naszą pilotkę, jak królową



W Yazd tak informuje się o tych, którzy odeszli

i jak powietrze. A co powiedzieć o Strażnikach Rewolucji, którzy zatrzymali autobus, by sprawdzić obyczajność strojów zagranicznych gości?

Patryk

Zadzwoił do mnie z Korsyki. To przyjaciel, który wziął swoje sprawy we własne ręce i, zamiast pogodzić się z opinią nieudacznika, wyjechał do Francji i zrobił tam furorę jako solidny pracownik, brygadzysta, mistrz, już chyba teraz nawet kierownik – choć wciąż bez francuskiego.

Tym razem Patryk był twardy dla mnie.

- Napisz wreszcie o tym Iranie – zaczął.
- Napisz i nic nie pokręć. Ludzie chcą wiedzieć, jak tam jest. Nie beletryzuj, nie kpij, nie koloruj. Napisz prawdę.
- Ciężko mi idzie – odpowiedziałem, kie-

Portrety Chomeiniego i Chameneiego są obecne wszędzie, tu znajdują się na murach meczetu.



dy zrobił przerwę dla nabrania powietrza.

- Tak trudno rozłożyć akcenty.
- Skup się, musisz! – dręczył.

Patryk nie wie, że jest z Occupy. Że myśli, jak ci z ruchu, że dyskutuje jak oni, że ma takie same frazy zdań. Cieszę się, że nie spytał, jak republikę islamską uwolnić od islamskiej przemocy, miałbym nie lada zgryz. Bo Iran jest, jak chora na gruźlicę piękność – widać ślady niegdyśszego blasku i pewną siebie, czyhającą na potknięcie, niebohaterską udrękę. Dla lub w imię islamu. Wszystko jedno, Patryk, męka, to męka. A śmierć to śmierć. Zabijanie nie jest naszą europejską walutą. Przywożem stamtąd kilka adresów, rozdałem też kilka wizytówek. Napisał facet (chłopak?) już po studiach, który odbywa teraz służbę wojskową. „Drogi Krzysztofie, napisz co myślisz o naszym kraju. Proszę, napisz uczciwie”. Napisałem. O szacunku

Woda i zieleni to elementy raju w kraju zdominowanym przez pustynię. W tle widać elementy orientalnych zdobień, bez których trudno wyobrazić sobie Teheran.



dla ich kultury, o tym, jacy są przyjacielscy (ale i że ktoś za mną wołał „sp... stąd!”), o cenzurze obyczajowej i prasowej, o pięknych dziewczynach. Ale i o łamaniu praw człowieka, o przemocy religijnej, o fatalnym traktowaniu kobiet.

- Drogi Krzysztofie – odpisał. – Wysłałam ci informacje o naszym wielkim pianisie Javadzie Maroufim”. I „bestregards”. *CDN*

* W tym sensie ze swym losem nie pogodziły się Polki, których groby spotkałem na cmentarzu w Dulab. Zamężne z Irańczykami (co widać po nazwiskach na płytach nagrobnych) po śmierci swych wybrańców widać wyblagały sobie pochówek na katolickim cmentarzu. Te katoliczki przeszły więc na islam, by potem znów wrócić do wiary katolickiej, co w islamie jest niedopuszczalne. Za wyrzeczenie się wiary prawo przewiduje karę śmierci.

Skazana na życie, skazana na śmierć

O książce Avihu Ronena

Michał Sobelman

Dobrze pamiętam ten dzień, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o Chajce Klinger. Było to w drugiej połowie lat 80. w trakcie wywiadu w Yad Vashem z prof. Szymonem Frostem. Kilka miesięcy wcześniej podjąłem pracę w dziale zbierania relacji w jerozolimskim instytucie. We wrześniu 1983 r. zmarł mój ocalały z Zagłady ojciec, którego cała rodzina, w tym żona, rodzice i rodzeństwo, zginęła w krematorium w Birkenau, a on sam przeżył wojnę w Będzinie, a następnie getcie w Zawierciu i w ukryciu po stronie aryjskiej.

Byłem już wówczas niezłe zapowiadającym się historykiem idei, pracowałem na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie i właśnie zaczynałem swój doktorat. Śmierć ojca, o którego wojennych losach nie wiedziałem właściwie nic, spowodowała dramatyczną zmianę w moim życiu. Przeczytałem pierwszą książkę z zakresu Holokaustu, potem następne, w końcu postanowiłem o zmianie tematu doktoratu i rozpocząłem pracę w Yad Vashem. Wydział zbierania relacji, do którego trafiłem, był jednym z najstarszym w Yad Vashem. Pierwsze relacje zbierano pierwszej połowie lat 50., dziesięć lat później właściwie zaprzestano i ponownie wznowiono w połowie lat 80. Zajęcie było frapujące. Wyposażony w podręczny magnetofon przemierzałem Izrael wzdłuż i wszerz, nagrywając wspomnienia i relacje ocalałych z zagłady; Jerozolima, Tel Awiw, Hajfa, Ber Szewa, miasta i miasteczka, osiedla, wsie, kibuce. Była to nie tylko pasjonująca lekcja geografii Izraela, nade wszystko historii zagłady, współczesnego Izraela i w jakimś sensie również odkrywanie własnych korzeni. Specjalna komisja, na której czele stał szef archiwum Yad Vashem dr Szmuel (Stefan) Krakowski wybierała kandydatów do przeprowadzenia wywiadów. Z ocalałymi o szczególnie interesującej historii rozmawiało się w specjalnym studiu

telewizyjnym, które powstało na przełomie 1987 i 1988 r. Profesor Szymon Frost był właśnie jednym z nich. Wybitny psycholog, profesor pedagogiki Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, w czasie okupacji członek podziemia, obdarzony przy tym znakomitą pamięcią. Rocznik 1924, rodowity warszawiak, syjonista w getcie związał się z młodzieżową organizacją Gordonia, która weszła w skład ŻOB-u. Latem 1942 r. na polecenie swojego, legendarnego później, dowódcy Eliezera Gellera wyjechał do Będzina, gdzie poznał m.in. Chajkę Klinger, należącą do tworzącego się właśnie w będzińskim getcie ruchu oporu. W trakcie wywiadu zapytał, czy znam historię Chajki, okoliczności jej samobójczej śmierci i dziennik, który napisała jeszcze podczas okupacji. Nie znałem, choć jeszcze tego samego dnia wypożyczyłem go z biblioteki w instytucie.

Chajka Klinger urodziła się w 1917 r. w Będzinie, gdzie Żydzi stanowili prawie 50 procent ogółu mieszkańców. Przyszła na świat w biednej chasydzkiej rodzinie, która ledwie utrzymywała się z małego sklepu kolonialnego. Pomimo trudnej sytuacji materialnej kontynuowała naukę w prestiżowym żydowskim gimnazjum koedukacyjnym założonym przez miejscowego bogacza Szymona Füstemberga. Już na początku lat 30. przystąpiła do syjonistycznej organizacji młodzieżowej Haszomer Hacair, wyróżniając się inteligencją i zaangażowaniem szybko stała się instruktorką. Po maturze planowała wyjazd do Palestyny, gdzie miała dołączyć do powstającego właśnie na południu kibucu Galeon. Data wyjazdu wyznaczona została na 5 września 1939 r., dzień wcześniej wojska hitlerowskie wkroczyły do miasta. Chajka Klinger wraz ze swoim narzeczonym Dawidem Kozłowskim, przywódcą Haszomer Hacair w Będzinie próbowała uciekać na wschód, wrócili po kilku



nastu dniach. Na początku 1940 r. stała się jedną z głównych postaci organizacji nie tylko w mieście, lecz również na terenie całego Zagłębia. Już na początku wojny region został wcielony do Rzeszy, przez co warunki dla ludności żydowskiej były nieco lepsze niż na innych terenach. Nie powstawały tam jeszcze getta, a młodzieżowe organizacje mogły się wciąż dynamicznie rozwijać. Dość szybko główną areną działalności Chajki stał się folwark w pobliżu Będzina, gdzie członkowie Haszomer Hacair i innych młodzieżowych organizacji syjonistycznych, oprócz pracy na roli, mogli spotykać się, snuć plany, a nawet marzyć. Była to pewna namiastka, pozornej przynajmniej, normalności. Nazwisko jej stało się znane również poza granicami Zagłębia. Nawiązała kontakt z Józefem Kaplanem i Szmuelem Bresławem z kierownictwa Haszomer Hacair w Warszawie. Wczesnym latem 1942 r. przyjechał do Będzina na kilka miesięcy Mordechaj Anielewicz, wyjechał we wrześniu, będąc pod głębokim wra-

zeniem działalności Chajki i całej organizacji, później przyjechała łączniczka warszawskiego getta Tosia Altman. 12 sierpnia 1942 r. rozpoczęły się masowe deportacje Żydów zagłębiowskich, stało się jasne, że również i oni podzielą los Żydów z Generalnej Guberni. W konsekwencji i przynajmniej częściowo pod wpływem Anielewicza powstała zbrojna konspiracja, która natychmiast nawiązała bliskie relacje z ŻOB-em w Warszawie. Chajka Klinger, jako pierwsza w zakodowanym liście z maja 1943 r. poinformowała przywódców partii Mapam (Zjednoczona Partia Robotnicza) w Palestynie o upadku powstania w getcie warszawskim i o samobójczej śmierci Mordechaja Anielewicza i towarzyszy.

Będzińskie getto przetrwało warszawskie o prawie cztery miesiące. Młodzi przywódcy w Zagłębiu doskonale orientowali się, co się stało z ich warszawskimi kolegami. Pragnęli pójść w ich ślady, marzyli może o innym końcu, niż tylko o bohaterskiej śmierci z bronią w rękę. Nawiązali kontakt z lokalną partyzantką, ale niestety i tu rezultat był podobny, a może nawet i gorszy niż w przypadku Warszawy. Pierwsza uzbrojona grupa pod dowództwem narzeczzonego Chajki Dawida Kozłowskiego poszła do lasu pod koniec lipca 1943 r. Zginęli jeszcze tego samego dnia w potyczce z gestapo. Ocalał tylko jeden i to właśnie on przyniósł tę hiobową wieść do getta: kurier z ramienia PPR, który miał ich doprowadzić do partyzantów, okazał się zdrajcą, wydając ich Niemcom. 1 sierpnia rozpoczęła się ostateczna likwidacja getta w Będzinie i sąsiednim Sosnowcu. Słabo uzbrojeni powstańcy schronili się w zawczasu przygotowanych bunkrach, gdzie bezskutecznie próbowali walczyć z nacierającymi Niemcami. Większość zginęła na miejscu. Chajka Klinger została ujęta z bronią w rękę w jednym z takich właśnie bunkrów. Przeszła okrutne przesłuchanie, połączone z torturami; nie wydała jednak nikogo. Gestapo zostawiło ją wymęczoną, okaleczoną i bliską śmierci na terenie dogorywającego getta. Ocalała cudem. Na początku ukrywała się w grupie ostatnich Żydów, zajmujących się uprzątnieniem byłej dzielnicy żydowskiej w Będzinie, a później wraz z garstką przyjaciół znalazła schronienie u zaprzyjaźnionej polskiej

rodziny Kobyleców w Małej Dąbrówce nieopodal Katowic. To właśnie tam w czwartek, 26 sierpnia 1943 r. zapisała pierwsze słowa swojego dziennika:

„A więc żyję?! Czyż żyję? (Po tych wielu przeżyciach) wyrwałam się jednak z tego koła, środowiska śmierci, z punktu wysiedleńczego i siedzę tu. Sama z Chawką w pokoju, oderwana od całego świata w ciszy i spokoju. Odpoczywam. Odpoczywam – żyję. Widocznie zapomniałam już, co znaczy w normalnym języku życie.

Jak w koszmarnym śnie się przecież obracam? Przecież ciągle widzę barak pełen ludzi, starców i dzieci, te przedśmiertelne krzyki, i te ciche narzekania i to spokojne oczekiwania – auta śmierci znaczy się. Jeszcze ciągle widzę puste domy, domy rumowisk, wszystko przewrócone do góry nogami, meble, przewrócone krzesła, stołki, pierzyny, poduszki, bielizna, ubrania, koszule, jedwabie. Wszystko wałęsa się na ziemi. Całe osiedle żydowskie wieje pustką, zgrozą śmiercią. Taka pustka i cisza śmiertelna, gdzie obrócisz głowę – pustka...”

Przez kolejne cztery miesiące spędzone w Małej Dąbrówce Chajka jakby w amoku i gorączce opisuje swoje wrażenia i wspomnienia z poprzednich czterech lat spędzonych w Będzinie pod okupacją niemiecką. Ostatni wpis dokonany został 17 grudnia 1943 r., na dzień przed przekroczeniem granicy ze Słowacją. W rezultacie powstał unikalny, niezwykle i pasjonujący dokument. W dziesięciu szkolnych zeszytach rozciągają się dramatyczne i tragiczne dzieje będzińskich Żydów. Szczegółowo opisuje likwidację getta, próby oporu, przesłuchanie połączone z torturami w gestapo. Przedstawia dzieje organizacji Hashomer Hacair i żydowską konspirację w okupowanym Będzinie. Można tam również odnaleźć pasjonujący opis powstania w warszawskim getcie z perspektywy getta będzińskiego. Raz jeszcze wraca wspomnieniami i rozpamiętuje dawne, jeszcze pełne nadziei chwile na fermie, wizytę Anielewicza, tragiczne wydarzenia, rozstania i śmierć przyjaciół i ukochanego. Życie dla niej właściwie dobiegło już końca, nie ma sił do dalszej walki, ani również nie widzi w niej większego sensu. „Nie mam rodziny, człowieka, którego tak bardzo ko-

chałam, bez którego życia sobie nie wyobrażałam i nie chciałam, ...Więc, po co i dlaczego? Czym potrafię wytłumaczyć swą marną egzystencję? Pierwej mówiłam, chcę żyć, aby móc coś zrobić, aby wziąć udział w walce. A dziś? – Kiedy już jest po wszystkim, czemu marna kreaturo nie masz odwagi skończyć z sobą?” Jedyne, co zostało to pożegnać ten dawny żydowski świat i opowiedzieć o jego końcu „Żyję tylko przez pamięć o mych towarzyszach... chcieli, aby ktoś został i opowiedział o nich. Dlaczego nie mają odżyć przynajmniej na papierze? Ale czemuż ja mam zawsze żyć z koszmarem tych dni i niespełnionego zadania?”

Pod koniec grudnia 1943 r. w towarzystwie polskich przewodników i jedenastu kolegów z żydowskiego podziemia w będzińskim getcie przekroczyła granicę ze Słowacją. Dotarli do przygranicznego miasteczka Liptowski Mikulász. Drogą tą już przed nimi przedarło się niemało żydowskich uciekinierów z okupowanej Polski, byli jednak pierwszą grupą związaną z konspiracją i ruchem oporu, przez co przyjęto ich wyjątkowo serdecznie. Po piekle przebytu w Zagłębiu Słowacja wydawała jej się być oazą spokoju i bezpieczeństwa, choć przecież i tam, latem 1942 r. hitlerowska machina śmierci dokonała olbrzymiego spustoszenia wśród żydowskich mieszkańców. W Mikulászu Chajka spotkała działaczy Haszomer Hacair ze Słowacji, w tym swojego przyszłego męża Jakowa Rosenberga (Benito). Razem przekroczyli granicę z Węgrami, skąd niemalże w ostatniej chwili przed wejściem wojsk hitlerowskich do Budapesztu, udali się do Istanbulu, gdzie przejęli ich pod swoją opiekę działacze Agencji Żydowskiej z Palestyny. Pojawienie się Chajki w neutralnej Turcji wywołało spore zamieszanie i emocje wśród wysłanników żydowskiej społeczności w Palestynie. Kopie jej dzienników wysłane jeszcze podczas pobytu na Słowacji były pierwszą autentyczną i naoczną relacją z okupowanej Polski, napisaną w dodatku przez członkinię żydowskiego ruchu oporu.

Menachem Bader, sekretarz Żydowskiego Komitetu Pomocy i Ocalenia był pod wrażeniem jej osobowości i opowiedzianej historii. Postanowiono jak najszybciej wysłać ją do Palestyny, której

żydowscy przywódcy myśleli już obsesyjnie o powstaniu niepodległego państwa. Chajka Klinger dotarła do Hajfy pociągiem z Istambułu przez Bejrut 7 marca 1944 r.

Na dworcu w Hajfie powitali ją przedstawiciele ruchu kibucowego, w tym przyjaciele z Będzina, którym udało się wyemigrować do Izraela jeszcze przed wybuchem II wojny światowej. Pierwsze dni w Palestynie spędziła na spotkaniach w kibucach, gdzie opowiadała o żydowskiej martyrologii i walce w okupowanej Polsce. Relacje ukazały się na czołowym miejscu w prasie hebrajskojęzycznej, w tym w najważniejszej gazecie ruchu kibucowego *Al Hamiszmar*. Były to właściwie pierwsze bezpośrednie spotkanie między żydowską społecznością Palestyny, która lata wojny przeżyła we względnie spokojnym oddali od dramatycznych wydarzeń w okupowanej Europie, a naocznym uczestnikiem i świadkiem agonii polskiego żydostwa.

Pewnego dnia na spotkanie z Chajką Klinger przyjechał sam Dawid Ben Gurion szef Agencji Żydowskiej, będącej wówczas czymś na kształt nieformalnego rządu przyszłego państwa. Było ono traumatyczne dla ich obojga. Tego samego wieczoru, lub nieco później Ben Gurion zapisał w swym dzienniku; „Nie mogę uwolnić się od koszmaru, ani Dante ani Poe nie byłiby w stanie wymyślić czegoś podobnego...” Ben Gurion poczuł ciężar swojej całej bezradności, lecz zrozumiał, że nie jest w stanie uczynić nic. „Jutro znów wstanie słońce w całej swej potędze należy iść dalej”¹.

W Europie trwała wciąż wojna, prawie wszystkie getta w okupowanej Polsce, z wyjątkiem Łodzi zostały zlikwidowane. Likwidacji uległy również wielkie obozy zagłady: Treblinka, Sobibor i Bełżec. Armia Czerwona zbliżała się do Lublina, a Niemcy ewakuowali obóz na Majdanek, przewożąc większość więźniów do Oświęcimia. Na Węgrzech rozpoczęła się masowa eksterminacja tamtejszych Żydów, z których większość wysłano do KL Auschwitz.

W tym okresie niespełna półmilionowa żydowska społeczność Palestyny borykała się jednak z zupełnie innymi problemami, snując marzenia o utworzeniu niepodległego państwa.

Wprawdzie 9 września 1940 r. włoskie samoloty zbombardowały pierwsze miasto hebrajskie – Tel Awiw, zadając śmierć 112 mieszkańcom, był to jednak pojedynczy incydent związany z II wojną światową, nie licząc, rzecz jasna, utworzenia samodzielnej Brygady Żydowskiej w ramach armii brytyjskiej latem 1944 r. W tym czasie syjonistyczni przywódcy mieli na głowie inne ważniejsze ich zdaniem problemy, niż zajmowanie się ginącymi w obozach śmierci w okupowanej Polsce Żydami. Tym bardziej że śmierć w głodujących gettach i później w obozowych krematoriach trudno było nazwać wystarczająco godną syjonistycznych marzeń. Wczesną wiosną 1943 r. poeta warszawskiego getta Władysław Szlengel napisał wstrząsający, choć i równie sarkastyczny wiersz o bohaterskiej śmierci². Marzenia o heroicznej, godnej śmierci zostały zaakceptowane bez najmniejszej ironii przez przywódców niemalże wszystkich syjonistycznych partii działających w Erec Israel. Powstania w getcie warszawskim, białostockim czy będzinśkim, próba buntu w Sobiborze, ucieczka z Treblinki były przez nich interpretowane jako prawdziwie „syjonistyczny czyn”. Zdaniem Idith Zertal, współczesnej izraelskiej historyczki, należącej do tzw. nurtu post syjonistycznego: „Większość ocalałych z powstania nie godziła się na rozpowszechniany w Palestynie podział na bojowników i resztę Żydów¹. Był to również pogląd Chajki Klinger, której głos w pierwszych tygodniach po przyjeździe do nowej ojczyzny był jeszcze słyszalny i która niemalże przy każdej okazji podkreślała swą solidarność z ofiarami, żałując, a nawet i przepraszając, że przetrwała. „Awangarda ludowa bez ludu nic nie jest warta... Jeśli zginąć muszą wszyscy, wówczas awangarda musi zginąć wraz z nim” – mówiła podczas spotkania w Tel Awiwie³.

Kilka lat później, po zakończeniu wojny, powstaniu państwa i masowej emigracji żydowskich rozbitków temat ten urosł do jednego z najważniejszych problemów współczesnego Izraela, tymczasem jednak Chajka w dużej mierze skazana była na walkę w pojedynkę.

Kilkanaście dni później do Palestyny dotarł Jakow Rosenberg (Benito), którego poznała na Słowacji i z któ-

rym postanowiła związać swój los. Było oczywiste, że udadzą się do kibucu. Na początku był to kibuc Galeon nieopodal Kiriat Gat, którego założyciele pochodzili z Zagłębia, ostatecznie postanowili zamieszkać w „słowackim” kibucu Haogen w pobliżu Kfar Saby.

8 maja 1945 r. flagi państw antyhitlerowskiej koalicji załopotwały nad zdobytym Berlinem. Najokrutniejsza z wojen, w której naród żydowski utracił jedną trzecią swej społeczności nareszcie dobiegła końca. W Ameryce i Anglii zaplanowała radość, w Moskwie odbyła się zwycięska defilada, tysiące ocalałych Żydów rozpoczęło gorączkowe poszukiwania bliskich, na drogach wykrwawionej Europy pojawiły się tysiące wracających do domu uchodźców. Tego samego dnia Dawid Ben Gurion zapisał w swym dzienniku „Dzisiaj dzień zwycięstwa, smutno, bardzo smutno na sercu”. Zapewne w podobnym nastroju znajdowała się, opłakująca swoich zabitych przyjaciół i bliskich, Chajka.

Życie szło jednak dalej. Powstawały nowe kibuce, rozbudowywano istniejące już miasta, jiszuw potrzebował za wszelką cenę rąk do pracy. Chajka, będąc zaangażowana członkinią organizacji Hashomer Hacair pragnęła aktywnie włączyć się do budowy nowej ojczyzny, a w szczególności swojego kibucu. Podczas gdy Benito realizował swoje marzenia w zakresie budownictwa, Chajka znalazła pracę w kibucowym domu dziecka. Niekiedy przy różnych okazjach w kibucowych czasopismach ukazywały się w tłumaczeniu na hebrajski fragmenty jej wojennego dziennika. W lutym 1945 r. urodził się ich pierwszy syn Zvi. Latem 1947 r. wyjechali na prawie półtora roku do Czechosłowacji pomagając w rekonstrukcji życia żydowskiego, a następnie w organizacji emigracji do Izraela. W grudniu 1948 r. urodziła drugiego syna Avihu, a w sierpniu 1955 r. przyszedł na świat Arnon. Próbowała działać na rzecz upamiętniania ofiar Holocaustu, starała się przekonywać, by państwo bardziej otworzyło się na potrzeby ocalałych, a z tym było coraz gorzej. W maju 1948 r. nowo powstałe żydowskie państwo liczyło 650 tysięcy mieszkańców. Przed powstaniem państwa w ramach nielegalnej emigracji przybyło do Palestyny 85 tysięcy Ży-

dów ocalałych z Zagłady. Dalsze 300 tysięcy dołączyło w kolejnych czterech lat, już po utworzeniu niepodległego Izraela. Choć stanowili połowę ogólnej populacji, sytuacja ich, szczególnie mentalna, była niezwykle trudna. Nawet Ustawa o Pamięci izraelskiego parlamentu, a w konsekwencji założenie w 1953 r. w Jerozolimie Instytutu Pamięci Męczenników i Bohaterów Holokaustu Yad Vashem nie doprowadziło do przełomu w tej materii. W tym czasie zaczął pogarszać się jej stan zdrowia, ulegała nawrotom depresji, czuła, iż żyjąc w miarę normalnie, zdradza swych zamordowanych bliskich i przyjaciół, że właściwie nie ma prawa do życia. Starła się za wszelką cenę o wydanie swojego dziennika, po raz ostatni w styczniu 1958 r. Na próżno.

Popęłniła samobójstwo w przededniu 15. rocznicy powstania w getcie warszawskim, 18 kwietnia 1958 r. Pozostawiła po sobie męża, trójkę synów i okupacyjny dziennik w szufladzie biurka. Jakow Ronen (dawniej Rosenberg), zrozumiał, że przez pamięć o swojej żonie, swą okupacyjną historię, dla przyjaciół Chajki, a szczególnie dla trzech ich synów musi go opublikować. Będąc członkiem kibucu, nie posiadał żadnych funduszy, zwrócił się o pomoc do centrali ruchu kibucowego, zagroził wyjściem z kibucu. Nie było łatwo, a jednak w pierwszą rocznicę jej śmierci w 1959 r. ukazała się okrojona i ocenzone hebrajska wersja dziennika. Z tekstu usunięto zbyt radykalne, zdaniem redaktorów, opinie na temat stosunku syjonizmu do diaspory i fragmenty krytykujące przywódców Haszomer Hacair w Palestynie za bezradność i zdradę tysięcy członków organizacji w okupowanej Europie. Padły również zarzuty dotyczące zgodności hebrajskiego przekładu z polskim oryginałem i podstawowych błędów redakcyjnych. Książka zatytułowana „Z dzienników getta” nie wywołała w Izraelu większego zainteresowania. Rok później agenci Mossadu schwyтали w Argentynie Adolfa Eichmana, a jego proces skierował opinię publiczną na świecie i Izraelu w zupełnie innym kierunku. Wiosną 1961 r., kiedy rozpoczął się proces Eichmanna, mieszkało w Izraelu około pół miliona Żydów uratowanych z Zagłady, stanowili oni przeszło

30 proc. żydowskiej populacji Izraela. W czasie procesu dokonał się wyraźny przełom we wzajemnych relacjach między ocalałymi a resztą społeczeństwa. Na sali sądowej większość stanowią ocaleli, natomiast młodzież w ciągu tych długich miesięcy była przykuta do radia. Hanna Jablonka, izraelska historyczka i autorka książki o procesie Eichmanna, twierdzi, że w ten właśnie sposób izraelskie społeczeństwo powiedziało ocalałym: „Wasze dziedzictwo jest integralną częścią naszych dziejów i kultury. Pójdziemy razem wspólną drogą”⁵. Poeta Haim Guri niezwykle dosadnie wyraził różnicę między wiedzą o tym, co wydarzyło się w okresie Zagłady a przystosowaniem tej wiedzy do świadomości społeczeństwa: „Czyż nie wiedzieliśmy o tym jeszcze przed rozpoczęciem procesu Eichmanna? – Wiedzieliśmy, ale kiedy dokumenty wydoستاły się z ciszy archiwum i przemówiły do nas ludzkim głosem, wiedza ta stała się zupełnie inna od tej poprzedniej”⁷.

Chajka Klinger nie doczekała jednak tej chwili. W izraelskiej kolektywnej świadomości nie przetrwał również i jej dziennik. W trakcie procesu Eichmanna pojawili się nowi bohaterowie, z którymi izraelska młodzież mogła się identyfikować: zastępca komendanta ŻOB-u Antek Cukierman, poeta i partyzant z Wilna Aba Kowner, Chajka Grosman z Białegostoku, czy nawet popularny pisarz rodem z Sosnowca – Jehiel Dinur, znany pod pseudonimem Kacelnik, o którym izraelski historyk i publicysta Tom Segev pisał, że „jego pokolenie poznało koszmar Zagłady głównie dzięki powieściom Kacelnika”⁷.

Pięćdziesiąt dwa lata później, w 2011 r., ukazała się książka Avihu Ronena pod wiele mówiącym tytułem „Skazana na życie. Dzienniki i życie Chajki Klinger”⁸. Avihu Ronen jest historykiem oraz synem Chajki Klinger. W 1958 r., kiedy Chajka odebrała sobie życie w przededniu 15. rocznicy powstania w warszawskim getcie miał dziewięć lat. Doskonale pamięta ten dzień: „Rano w trakcie lekcji do klasy weszła ciotka Jaffa, mówiąc, żebym natychmiast poszedł z nią do domu. Nauczyciel wyraził zgodę. Było to trochę dziwne, ale ucieszyłem się, że nie muszę siedzieć w klasie. Przed domem na leżakach siedzieli wszyscy wuj-

kie z Tel Awiwu, tak jak dwa miesiące wcześniej podczas bar micwy Zwi. Jeden z wujków zawołał mnie i dał w prezencie scyzoryk. Dlaczego scyzoryk? – zastanowiłem się – nie są to przecież moje urodziny. Potem zawołał mnie z domu tato. Chciałem zapytać, czy mama wróciła już ze szpitala, ale on odpowiedział, że chce mi coś powiedzieć. Wziął mnie w ramiona i powiedział, że mama zmarła. A potem nadszedł taki dziwny dzień, że wszystko niby było jak dawniej, ale już nic nie było jak dawniej”⁹.

Ten traumatyczny dzień pozostał mu w pamięci na całe życie. W rocznicę śmierci Chajki ukazała się jej książka, którą przeczytał z zapartym tchem: „Dowiedziałem się, że mama była bojowniczką w getcie, jedną z tych, o których towarzysze mówią z podziwem. Żyła w Polsce w Będzinie i w czasie wojny była w konspiracji. Mordechaj Anielewicz przyjechał do mamy i jej towarzyszy i wezwał ich, by walczyli z hitlerowcami. Wybuchło powstanie. Garstka przeciw wielu. Przeczytałem w książce, jak złapano mamę z bronią w ręku i torturowano ją na gestapo. Mama napisała, że prawie ją zamordowali. Byłem z niej dumny. Miałem bohaterską mamę w książce i jej śmierć jakoś skojarzyła mi się z tymi okropieństwami, które przeżyła”¹⁰. Avihu pozostał w kibucu, skończył szkołę, a potem jak wszyscy poszedł do wojska. Został oficerem wojsk pancernych; walczył w wojnie wyzwolenczej, a potem tych kolejnych, jakie co kilka lat nawiedzają Izrael. Podczas wojny „dnia sądowego” w 1973 r. cudem uszedł z życiem. W 1969 r. był wśród założycieli kibucu „Kerem Shalom”, który powstał w pobliżu Strefy Gazy i którego członkowie wierzyli, że uda im się zaprowadzić pokój między Izraelem a Arabami. W wieku 30 lat rozpoczął studia, następnie przeniósł się do Tel Awiwu, założył rodzinę, zamieszkał na północy Izraela, a potem znów wrócił do pierwszego hebrajskiego miasta. Skończył filozofię i historię, ale od samego początku było wiadomo, że skupi się na losach matki i historii, organizacji Hashomer Hacair w Zagłębiu Dąbrowskim podczas II wojny światowej. Był to również temat jego pracy doktorskiej.

„Skazana na życie” to książka wyjątkowa pod wieloma względami. Jest to niezwykle rzadko spotykane połączenie pasjo-

nującej narracji historycznej, osobistych pamiętników i refleksji. Książka ta powstała w konsekwencji prawie 30-letnich, iście benedyktyńskich badań nad historią żydowskiego Będzina w okresie wojny i dziejów organizacji Hashomer Ha-cair na terenie Zagłębia Dąbrowskiego. Książka ta to frapująca podróż śladami zmarłej w dzieciństwie autora matki oraz osobisty dziennik syna, badacza i historyka. Jest to wreszcie fascynująca opowieść o dramatycznym starciu w Palestynie, a następnie w Izraelu między dwoma wizjami żydowskiego losu: pięknych, silnych i pozbawionych wszelkich kompleksów Izraelczyków, którzy własnoręcznie budowali swój piękny świat, a nieszczęsnymi, ocalałymi z Zagłady Żydami, którzy w okupowanej Polsce szli jak przysłowiowe stado baranów na rzeź. Walczący o przetrwanie Izrael bardziej potrzebował żołnierzy i nieustraszonych bohaterów niż biednych zakompleksionych męczenników. Książka traktuje również o problematyce tzw. „drugiego pokolenia”, dzieci uratowanych

z Zagłady Żydów. Zagadnienie to stało się istotne w Izraelu już w połowie lat 80. ubiegłego stulecia, choć w Polsce zainteresowanie tematyką tą ze zrozumiałych powodów pojawiło się dopiero w ostatnich latach. W przypadku tym sytuacja Avihu Ronena była znacznie lepsza niż jego rówieśników, jego matka odeszła w aureoli bohaterki. Podziwiał ją, był z niej dumny i w tym diametralnie różnił od tysięcy młodych Izraelczyków, dorastających w ponurych i milczących domach, bez dziadków, gdzie rodzice chowali po kieszeniach suche kawałki chleba.

Każdy z podjętych tu wątków jest znakomicie rozwinięty. Ronen nie poprzestaje na wyłącznym cytowaniu dziennika i notatek matki. Porównuje różne wersje, sprawdza historyczne fakty, korzysta z istniejących już opracowań, spisanych relacji, spotyka się z żyjącymi jeszcze naoczniymi świadkami. Zamieszczona na końcu książki prawie trzydziestostronicowa bibliografia jest imponująca. Język nie stanowi dla au-

tora żadnej bariery, można tu znaleźć pozycje w hebrajskim, jidysz, niemieckim, angielskim i oczywiście polskim. W rezultacie powstała znakomita, pasjonująca książka oraz wybitne dzieło naukowe.

1 T. Segev, *Hamiliom hashvii* (hebr. *Siódmy milion*), s. 80; wersja polska ukazała się nakładem PWN w 2012.

2 W. Szlengel, *Dwie śmierci*, w: *Co czytałem umarłym. Wiersze z getta warszawskiego*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1979.

3 I. Zertal, *Naród i śmierć. Zagłada w dyskursie i polityce Izraela*, UNIVERSITAS, Kraków 2010, s. 62.

4 Ibidem, s. 64.

5 H. Jablonka, *The State of Israel vs. Adolf Eichmann*, Jerusalem 2001, s.175.

6 M. Sobelman, *Israel – 60 lat rozważań o Zagładzie*, w: *Holokaust a Teodycea*, Wydawnictwo Hommini, Kraków 2008, s. 351.

7 T. Segev, *Siódmy milion*, PWN, Warszawa 2012, s. 4.

8 A. Ronen, *Nidona lehayim. Yomenea i ha-jea shel Chajka Klinger* (hebr. *Skazana na życie. Dzienniki i życie Chajki Klinger*, miskal – Yedioth Ahronoth Books and University of Haifa Press, Tel Aviv 2011, s. 630.

9 Ibidem, s. 9.

10 Ibidem, s. 11.

Gmina Wyznaniowa Żydowska w Katowicach i Fundacja Brama Cukermana zapraszają na:

OBCHODY 70-TEJ ROCZNICY LIKWIDACJI BĘDZIŃSKIEGO GETTA 28 SIERPNI 2013

Motto obchodów:

"Złożmy 30 000 kamieni dla 30 000 będzińskich Żydów, którzy zginęli podczas Zagłady".

Prosimy o przyniesienie ze sobą małego kamyczka - żydowskiego symbolu pamięci.

PROGRAM:

g. 17:00, Będzin, Plac Bohaterów Getta (Warpie Kamionka)

Rozpoczęcie obchodów

Powitanie gości

Krótkie przemówienie na temat historii likwidacji będzińskiego getta

Złożenie kamieni przed Pomnikiem

Wspólna modlitwa *Kadisz*

Shofar

g. 18:30, Będzin, Al. Kołłątaja 24/28, Dawny Żydowski Dom Modlitwy w "Bramie Cukermana"

Powitanie gości, krótkie przedstawienie historii Bramy Cukermana

Modlitwa - pierwszy *minian* od ponad 70 lat w Bramie Cukermana

Mały poczęstunek, rozmowy

Moda na modernizm, czyli będzińskie oblicze „architektury nowoczesnej”

Ornament i zbrodnia – brzmiał tytuł wydanego w 1908 roku dzieła austriackiego architekta Adolfa Loosa, niezwykle krytycznego w stosunku do dotychczasowych osiągnięć architektury i wszechobecnego u progu XX wieku przeładowania dekoracją i ornamentem. Propagowana przez uważanego za jednego z prekursorów modernizmu Loosa myśl stała się wkrótce jednym z naczelnych haseł tworzącego się wówczas „ruchu nowoczesnego w architekturze”.

Modernizm to zespół trendów w architekturze europejskiej i światowej. Rozwijał się w latach 1918–1975, postulował rezygnację ze stylów historycznych i wszelkich stylizacji na rzecz prostych, pozbawionych dekoracji budynków. Najlepszym sposobem na zrozumienie rewolucyjności zmian w architekturze jest porównanie skomplikowanych brył, przeładowanych ornamentem budynków neobarokowych, neoklasykistycznych czy secesyjnych z kubicznymi, oszczędnymi bryłami modernistycznymi, powstającymi z zastosowaniem stali i szkła. Modernizm zupełnie zmienił oblicze architektury i sposób myślenia o niej, stawiając na pierwszym planie funkcję budynku, potem dopiero jego formę. O oderwaniu od dotychczasowej tradycji świadczy także nazwa prądu, pochodząca od francuskiego słowa moderne – nowoczesność. Modernizm unikał ściśle zdefiniowanych zasad formalnych, nigdy zatem nie wypracowano jednolitych norm stylowych, które byłyby sztywno stosowane w praktyce. Jednak w wielu budynkach wzniesionych w tym okresie można dostrzec pewne podobieństwa: stosowanie betonu i stali, obszerne przeszklenia klatek schodowych, a czasem całych elewacji, wolny plan, płaski dach (nierazko z tarasem), szerokie okna wpuszczające dużo światła i pozbawione wewnętrznych podziałów, posadowienie budynków na słupach (pilotis), duże, płaskie i jednolite powierzchnie elewacji, oraz ściany kurtynowe. Należy jednak pamiętać, że nie wszystkie budynki modernistyczne charakteryzują się podanymi powyżej cechami – często wy-



Dworzec kolejowy w Będzinie. Fot. S. Hanusek

starczyło zastosowanie dwóch, trzech elementów, by budynek wpisywał się w nurt nowoczesnej architektury. Nieco inaczej będą się też przedstawiać budynki wczesnej fazy, inaczej dojrzały modernizm lat 30., jeszcze inaczej moderna powojenna.

Tym, co łączyło wszystkich architektów modernistycznych, była idea – troska i moralny nakaz, którym kierowali się ar-

chitekci, polegający na takim kształtowaniu architektury budynków i planowaniu urbanistycznym miast, aby zapewnić jak największy komfort mieszkańcom. Moderniści, wśród których niekwestionowany prym wiódł Le Corbusier (właściwie Charles-Édouard Jeanneret-Gris), francuski architekt i urbanista, akcentowali zapewnienie ludności godziwych warun-



Budynek będzińskiej poczty u zbiegu ulic Kościuszki i Krasickiego. Fot. arch.

ków mieszkaniowych. Według Le Corbusiera forma budynku miała wynikać z jego funkcji, a dom miał stać się „maszyną do mieszkania”, której wygląd miał być podporządkowany jego przeznaczeniu. Oprócz sformułowanych przez niego „pięciu punktów nowoczesnej architektury”, Le Corbusier propagował hasło „słońce, przestrzeń, zielen”, czyli elementy, którymi powinni kierować się architekci i urbaniści, by zapewnić funkcjonalność i higieniczny tryb życia, należny każdemu człowiekowi.

Mimo świadomości potrzeby zmodyfikowania dotychczasowego sposobu budowania, forma, jaką zaproponowali moderniści – totalne niemal oderwanie się od dotychczasowej tradycji, monolityczne, pozbawione ornamentu fasady, zasada „mniej znaczy więcej” – spotykała się z dużym oporem. Nie był on jednak w stanie powstrzymać architektonicznej rewolucji, która dotarła niemal do wszystkich rejonów świata i trwać miała z górą pół wieku.

Budynki w nowym stylu zaczęły pojawiać się szybko w całej Europie, w tym także w międzywojennej Polsce, w stolicy, ale także na peryferiach – na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. Proces unowocześniania tkanki miejskiej poprzez projekty modernistyczne nie ominął Będzina. W dotychczasowej, zwartej zabudowie miejskiej już w końcu lat 20. zaczęły pojawiać się modernistyczne wtręty. Wzorce czerpano z graniczącego ówczesnie z Zagłębiem autonomicznego województwa śląskiego – w jego stolicy, Katowicach, dynamicznie powstawały wówczas

budynki projektowane w nowym stylu, a miasto nie bez powodu nazywano „polskim Chicago”.

W Będzinie modernistyczny charakter nadawano nowo powstającym obiektom użyteczności publicznej, budynkom kamienicznym przy głównych ulicach miasta, realizowano także obiekty typu willowego skoncentrowane poza ścisłym centrum.

Najodważniejszą realizacją modernistyczną w Będzinie był budynek dworca kolejowego Będzin-Miasto, należący do najciekawszych realizacji w architekturze kolejowej, powstałych w tym stylu. Obiekt zaprojektowany został w 1927 roku przez słynnego warszawskiego architekta Edgara Aleksandra Norwerth'a, twórcę licznych stołecznych obiektów użyteczności publicznej. Dworzec, który miał odpowia-

dać potrzebom reprezentacyjnym szybko rozwijającego się miasta, zrealizowano ostatecznie w połowie 1931 roku, mimo że początkowo jego otwarcie planowano na dwa lata wcześniej. Dominantą tego funkcjonalistycznego budynku, mającego charakter kilku zestawionych ze sobą kubicznych brył, była wieża z wieńczącym ją zegarem o szklanej tarczy. Elewację pokryto charakterystyczną ciemnoszarą cegłą cementową, która nadawała budynkowi wrażenia surowości i urozmaicono stolarką okiennno-drzwiową w kolorze żółtym. Nowoczesność fasady szła w parze z funkcjonalnością wnętrza, w którym zastosowano sporo niecodziennych rozwiązań. Między podwójnymi ścianami holu i poczekalni umieszczono instalację nadmuchu ciepłego powietrza, którą ogrzewała kotłownia węglowa, dworzec wyposażono w windę bagażową oraz kuchenną, zaopatrującą bufety znajdujące się na parterze i piętrze. Dla ułatwienia przepływu intensywnego ruchu, oprócz głównego wyjścia przez hol zaprojektowano także dodatkowe wyjścia z jego pominięciem, w tym jedno na tzw. podwórzu bagażowe. Centralną część budynku zajmował wspomniany właśnie hol kasowy z przeszkloną górną partią, zapewniającą doświetlenie wnętrza. Aspiracje Norwerth'a – którego realizacja uważana była za kontrowersyjną i bardzo odważną – aby budynek będzińskiego dworca był najnowocześniejszym obiektem w mieście, zostały w pełni zrealizowane, a kunszt autora doceniony. Budowa dworca była możliwa dzięki 600 tys. złotych, uchwalonych na ten cel przez

Gimnazjum Męskie Zgromadzenia Kupców. Fot. ze zbiorów Muzeum Zagłębia w Będzinie





Ulica Piłsudskiego. Fot. ze zbiorów Muzeum Zagłębia w Będzinie

sejm. Wysoką jakość wykonania zapewniła firma „Pronaszko i Sobieszek”. Niestety niemal równoległe z rozpoczęciem użytkowania dworca, dyrekcja PKP zniósła postój pociągów międzynarodowych w Będzinie. Mimo protestów władarzy miasta decyzja nie została cofnięta. Późniejsze zdegradowanie do roli zwykłego przystanku spowodowało jego zaniedba-

Kamienica przy ul. Małachowskiego 26. Fot. S. Hanusek



nie. Dopiero przeprowadzona w latach 2006–2012 restauracja częściowo przywróciła mu pierwotny wygląd.

Innym, dobrym przykładem moderny jest budynek będzinśkiej poczty, ulokowany w zbiegu ulic Kościuszki i Krasickiego. Narożny obiekt wzniesiono w 1928 roku, na gruncie odkupionym przez magistrat od jednego z Będzinian, po czym przekazano go w wieczyste użytkowanie Poczcie Polskiej. Obiekt zbudowany na planie zbliżonym do litery L, posiadał na osi głównej rodzaj sześciokątnej wieży, z umieszczonymi na pierwszej i drugiej kondygnacji obszernymi, kwadratowymi oknami, przy czym w pewnych okresach okno drugiej kondygnacji zastępowane było wielkim, kwadratowym zegarem.

Inspirowany modernizmem był także budynek Gimnazjum Męskiego Zgromadzenia Kupców, zlokalizowany przy ulicy Kopernika 2 (budowę szkoły rozpoczęto w 1929 roku, a oddano do użytku latem 1933 roku, ale prace wykończeniowe – otynkowanie elewacji – trwały jeszcze pięć lat). Wielka, symetryczna sylweta wpisywała się w nowy prąd architektoniczny, jednak przez zastosowa-

nie gładkich tympanonów nad korpusem głównym i na skrzydłach bocznych, łączył w sobie także cechy klasycystyczne. Modernistyczny postulat dużej ilości światła spełniono przez zastosowanie dużych okien pionowych w fasadzie głównej, które akcentowały jednocześnie centralne miejsce budynku – wysoką na dwie kondygnacje aulę. Zadbano, aby sale szkolne, położone w tylnej części budynku, wyposażać w sposób nowoczesny, m.in. planowano realizację pracowni przyrodniczej z możliwością przeprowadzania obserwacji astronomicznych. Olbrzymi gmach wtopiony w zbocze niewielkiego wzgórza sprawiał imponujące wrażenie, a połączenie z ciekawie zaplanowaną osią widokową skierowaną na starówkę, podnosiło walory całego projektu. Być może dzisiaj warto pomyśleć o ponownym otwarciu tej przestrzeni.

Ewenementem w tkance miejskiej Będzina była reprezentacyjna część ulicy Piłsudskiego, na odcinku od ulicy Małachowskiego do ulicy Modrzejowskiej, w całości zabudowana w stylu moderni-



Budynek wodociągów na Wzgórzu Zamkowym. Fot. arch.

stycznym. Wszystkie kamienice, wśród których znajdował się budynek przedwojennego kina „Lotnik” z salą na 150 osób, są wyrazem różnych tendencji modernistycznych, realizowanych w ramach niewielkich, ograniczonych posesji. Do ciekawszych należy sześciokondygnacyjny budynek położony u wylotu Piłsudskiego

do Małachowskiego (ul. Małachowskiego 26). Jego narożne okna i przeszklona pionowo przez wszystkie kondygnacje klatka schodowa przywołują na myśl niektóre ze sztandarowych realizacji modernistycznych Katowic, w tym także styl budynków Karola Schayera, czołowego architekta modernistycznego w przedwojennym województwie śląskim, autora projektu m.in. gmachu Muzeum Śląskiego. Kamienica przy Małachowskiego 26 mogła stanowić wzór dla innych miejskich realizacji. Identyczne elementy powtarza willa usytuowana przy ulicy Kościuszki 26 (obecnie siedziba WKU), z uskokową fasadą i rozległym tarasem i pionowym ciągiem okien.

W latach 30. przy dzisiejszej ul. Teatralnej 4, naprzeciw szkoły im. Szymonostwa Furstenbergów, wzniesiono budynek Domu Parafialnego, po wojnie zaadaptowany na Teatr Dzieci Zagłębia. Narożny obiekt z wejściem na osi głównej powstał w dużej mierze dzięki datkom ofiarnych mieszkańców, na których spore wrażenie musiała robić cegielka na jego budowę z wizualizacją projektu. Realizacja odbiegała jednak nieco od planów – w praktyce budynek nie został ukończony według pierwotnego zamysłu, ponieważ zrezygnowano z kilku segmentów, skracając tym samym jedno skrzydło. Doklejenie do rdzenia nowej części, które nastąpiło w późniejszym czasie, zupełnie zakłóciło jego dawny charakter.

Nieopodal wejścia na cmentarz od strony kaplicy św. Tomasza, na Wzgórzu Zamkowym, usytuowano budynek zbiornika wodociągowego. Niewielkiemu obiektowi nadano nowatorski, oryginalny kształt, będący odbiciem trendów panujących wówczas w architekturze. Zaskakująca jest tu dbałość o estetykę i ciekawą formę, użytkowego przecież, budynku. Obiektowi nadano postać niewielkiej, parterowej budowli, wtopionej w zbocze nasypu ziemnego. Jego fasadę zaakcentowano dwoma bocznymi skrzydłami oraz szeregiem pięciu głębokich wnęk okiennych. Powstanie zbiornika wodociągowego w 1931 roku było niezbędnym elementem tworzącej się będzinśkiej sieci wodociągowej.

Z powodzeniem budynki modernistyczne zaczęto realizować także w dzielnicy Warpie. Powstawały tam



Willi przy ul. Kościuszki 26. Fot. arch.

głównie obiekty willowe oraz kamienice o wysokich walorach estetycznych. Część dzielnicy położona tuż za torami, oddzielona nimi od pobliskiego centrum, stanowiła świetny grunt do adaptacji nowatorskiej architektury, innej od tej tradycyjnej, przeważającej w starej części miasta. Ciekawe obiekty można podziwiać przy ulicy 1. Maja 6 i 10, Kopernika 7, czy Promyka 28. Do większych realizacji należy budynek dawnego sierocińca żydowskiego przy ulicy Sienkiewicza 17 i szkoła przy ulicy Promyka 26, sąsiadująca i budowana w tym samym czasie z wspomnianym już Gimnazjum Męskim Zgromadzenia Kupców.

Wspomnianym wyżej budynkom, jak i o wielu innych realizacjach warto poświęcić znacznie więcej uwagi przy okazji kolejnych artykułów.

Modernizm będzinśki, niedoceniany, a może jeszcze po prostu nie odkryty nie ustępował modernie pobliskich miast śląskich. Równoległe z Będzinem dużo świetnych realizacji powstawało również w dynamicznie rozwijającym się Sosnowcu, w którym nowoczesny styl adaptowano ze szczególnym powodzeniem. Będzinśkie realizacje cechował także wysoki poziom wykonania, dorównujący obowiązującym standardom. Dziś już zapomniane, powoli niszczone, w opinii wielu mieszkańców raczej odpychają, niż stanowią ozdobę będzinśkich ulic. Wy-

jątkiem są tu na dobrą sprawę tylko: budynek będzinśkiej poczty, niestety nie-trafiona renowacja siedziby WKU oraz odrestaurowany niedawno, z baczeniem na zachowanie oryginalnej substancji, gmach dworca kolejowego. Szkoda tylko, że wciąż trudno na nowo uczynić z niego, zgodnie z zamysłem projektanta, aktywny ośrodek prężnie rozwijającego się centrum miasta.

Moderna nadal istnieje w świadomości mieszkańców jako coś negatywnego, niegodnego szacunku, coś co najchętniej byłoby wyeliminować z miejskiego krajobrazu. Może to wina wpojonej nam estetyki, która każe zachwycać się bogato opracowanymi fasadami neobarokowych kamienic, deprecjonując przy tym budynki gładkie, pozbawione ornamentu? A może wina leży w braku świadomego postrzegania zabytków i wiedzy na temat ich ochrony? Na szczęście od kilku lat zapanowała swego rodzaju „moda na modernizm”, przejawiająca się choćby w tworzeniu szlaków tematycznych (m.in. szlak katowickiej moderny), konferencji i sesji naukowych, coraz liczniej pojawiających się publikacji. O modernie wreszcie się mówi.

Choć dla niektórych wciąż kontrowersyjna, jej niewątpliwie piękno i unikalność zaczyna być dostrzegane i doceniane.

Stefania Hanusek
Muzeum Zagłębia w Będzinie

Co przyszły dziennikarz wiedzieć powinien

Znane porzekadło mówi, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, jednak w zawodzie dziennikarza żądza wiedzy i informacji to wręcz codzienna konieczność, ale także ważna umiejętność. Takie cechy jak pomysłowość, komunikatywność, umiejętność pracy w zespole to dziś atuty niezwykle cenione przez wielu pracodawców. Jednym ze sposobów na rozwijanie tych zdolności jest wybranie studiów na kierunku dziennikarskim. Wydaje się, że zawód ten zdobywa coraz większą popularność, także za sprawą dynamicznie rozwijającej się branży internetowej. Dziennikarstwo to nie tylko zawód, ale i wyzwanie w realizacji misji społecznej. Warto, by osoby, które zastanawiają się nad wyborem tej drogi, zadały sobie kilka pytań, na przykład takich, jak poniższe.

W jaki sposób funkcjonują dziennikarze na rynku pracy i jaka praca czeka nas po dziennikarstwie?

Dziennikarstwo to działalność, której celem jest zbieranie informacji dotyczących ludzi, zdarzeń, problemów i przekazywanie ich opinii publicznej za pomocą środków masowego przekazu. Działalność ta może być realizowana zawodowo, ale nie tylko. Mowa tu przede wszystkim o tzw. dziennikarstwie obywatelskim oraz takim, które uprawiane jest w celach hobbystycznych.

Dziennikarstwo to zawód cechujący się prawością, etyką, zaufaniem społecznym i poczuciem bezpieczeństwa. Tak być przynajmniej powinno. Jest to profesja na rzecz ludzi i w imię interesu publicznego. Szczególną i niezbywalną cechą tego zawodu jest więź zaufania pomiędzy dziennikarzem a jego odbiorcami.

Zawodowi dziennikarze, aby być profesjonalistami, stają przed koniecznością wyspecjalizowania się w określonych dziedzinach. Mowa tu więc o dziennikarstwie sportowym, kulturalnym, politycznym, gospodarczym czy innym. Takie ukierunkowanie daje także możliwość rozwijania własnych zainteresowań i pogłębiania wiedzy z dziedzin, które są nam bliskie. Dziennikarstwo od zawsze bowiem uważane było nie tylko za sposób na zarabianie, ale także określony styl życia i sposób myślenia, wynikający także z osobistych zainteresowań, poglądów i postaw.

Dziennikarz może się także specjalizować w zależności od charakteru uprawianej działalności. Tak więc wyróżniamy reporterów, felietonistów czy komentatorów.

Dziennikarstwo stało się obecnie popularnym kierunkiem studiów. Zainteresowanie tą profesją wynika poniekąd z faktu, iż coraz większa liczba uniwersytetów oraz uczelni wyższych proponuje ten kierunek przyszłym studentom. Niegdyś dziennikarstwo stanowiło specjalność na takich kierunkach jak politologia czy filologia polska. Dziś jest to już odrębny kierunek,

który kształci przyszłych pracowników mediów, ale nie tylko. Studia te przygotowują do pracy w szeroko rozumianym obszarze reklamy i public relations. Stanowią także doskonałe przygotowanie do zawodu rzecznika czy specjalisty w zakresie promocji i kształtowania wizerunku.

Studia dziennikarskie to jednak przede wszystkim przygotowanie do pracy w sektorze medialnym. Po pierwsze, w redakcjach czasopism i wydawnictw oraz domach mediowych. Po drugie, w radiu, gdzie codzienność dziennikarza polega głównie na pracy z własnym głosem. Po trzecie, w telewizji, gdzie można pracować na stanowisku dziennikarza, wydawcy programowego, prezentera, montażysty, operatora oraz wielu innych. Praktyka pokazuje, że wiele z tych ról należy łączyć we współczesnej pracy. I po czwarte, w sieci czyli uprawianie dziennikarstwa internetowego i społecznościowego. W tym aspekcie kryją się niewątpliwie największe szanse współczesnego dziennikarza jako znawcy nowych mediów.

Dlaczego warto studiować dziennikarstwo?

Przed wszystkim studia dziennikarskie są multidyscyplinarne i wszechstronnie rozwijające. Z jednej strony są to warsztaty teoretyczne, które właściwe są dla kształcenia na poziomie wyższym, ale z drugiej strony kierunek ten proponuje także wiele zajęć praktycznych, które stanowią przyczynę do późniejszej pracy zawodowej. Zajęcia prowadzone przez praktyków dają szansę głębszego zaznajomienia się z profesją, jaką jest dziennikarstwo. Absolwenci tego kierunku poznają praktyczne zasady funkcjonowania współczesnych mediów, znają etykę dziennikarską, potrafią zaplanować i przygotować kampanię medialną. Z drugiej zaś strony znają podstawy funkcjonowania gospodarki, polityki zagranicznej, współczesnej kultury, ale także główne zasady planowania i realizacji badań o charakterze społecznym.

Dziennikarstwo warto studiować także z przyczyn związanych z własnym rozwojem. Kierunek ten niewątpliwie otwiera na świat i ludzi, kształtuje umiejętności komunikacyjne i językowe, które przydatne są niemal w każdej pracy. Dziennikarz to zawód, który przygotowuje do pracy w branżach pokrewnych, takich jak na przykład fotografia.

Niekwestionowaną zaletą tego zawodu jest także posiadanie rozległych kontaktów z interesującymi ludźmi, bycie świadkiem ważnych wydarzeń, liczne okazje do podróżowania. Dodatkowo warto tu podkreślić, że zawód dziennikarza cieszy się prestiżem i nadal uchodzi za profesję elitarną, cenioną społecznie. Profesja dziennikarska należy do zawodów zaufania publicznego, co pociąga za sobą przywileje, ale też nakłada ogromne obowiązki i odpowiedzialność w zakresie dysponowania informacją i przekazywania jej społeczeństwu.

Gdzie możemy studiować dziennikarstwo w naszym regionie?

W naszym regionie jest kilka uczelni, na których możliwe jest podjęcie studiów dziennikarskich. Jest to przede wszystkim Uniwersytet Śląski, gdzie można studiować dziennikarstwo i komunikację społeczną zarówno w trybie dziennym, jak i zaocznym oraz podjąć studia na pierwszym (licencjackim) i drugim (magisterskim) stopniu. Uniwersytet Śląski przygotował w tym roku również nową ofertę podyplomowych studiów dziennikarskich (więcej informacji pod adresem: <http://kandydat.us.edu.pl/node/28>).

Uczelnie niepubliczne oferujące w swoim programie ten kierunek to przede wszystkim Wyższa Szkoła Humanitas w Sosnowcu oraz Wyższa Szkoła Techniczna w Katowicach. Ostatnia uczelnia oferuje wyłącznie studia pierwszego stopnia.

Joanna Wójcik

Jedną z pierwszych szkół parafialnych na pograniczu śląsko-małopolskim założono już w pierwszej połowie XIV wieku w Sączowie. Natomiast początków zorganizowanego szkolnictwa na ziemiach obecnej gminy Bobrowniki, Mierzęcice, Ożarowice i Siewierz można dostrzec pod koniec XVI wieku.

Pierwsze szkoły na wsiach pogranicza śląsko-małopolskiego

Jacek Malikowski

Szkołki parafialne

Jak podają źródła archiwalne, pierwszą szkołę parafialną w Sączowie założył w 1327 r. proboszcz Sączowa ks. Marcin. Początkowo nauczycielami byli księża.

Początek XVI wieku dla szkolnictwa przynosi ważne postanowienia. Rozporządzenie o powszechnym szkolnictwie parafialnym w diecezji krakowskiej, zawarte w statucie uchwalonym na synodzie diecezjalnym biskupa krakowskiego Jana Konarskiego z 1509 r., zleciło plebanom „aby utrzymywali nauczycieli, czy też kierowników szkoły, którzy by z całą pilnością nauczali chłopców pragnących się uczyć”. W 1598 r. kierownik szkoły w Sączowie otrzymywał 4 zł p. pensji rocznie od proboszcza sączowskiego. W listopadzie 1598 roku istnienie szkoły parafii Targoszyce, obejmującej 7 wsi (Targoszyce, Mierzęcice – pisownia oryginalna – Sadowie, Zawada, Toporowice, Przeczyce, Brudzowice), potwierdza wizytacja przeprowadzona przez biskupa pomocniczego Krzysztofa Kazimirskiego w imieniu biskupa krakowskiego kardynała Jerzego I Radziwiłła. Chłopcy z pozostałych wsi, jak Nowa Wieś, Zedek, Perzowice mogli uczyć się w szkole parafialnej pobliskiego Sączowa. Zawiera ona informacje o istnieniu domu szkolnego w Mierzęcicach, którego kierownikiem był Maciej z Tworzowic. Pobierał on od proboszcza 5 zł 10 gr. rocznie i posiadał pół łana oraz ogród przy kościele. Plebania oraz wszystkie zabudowania znajdowały się wówczas w Mierzęcicach, natomiast w Targoszycach był jedynie kościół. Podczas kolejnej wizytacji w 1619 r. dokonanej przez archidiacona krakowskiego Jana Foxa, odnotowano: „rektor szkoły ma dom, pół roli, niwę od proboszcza i ogród przy kościele”.

Niepodzielną władzę nad szkołką parafialną i jej kierownikiem sprawował proboszcz. Objęcie funkcji kierownika zależało od niego. Często proboszcz sprowadzał kierownika z wioski, z której pochodził. Kontrolę nad nauczaniem roztaczał w pierwszym rzędzie proboszcz, następnie dziekan ruralny i wreszcie oficjał, czy też mianowany przez biskupa wizytator. Podstawowym warunkiem podjęcia pracy przez nauczyciela był dom szkolny, zwykle posiadający jedną izbę i komórkę, w której sypiał często z kantorem. Budowa szkoły należała do parafian. Podstawą utrzymania kierownika szkoły była klerykatura, czyli świadczenie składane przez chłopów na rzecz szkoły. Była ona powiązana z ilością łanów kmiecych, od których płaciło się 1 grosz rocznie; zagrodnicy i chałupnicy czynili to w wymiarze pół grosza.

Urzędowo nauczyciel szkołki wiejskiej nazywany był kierownikiem szkoły (rector scholae). Z końcem XVII w. przyjęło się go nazywać bakałarzem, bez względu na kwalifikacje. Klechą nazywano kierownika, który nie posiadał studiów akademickich. Coraz częściej bowiem zostawał nim uczeń szkoły parafialnej, najbardziej zdatny, dorosły i wykształcony. Gdy w parafii nie było kantora i kościelne-

go, musiał klecha dbać o stan i porządek budynku szkolnego, obsługiwać przy ceremoniach, dzwonić 3 razy dziennie na Anioł Pański. Niejednokrotnie klechą zostawał kantor wiejski, z dobrym głosem, który był wcześniej sługą i pomocnikiem poprzedniego nauczyciela.

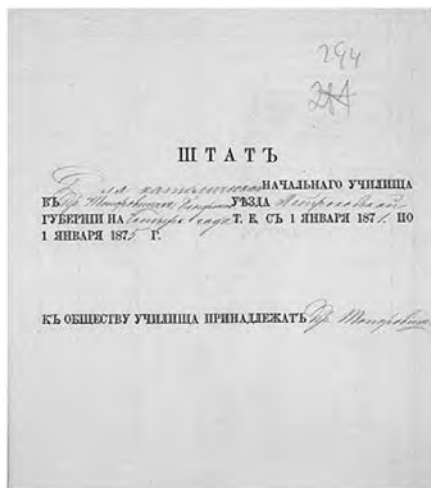
Do szkoły parafialnej mogli uczęszczać tylko chłopcy, dziewcząt do niej do połowy XVIII w. nie przyjmowano. Wiekowo uczniowie różnili się mocno. Przyjmowano chłopów jeszcze przed ukończeniem 7 lat, ale również trafiali się tacy, którzy przekroczyli rok dwudziesty. Nauka w niej nie była zanadto regularna i nie obejmowała zbyt wielu chłopców. Zaganiano ich nieraz do roboty w gospodar-



Nauka w szkole parafialnej. Mal. Tadeusz Kubisa

stwie klechy. W zimie natomiast z powodu mrozów naukę przerywano, zwykle do kwietnia. W XVII w. najczęściej ze szkołki parafialnej korzystało 6–10 uczniów.

W 1612 r. w ustawie dla szkół parafialnych *Modus instituandae inventutis* ustalono jak postępować z nieumiejącymi czytać, nie starając się narzucać nauczycielom metod nauczania. Zwykle ćwiczone na podstawie sentencji i utworów możliwie jak najkrótszych. W ramach obowiązków uczniowskich ustawa wprowadziła zwyczaj spowiadania się i przyjmowania komunii świętej. Szkoła nie przekraczała poziomu trywialnego. Uczono przede wszystkim czytać i pisać po łacinie, w mowie niezrozumiałej dla mieszkańców wsi. Po osiągnięciu znajomości liter uczono uczniów w oparciu o teksty łacińskie, głównie wierszyki np. *Ama Deum super omnia* czy *Homo sine literis speculum impositum*. Lekcje odbywały się codziennie rano przez 4 godziny, nawet niedziela niezupełnie wolna była od nauki. Pracę nauczyciela rozdzielano wówczas na wychowanie religijno-moralne (pietas) i nauczanie (sapientia). Dopiero elementarze redagowane w XVIII w. zaczęły uwzględniać w jednakowej mierze tekst łaciński



Plan finansowy (etat) dla szkoły w Toporowicach od stycznia 1871 r., ustalony przez Naczelnika Łódzkiej Dyrekcji Naukowej. Źródło: APK, Akta gminy Sulików, O katolickich nauczalnych училищach 1872–1876, sygn. 24, k. 244, 247

z polskim. To między innymi zaczęło szykować grunt pod przyszłe szkolnictwo ludowe.

Po najeździe szwedzkim (1655–1660) w dekanacie bytomskim według wizytatora bp. M. Oborskiego tylko 19,3% parafii prowadziło szkoły. Choć ten sam wizytator w czasie wizytacji czasu potopu wykazywał istnienie 55 szkół na 63 parafie, co stanowiło 87,3% ogólnej liczby. Wyrazny i długotrwały kryzys szkolnictwa parafialnego datuje się na lata 30. XVIII stulecia (21% szkół w zwizytowanych parafiach). W 1721 r. podczas wizytacji parafii Targoszyce stwierdzono tylko organistę, podobnie jak w parafii Siewierz, Siemonia, Sączów, Kamień, Radzianków i Koziegłowy. *Rectora scholae* wykazano natomiast w Wojkowicach Kościelnych (nieco później, bo w połowie XVIII w. nie odnotowano w parafii Targoszyce uczniów, w Siewierzu było ich 18, Koziegłowach – 4, Wojkowicach Kościelnych – 6).

Wymieniona szkoła parafialna była jedyną do czasu powstania przedrozbiorowej Komisji Edukacji Narodowej po roku 1783 r. Była ona jednoklasowa, umieszczona na plebanii. Nauka w niej odbywała się od października do końca kwietnia. Aż do opracowania programów nauczania przez Komisję, nauczano w niej chłopców modlitw, śpiewu kościelnego, służenia do mszy, a później również katechizmu. Nauczanie prowadzili zazwyczaj organiści. Oprócz nauczania młodzieży początków nauk i śpiewu uczestniczył wraz z nimi w nabożeństwach kościelnych oraz śpiewał w czasie mszy niedzielnej. Klechę utrzymywali chłopci, płacąc tzw. klerykaturę, która była nie raz zastępowana sepem w życie i owsie, bochenkami chleba, masłem i innymi produktami.

XVIII-wieczne początki szkolnictwa elementarnego

Zaistnienie KEN i jej działalność programowa w postaci „Przepisu do szkół parafialnych” z czerwca 1774 r. umożliwiły uczenie w niej poza religią, także czytania i pisanie po polsku oraz rachowania. Naukę miało dziecko rozpoczynając od lat 4 lub 5. Dokument jednak uzależniał to od dobrej woli proboszczów. W tym okresie, w księstwie siewierskim do szkół parafialnych uczęszczało nie więcej jak 8% dzieci w wieku szkolnym.

Nauczyciel pobierał płacę od właściciela wsi, a od rodziców uczących się dzieci wynagrodzenia w płodach rolnych. Każda wieś obowiązana była od 1807 r. prowadzić szkołę, a w razie braku środków finansowych przyłączyć się do innej. Wszystkie dzieci do 12 lat powinny były się uczyć. Jednak w rzeczywistości szkół elementarnych poza tą założoną w Targoszycach nie było jeszcze przez wiele lat w gminie Sulików. Do otwarcia Szkoły Podwydziałowej Elementarnej, za zgodą Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego doszło natomiast w 1824 r. w pobliskim Siewierzu.

Wtedy też, w latach 20. XIX w. – za probostwa ks. Robaczka – istniały szkoły elementarne w Przeczycach i Targoszycach. Nauczali w nich Augustyn Sołtysik i Szymon Miśkiewicz. Jednak po kilku latach upadła szkoła elementarna w Targoszycach, gdyż ustawa z 1833 r. nie wymagała istnienia szkół na wsiach.

W 1840 r., po ogłoszeniu ustawy szkolnej, obowiązkowe zakładanie szkół było tylko w miastach. Na wsiach tylko w razie żądania i zebrania połowy potrzebnych funduszy. Wtedy dopiero inspektor obwodowy wydawał zezwolenie i desygnował pozostałą ich

część. Opiekunem nad utworzoną szkołą był proboszcz. Lekcje prowadzone były już przez cały rok, z wyjątkiem letnich wakacji. Każda gmina, aby mieć szkołę, powinna była zapewnić mieszkanie i ogród dla nauczyciela oraz pensję 45–120 rubli, a także fundusz na pokrycie innych wydatków.

Szkoły organizowano w budynkach posiadających mieszkanie nauczycielskie. Jednym z pierwszych nauczycieli w gminie był Kazimierz Tyszler, który przybył już w okresie zaborów z Bytomia, a osiadł w Przeczycach. Dzieci uczył on w drewnianym, krytym słomą budynku położonym na Małym Łęgu nad rzeką Czarną Przemszą. Mimo represji uczył języka polskiego, historii i geografii ojczystego kraju, a poprzez pobliską granicę na Brynicy przewoził w obie strony książki, publikacje i broszury. Znał język polski, niemiecki i rosyjski. Wypłacano mu niewielką pensję, uzupełnianą produktami rolnymi od rodziców nauczanych dzieci. Obejścia szkolnego pilnował stróż. Dwukrotnie w ciągu roku sołtys objeżdżał parokonnym wozem zagrody wiejskie, zbierając dary w naturze dla nauczyciela. Gospodarze dawali ziemniaki, ziarno, mąkę, słoninę i inne produkty rolne. Datkami tymi dzielił się nauczyciel ze stróżem pilnującym obejścia szkolnego.

Od 1862 r. zaczęto rozróżniać szkoły początkowe i elementarne rządowe, jedno- i dwuklasowe. Wtedy też przemianowano szkołę parafialną w Targoszycach na jednoklasową szkołę elementarną. Uczono w niej wówczas religii, czytania i pisania, czterech działań arytmetyki i śpiewu. Zobowiązano również nauczyciela doprowadzenia rozmów z uczniami o pożytecznych przedmiotach.

Co ciekawe, w roku 1861 chłop parumorgowy Joachim Urbańczyk założył szkołę w pobliskich Brudzowicach. Nauczanie poprzez czytanie odbywało się w jednej z izb jego chaty chłopskiej – jak pisano o tym w warszawskiej „Gazecie Codziennej” (lipiec 1861) – był ów chłop nie tylko piśmienny, ale i obdarzony wyobraźnią, doceniając potrzebę oświaty dzieci chłopskich.

Obowiązek nauki na poziomie elementarnym

Obowiązek nauki na poziomie elementarnym wprowadził Ukaz o szkolnictwie elementarnym z 11 września 1864 r. podpisany przez cara Aleksandra II, regulujący zasady funkcjonowania oświaty elementarnej w Królestwie Polskim. Wprowadzono podział na szkoły wioskowe jednoklasowe i gminne dwuklasowe. Przedmioty miały być prowadzone w „je-

zyku rodowitym” mieszkańców gminy lub wioski. Program szkolny wypełniono nauką opartą na dogmatach wiary i kulcie dla cara. W pierwszym roku dzieci miały poznać podstawowe działania arytmetyczne, miary, wagi i pieniądze używane w Cesarstwie Rosyjskim. Ponadto zakładano, że nauczą się czytać i pisać w rodzimym języku, przestudiują katechizm swego wyznania, pacierz oraz zdobędą wiedzę z historii świata. W drugiej klasie miały doskonalić umiejętność czytania i pisania, liczenia, zdobywać informacje o otaczającej przyrodzie, geografii oraz praktyczne wiadomości o gospodarstwie wiejskim i rachunkowości.

W zaistniałej sytuacji kolejno powstały jednoklasowe szkoły (католические начальное училища) w: Brudzowicach – 1864 r., Mierzęcicach – 1865 r., Przeczycach – 1866 r., Nowej Wsi – 1869 r., Toporowicach – 1871 r. i Zendku – 1890 r. Szkoły te miały znajdować się pod opieką zebrań gminnych i wioskowych, które odpowiadały za ich organizację, pracę i utrzymanie nauczycieli oraz za stan budynków szkolnych. Szkoły zazwyczaj zakładano na gruntach pokarczemnych, z polecenia rządu rosyjskiego – szkołę mierzęcicką usadowiono wtedy na tzw. osadzie szkolnej o powierzchni 46 prętów, pod numerem 67. Wówczas na utrzymanie szkoły w Przeczycach włościanie łożyli składkę 1 rubla 6 kopiejek, komornicy – 15 kop. w roku 1873.

W pobliskim Siewierzu działała o wyższym poziomie organizacji 2-klasowa szkoła z 3 nauczycielami, prowadząca od 1875 r. oddział żeński.

Nadzór pedagogiczny sprawował Naczelnik Łódzkiej Dyrekcji Szkół. Przydział on książki biednym uczniom, uwzględniając wnioski wójta. Po 1875 r. na mocy ukazu zmieniono nazwy szkół z wyznaniowych, na początkowe: wiejskie, gminne i miejskie. Najlepiej wyposażona była ta nowowiejska, mianowicie posiadała 9 ławek, tablicę, stolik, stołek i szafkę na książki. Wynagrodzenie nauczyciela w niej pracującego wynosiło 75 rubli rocznie. Wyposażenie szkoły mierzęcickiej stanowiło 6 ławek, tablica i stół. Uczący w niej nauczyciel A. Skibiński pobierał 100 rb. zapłaty. Szkoła w Przeczycach była nieogrodzona, a na powale domu brakowało polepy. Należy dodać, że rząd z reguły pokrywał połowę wydatków przeznaczonych na utrzymanie szkół (75–100 rubli rocznie) przez 10 lat.

W 1871 r. wprowadzono obowiązek czytania i pisanie w języku rosyjskim w szkołach elementarnych. Nauczanie pozostałych przedmiotów w tym języku zatwierdzono

instrukcją szkolną od 1885 r. Wtedy też zniesiono prawo samorządu do wybierania pedagogów oraz utrudniono prowadzenie religii przez katechetów rzymskokatolickich.

Rusyfikacja

Teksty podręczników były pisane cyrylicą. W 1872 r. nauczycieli gminnych skierowano na 2-tygodniowy kurs przygotowawczy do Piotrkowa Trybunalskiego w zakresie metodyki pracy z dwujęzycznymi podręcznikami polsko-rosyjskimi. Stąd wysłano m.in. Stefana Skibińskiego uczącego w Mierzęcicach, nauczyciela z Toporowic Jana Nawrockiego i Teklę Górską ze szkoły brudzowickiej oraz Józefa Olszewskiego i Karola Mackiewicza z Siewierza.

Z zachowanych protokołów i raportów można wnosić o wysokim poziomie analfabetyzmu w gminie, przekraczającym 90 proc. w latach 70. XIX w. Od 1885 r. język rosyjski stał się językiem wykładowym. Zaczęto ćwiczyć śpiewanie hymnu *Boże cara chroni*, którym rozpoczynano wszelkie uroczystości szkolne. Na ścianie zawieszono portret Gósdara Impieratora.

Mierzęcicka szkoła została zbudowana na terenie wydzielonym z ziemi popołowarnej, o powierzchni 2 morgów. Znajdowała się ona w odrębnie postawionym domu drewnianym z 1 izbą szkolną i mieszkaniem nauczycielskim. Około 1894 r. budynek ten spłonął doszczętnie, co zmusiło do prowadzenia nauki w wynajętej przez władze gminne izbie. W 1902 r. za sprawą nowo przybyłego nauczyciela Piotra Musiała postawiono nowy budynek wraz z ustępami i stodołą gospodarską.

Rozwój wiejskiej sieci szkolnej na przełomie XIX/XX wieku

W roku poszerzenia gminnej sieci szkolnej o placówkę w Zendku, tj. r. szk. 1889/1890, zatrudniano ogółem 7 nauczycieli w szkołach ludowych: Zygmunta Kwapiszewskiego – Siewierz (szkoła męska), Zofię Rybak – Siewierz (szkoła żeńska), Franciszka Domańskiego – Mierzęcice, Eugeniusza Michalskiego – Nowa Wieś, Marcina Kowalskiego – Brudzowice, Antoniego Bednarowicza – Brudzowice i Bronisławę Pieciewicz – Przeczycy. Większość nauczycieli nie zagrzewała zbyt długo miejsca w jednej szkole, będąc przenoszona przez Łódzką Dyrekcję do kolejnej, nie zaś w tej samej gminie.

Nowo otwarta szkoła w Zendku objęła edukacją w pierwszym roku nauczania grupę 22

dzieci z Zendka i Strąkowa, za opłatą wynoszącą 2,5 rubla rocznie, w przypadku uczniów z rodzin małorolnych włościan – 1,25 rb. Kontynuując ją w drugim roku liczyła ona już 128 uczniów, od rodziców których zebrano 250 rb 50 kopiejek. Nauczycielem wyznaczono Bartłomieja Narewskiego. Szkoła została nader skromnie wyposażona, tj. w 1 elementarz, dziennik klasowy, metodykę arytmetyki Goldenberga, metodykę języka rosyjskiego Jelniczkiego, globus, skrzypce, różgi oraz mapę europejskiej części Rosji.

W 1899 r. w 6 gminnych szkołach nauczali: Brudzowice (55 uczniów) – Włodzimierz Grabski, Zendek (44 uczniów) – Jan Szlezinger, Nowa Wieś (74 uczniów) – Eugeniusz Michalski, Mierzęcice (50 uczniów) – Franciszek Maciejewski, Przeczycy – Antoni Karcz (od października – Stefan Kłopotowski), Toporowice (79 uczniów) – Bolesław Rysowski.

Kilkanaście lat później poprawiło się nieco wyposażenie bibliotek szkolnych, np. w szkole toporowickiej udało się zgromadzić w październiku 1912 r. 58 woluminów. Kształcenie uczniów w szkołach miejscowych prowadzili wówczas – Piotr Lipczyk w Zendku, Mikołaj Sianos w Mierzęcicach, Franciszek Radzicki w Toporowicach, Władysław Rybczyński w Nowej Wsi, Osip Górski w Przeczycach i Stanisław Głombski w Brudzowicach.

Frekwencja uczniowska pozostawiała wiele do życzenia; w Przeczycach w roku szkolnym 1899 na 87 zapisanych na lekcje chodziło 46, w Brudzowicach w 1914 r. na 93 zapisanych do szkoły uczęszczało stale 58 dzieci. Chłopi niechętnie przystawali na nauczanie swoich pociec w języku rosyjskim. Dzieci w większości pojawiały się na lekcjach tylko w porze zimowej. Nieobecność dziecka w domu traktowali chłopcy jako uszczerbek dla gospodarstwa. Musieli oni utrzymywać nauczyciela i szkołę, co też rozumiano jako dodatkowy, a niepotrzebny wydatek.

Jak pokazał czas, bezpośrednio doświadczenia wojenne wielu chłopów wcielonych do armii rosyjskiej mających problemy z korespondencją do własnych rodzin, uświadomiły im potrzebę nauki, zwłaszcza czytania i pisanie. Inicjatywę w sprawie wspierania finansowego szkół i podnoszenia efektywności nauczania w nich przejmować zaczęły kobiety, często żony walczących żołnierzy. Wzbudziło to zainteresowanie kursami prowadzonymi dla analfabetów, na przykład w Toporowicach i Zendku. Pojawili się pierwsi stali czytelnicy prasy ludowej.

Polska mowa – trudna mowa?

„Baunsuj z nami! Tak zarabiamy. I wiesz co? Jestem tym zajarany” – rapuje Tede, jeden z najbardziej znanych na hip-hopowej scenie wykonawców. Niejednemu z przedstawicieli „starszego pokolenia” wyjaśnienie form „baunsować” (tańczyć) czy „jestem zajarany” (w tym kontekście: zostałem w to wciągnięty; omamiono mnie to) przysporzyłoby kłopotów. Zapożyczenia, kolokwializmy, a nawet wulgaryzmy pojawiają się również u innych artystów, zajmujących się nie tylko hip-hopem, ale także innymi – niejednokrotnie pokrewnymi – gatunkami, np. rapem.

Muzyka to tylko jedna z wielu dziedzin oddających specyfikę języka, który ulega ciągłym zmianom. Zarówno nasza mowa, jak i słowo pisane stopniowo przekształcają się pod wpływem epoki, w jakiej zaistniały. Współcześnie do prawdziwej rewolucji na tym polu przyczyniły się komunikatory internetowe, jak choćby popularne Gadu-Gadu. Powszechnie używane przy powitaniach „cześć” ustąpiło miejsca twórcom takim jak skrótkowe „cze”, „elo”, „siemano”, a także – tak często powtarzające się we wspomnianych wyżej tekstach hip-hopowych – „jo!”. Pożegnalne formy „do usłyszenia” czy „pa” nagminnie zastępowane są wyrazem „cy”, skrótkowcem przejętym z języka angielskiego („see ya”). Zapożyczenia są obecnie zjawiskiem tak powszechnym, że w zasadzie niezauważalnym, być może w przyszłości i „cy” na stałe zakorzeni się w języku polskim...

Problematycznym zjawiskiem może być slang młodzieżowy. Kwestię tę poruszył m.in. profesor Kazimierz Ożóg z Uniwersytetu Rzeszowskiego. Jak sam twierdzi, „młodzież tworzy wiele nowych wyrazów, które są śmieszne, wynikające często z nieoczekiwanych skojarzeń. Ma to na celu ironizowanie i krytykę zastanej rzeczywistości w prosty sposób” – nie znaczy to jednak, że powinniśmy być wobec tego zjawiska bezkrytyczni. Wprawdzie wiele słów typowych dla młodzieżowego języka upowszechniło się już jakiś czas temu (np. „obciach” – gafa, wstyd) i współcześnie raczej nie brzmią one szczególnie pretensjonalnie, problem jednak stanowi adaptacja wulgaryzmów. Wyrażenia takie jak „za***isty” (również wspomniane w zacytowanym artykule)

nie mają już dziś pejoratywnego zabarwienia, wręcz przeciwnie – używanie ich świadczy o zachwycie mówiącego, a także o jego postępowości. Mało kto pamięta o tym, że język polski podsuwa nam wiele zamienników, jak choćby „kapitalny”, „fantastyczny” czy „rewelacyjny”. Niestety, stosowanie wulgaryzmów uważa się nawet u osób publicznych, dziennikarzy; bardzo często bezmyślnie przyjmują oni wszelkie naleciałości językowe, co nadaje ich wypowiedziom zmanierowany ton. Wskutek tego widzowie, oglądając telewizję, mogą usłyszeć w popularnych programach słowa typu „fajter” czy „hypnotajzing”, a przecież polski „wojownik” bynajmniej nie wydaje się gorszy. Oczywiście ta amerykanizacja nie wiąże się z samymi negatywami – trudno byłoby znaleźć w naszym języku dobry odpowiednik wyrazu „hot-dog”; jednak usilne odwoływanie się do zapożyczeń mających zastępować polskie słowa, które tych zamienników nie wymagają, może prowadzić nie tylko do zubożenia językowego, lecz również do zatracenia własnej tożsamości kulturowej.

Kultura słowa to już nieco inna dziedzina, warto jednak zwracać uwagę na język, jakim się posługujemy – nawet w sytuacjach nieoficjalnych. Slang sam w sobie nie jest zjawiskiem negatywnym, należy jednak pamiętać, że im częściej używamy go w swoim środowisku, tym bardziej uzewnętrznia się on w sytuacjach i miejscach, w których nie powinien mieć prawa bytu, a więc w bibliotece, restauracji, szkole, na uczelni. Jakiś czas temu byłam świadkiem pewnego zdarzenia, które miało miejsce w autobusie; dziewczyna, która siedziała obok mnie, zaczęła rozmawiać przez telefon; w pewnym momencie na cały głos zapytała swojej rozmówczyni: „To jak, Ania, masz już wakacje?”. Nie trzeba dodawać, że to ona do końca podróży była głównym „obiektem” obserwacji.

Wydaje się, że w dobie komputerów, Facebooka i telewizji w zapomnienie odeszły słowa naszego wybitnego pisarza, Mikołaja Reja, że „Polacy nie gęsi, iż swój język mają!”. Te słowa – pomimo upływu lat – bynajmniej nie tracą na wartości...

Agnieszka Suchy

Wieczorem 8 czerwca 1967 roku na biurko oficera dyżurnego komisariatu dzielnicowego milicji w Katowicach-Bogucicach trafił meldunek o mocno niepokojącej treści: „Za drzwiami mieszkania nr 9 wydobywa się trudny do wytrzymania fetor. Szyby oklejone są papierem, a okna po zewnętrznej stronie obsiadły roje much” – informował Jerzy R., mieszkaniec kamienicy ze skrzyżowania ulic Sienkiewicza i Dąbrowskiego, w śródmieściu Katowic.

Na miejsce udał się patrol milicji. Wezwano również straż pożarną. Nie chcąc wylaamywać drzwi jeden ze strażaków wszedł na dach, a stamtąd, opuszczając się na linie odblokował toporkiem okno.

– Pod parapetem leżały ludzkie zwłoki w stanie daleko posuniętego rozkładu. W łazience stała duża drewniana skrzynia obita cynkową blachą. W jej wnętrzu ujawniono kilka ciał. Nie mogliśmy określić płci, ani nawet liczby zwłok. W cuchnącej, rozkładającej się ludzkiej tkance ruszały się tysiące larw, poczwarek, owadów. Spod wanny wystawało owinięte w gazetę podudzie. Weszliśmy do kuchni. Na piecu stał garnek. Wiedzieliśmy już co będzie w środku ... – wspomina po 26 latach uczestnik tamtych wydarzeń, wówczas sierżant milicji Roman G. – ...na powierzchni gara pływała rozgotowana ludzka głowa. Na stole tykał budzik. Obok niego leżał mokry pędzel do golenia. Nie mieliśmy wątpliwości, że tutaj cały czas ktoś mieszkał. Tym kimś okazał się urodzony w 1933 roku w Kaliszu, a od 1960 mieszkający w Katowicach, Bogdan Arnold.

Zarówno przed wojną, jak i w czasach PRL-u Górny Śląsk wielokrotnie stawał się areną działania tzw. wampirów i seryjnych zabójców. Nigdy jednak organa ścigania nie zetknęły się z tak patologicznym okrucieństwem. Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że sprawcą tych morderstw mógł być tylko szaleniec. W parę miesięcy po ujawnieniu zbrodni innego śląskiego wampira Zdzisława Marchwickiego poinformowanie społeczeństwa o kolejnym seryjnym zabójcy kobiet mogło grozić wybuchem zbiorowej hysterii. Podjęto energiczne śledztwo. Sprawa była o tyle łatwa, iż milicja wiedziała kogo szukać.

O pojawieniu się kolejnego wampira opinia publiczna dowiedziała się więc dopiero po schwytaniu Bogdana Arnolda. Zresztą specjalnie się nie ukrywał. 8 czerwca, kiedy milicja dokonywała rewii-

Trzecia ofiara Arnolda umierała prawie dwa dni. Co półtorej godziny gwałcił ją. Musiała tańczy nago i prosić swojego oprawcę o odbycie z nim stosunku seksualnego. Płacz był karany uderzeniami grubego pręta.

Krwawy Bogdan

Henryk Kocot

zji mieszkania, stał pod kamienicą wśród tłumy podekscytowanych katowiczian. Następnie kupił kilka win i pojechał na hałdy do Wełnowca. Chciał popełnić samobójstwo, lecz – jak później zeznał w śledztwie – zerwał się sznur. Ujęty został 14 czerwca. Przyznał się do zamordowania czterech kobiet, których ciała znaleziono w mieszkaniu. Arnold nie zabijał dla materialnych korzyści, lecz z zemsty na swoich trzech żonach, które – jak twierdził – złamały mu życie.

Dla Komendy Wojewódzkiej Milicji w Katowicach dzień ujęcia przestępcy nie oznaczał oczywiście końca sprawy. Należało teraz drobiazgowo odtworzyć przebieg zbrodni. Pierwszego morderstwa dokonał 11 listopada 1966 roku. W barze „Kujawiak” w Katowicach przy ul. 27 Stycznia poznał Marię Boguszevicz, nigdzie nie pracującą, trudniącą się prostytutką oraz sutenerstwem. Zaprosił ją do mieszkania. Kiedy dowiedział się, że za spędzenie z nią nocy będzie musiał zapłacić 500 złotych, wpadł w szal: „Myślałem – zeznał – że poszła ze mną z miłości, a nie dla pieniędzy”. Arnold mówił przesłuchującym, że zadusił prostytutkę; szczegółowe badania wykazały jednak, że zadał jej kilkanaście ciosów młotkiem w głowę, a zwłoki wrzucił do tapczanu.

Po trzech dniach smród rozkładającego się ciała zmusił przestępcę do działania. Arnold wyjął zwłoki z tapczanu i za pomocą pozbawionego izolacji drutu podłączył je do prądu. Po co? Nie odpowiedział milicji na to pytanie. W sklepie chemicznym kupił osiem opakowań chlorku. Skraplanie nim zwłok nie dało jednak żadnego rezultatu. Arnold zdecydował się więc na spalenie niektórych części ciała. Nożem obciął dłoni i wrzucił do kuchennego pieca. Palila się długo, a na spopielenie reszty ciała Arnoldowi nie starczyło węgla. Ciało przeniósł więc

do wanny. Chlor zabijał w pewnym stopniu feter, lecz nie hamował procesu rozkładu. Arnold postanowił więc pokawałkować zwłoki i pozbyć się ich przez rurę kanalizacyjną. Morderca wpiersw odciął ofierze głowę. Zeznawał: „Włożyłem ją do garnka z ciepłą wodą. Nie mogłem znieść tego widoku, dlatego poszedłem napić się do baru. Kiedy wróciłem, postawiłem kociołek na elektryczny grzejnik. Zasnąłem. Po obudzeniu stwierdziłem, że zawartość kociołka zagotowała się”.

Po kolejnych nieudanych próbach pozbycia się ciała zostawił zwłoki w wannie. Maria Boguszevicz była pierwszą ofiarą wampira i jak stwierdzili psycholodzy jedyną, której na początku znajomości nie chciał zabić. Kolejne morderstwa dokonane zostały z pełną premedytacją.

Ofiarą Arnolda padły jeszcze trzy prostytutki. Nie krył, że każdą z nich przyprowadzał do mieszkania, by zabić. Wcześniej jednak długo się nad nimi pastwił, zmuszał do odbywania szczególnie wyuzdanych stosunków seksualnych, bił, maltretował, raził prądem, wreszcie – zabijał.

Śledztwo wykazało, że drugą ofiarę, po uduszeniu obnażył, a następnie – choć do końca nie zostało to udowodnione – przez jakiś czas odbywał stosunki seksualne z trupem.

Trzecia ofiara Arnolda umierała prawie dwa dni. Co półtorej godziny gwałcił ją. Musiała tańczy nago i prosić swojego oprawcę o odbycie z nim stosunku seksualnego. Płacz był karany uderzeniami grubego pręta. W pewnym momencie do nogi ofiary przytknięty został koniec znajdującego się pod napięciem drutu. W czasie przesłuchania Arnold stwierdził, że podłączenie do prądu wyzwała większą ochotę seksualną. Ciało ofiary, podobnie jak poprzednich, spoczęło w wannie. Już nawet nie próbował ich ukrywać.

Zwłoki czwartej ofiary nie zmieściły się już w wannie. Dlatego zostawił je

koło okna. Dziewczyna na imię miała Ruta. Bogdan Arnold męczył ją 12 godzin. Mniej więcej co godzinę dokonywał gwałtu. Nad ranem Ruta znajdowała się już w stanie skrajnego wyczerpania i nie mogła uprawiać seksu. Aby ją do tego zmusić, używał wykonanego przez siebie transformatora. W czasie przesłuchania Arnold zeznał, że cieszyła go perspektywa kolejnego mordu. Żądza krwi wzrosła, kiedy okazało się, że ofiara jest rodowitą Ślązaczką. „Zorientowałem się po akcencie” – zeznał. Ruta zginęła o godzinie 11.30 przed południem uduszona jej własną pończochą.

Po dokonaniu czwartego morderstwa Arnold zdał sobie sprawę z ogromu dokonanych zbrodni. Wiedział też, że w mieszkaniu cuchnęło tak, iż nie da się tego ukryć. Ogarnęła go apatia. Do mieszkania przychodził tylko po to, aby je trochę przewietrzyć, mieszkał na dworcu lub w pijackich melinach. Nie stawiał oporu, kiedy zatrzymywała go milicja.

W czasie procesu przesłuchano kilkudziesięciu świadków, wśród nich były żony i konkubiny Arnolda. Władysława Arnold zeznała: „Wzywał mnie od najgorszych. Wiązał ręce i nogi drutem, a do pochwy wkładał butelki po wódce. Dopiero kiedy mnie upokorzył, osiągał satysfakcję seksualną. Bił mnie, katował, a później przytulał się i przepraszał. Wtedy osiągał orgazm”.

Cecylia K., konkubina oskarżonego: „Uprawiał ze mną od 2 do 5 stosunków seksualnych dziennie. Pewnego razu, kiedy przyszedł do domu pijany w ciągu nocy zgwałcił mnie osiem razy. Kazał się gryźć po plecach i piersiach”.

Badania przeprowadzone w szpitalu psychiatrycznym w Grodzisku Mazowieckim wykazały „stany psychopatyczne nie znośzące jednak ani nie ograniczające zdolności rozumienia dokonywanych czynów oraz kierowania swoim postępowaniem”.

Obrona zażądała powtórnych badań uznając za stany chorobowe cechujące Arnolda: oglądactwo, ekshibicjonizm, masochizm, skłonność do samogwałtu i sadyzm posunięty aż do nekrofilii. Sąd odrzucił wnioski i nie dopatrując się żadnych okoliczności łagodzących skazał Bogdana Arnolda na śmierć. Jego ostatnim życzeniem była prośba o zgodę na wypalenie papierosa.

O strachu

Po raz pierwszy chciałabym cię zapytać o to samo,
co wtedy. Może nam się nie zdarzyć ten sam sen,
powierzchowne zapożyczenia, wyznania, w kółko nazwiska,
których nie sposób spamiętać. Czymkolwiek byli,
dotykam przeszłości, w jednej bombie zmieści się las,
kawałek wsi, rozedrze serce matki.

Zanim dobrze zrozumie jak działa chemia, letni dom
pokryje śnieg, a wilki wytropią wejście, będą ucztowały;
zbyt wiele ich w pobliżu, dlatego czujnych owiec już nie ma,
miejsce obok puste, legowisko pokrywają zabawki.
Przynęta odstrasza niebiesko barwione zwierzęta
i tylko spódnice w kartę układają się w fałdy,
jakby zaprasowane linie łączyły z ojcami rozbiegane dzieci.

O definicjach

Zaczęłam pisać wiersz o miłości: Dorota nie chce się zakochać.
Już nie. A ty podajesz płaszcz, kiedy świeci słońce. Różowe serca
na wystawie, czekoladki, okulary przeciw promieniom UV, w szklach
– podziwiasz marmurowe posadzki, pilastry, rzeźbione amorki na podobieństwo
dwulatków, których tatusiowie gubią się w snach.

Wielkie sklepy z piernikami, świece i wieczne pióra. Czekoladki, marcepany,
ulubione miejsce pary z sąsiedniej ulicy, nie adoptują córki sąsiadów
– nie rozumiemy się od pierwszego wejrzenia, wpadają w nastroje, wypadają.
Tylko kiedy śpią – cisza, tradycyjnie on jest czerwony, a ona czerwona.
Miłość w kapeluszach niejedno ma imię, jak przeciwstawianie się złu.
Mogłabym czytać na głos sonety Shakespeare'a, jest lepszy od znawców
humoru, od pamięci nad którą pracuję. Miłość to rum z colą i szpinak.

Oddech

Najchętniej poszłabym spać. Bez rozmów, zapisywania myśli,
bez pamięci. Z ulubioną wełnianą poduszką. Bez kryptoreklamy.
Trzy razy powtórzona nieobecność. W irlandzkich pubach,
wciąż pachnie drukarską farbą. Karmelizowane fiołki, sztuczne uśmiechy,
gnę kolana, całą siebie. Po fikołkach już tylko rum z colą i Abrahamsen.

Znowu dłużej w głowie, w uldze, którą pamiętam
z Borgesa: „którą ty i ja poczuwamy w chwili poprzedzającej śmierć,
kiedy los oderwie nas od smutnego zwyczaju bycia kimś i od
ciężaru wszechświata”. Umarł tato Anki, kot, ktoś jeszcze, dalej
trudno spamiętać wszechświat, więc piję a ty gnij się, gnij.



Małgorzata Południak

Historia w szkle

Muzeum w Sosnowcu w lutym otrzymało od Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego dofinansowanie w wysokości 100 000 zł na realizację I etapu modernizacji wystawy stałej „Polskie szkło współczesne”, ekspozycyjnej w trzech salach na parterze siedziby. Jest to wynik wieloletnich starań oraz składania wniosków po to, aby wspinała kolekcja rodzimego szkła użytkowego i artystycznego otrzymała godną siebie oprawę. Przyznana kwota to połowa wnioskowanego dofinansowania, za którą zamówiono 8 nowoczesnych gablot wystawienniczych, które spełniają wszystkie wymagania konserwatorskie i estetyczne w zakresie ekspozycji szkła.

Autorem projektu jest pracownia Agnieszki Sowy-Szenk z Wrocławia – zwycięzca ogólnopolskiego Konkursu na kompleksową oprawę plastyczną stałej wystawy „Polskie szkło współ-

czesne” ogłoszonego przez sosnowieckie Muzeum i rozstrzygniętego w 2010 r. Zastąpią one dotychczasowe gabloty z połowy lat 70. XX w. pozbawione m.in. możliwości zastosowania dostatecznego oświetlenia prezentowanych eksponatów w celu wydobycia wszystkich walorów estetycznych i technologicznych. Konstrukcja ich powodowała także szybkie wnikanie kurzu i zanieczyszczeń do wnętrza.

– Zakupiony w tym roku sprzęt to I etap modernizacji stałej wystawy, zostanie zamontowany w pierwszej i częściowo drugiej sali. W kolejnym etapie uzupełnimy salę drugą i zamówimy podest ekspozycyjny do prezentacji szkła unikatowego w sali trzeciej. Tradycyjny sprzęt wystawienniczy będzie uzupełniony o multimedialny, za pomocą którego zwiedzający będą mogli zapoznać się szeroko z całą naszą kolekcją szkła, jej twór-

cami i wytwórcami, a także dziejami naszego miasta, siedziby i pozostałymi kolekcjami muzealnymi. Planujemy też uzupełnienie ekspozycji o film edukacyjny o szkło, który naocznie przybliży jego problematykę. Zakup sprzętu multimedialnego, nakręcenie filmu oraz wzbogacenie wystawy o barwne wydruki wielkoformatowe z powiększeniami wybranych eksponatów to ostatni, trzeci, etap jej modernizacji – mówi Ewa Chmielewska, kurator wystawy.

26 czerwca została podpisana umowa między Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego a Muzeum w Sosnowcu na realizację I etapu modernizacji stałej wystawy. Nowy sprzęt zostanie zamontowany jesienią, a uroczysty wernisaż w listopadzie będzie zwieńczeniem zadania.

Ewa Chmielewska



Fot. Muzeum w Sosnowcu



"Infrastruktura służąca przedsiębiorcom - strefa Piłsudski, strefa Przemysłowa, strefa Jan Kanty w ramach projektu kluczowego dla woj. śląskiego Gospodarcza Brama Śląska, Etap I - uruchomienie Zagłębiowskiej Strefy Gospodarczej"



STREFA "PRZEMYSŁOWA III"

teren inwestycyjny położony w rejonie ul. Wojska Polskiego

Lokalizacja: Teren położony w zachodniej części Jaworzna, w rejonie Osiedla Stałego. Teren zabudowy produkcyjno-usługowej. Możliwość zabudowy: produkcyjnej, składów, magazynów, oraz obiektów usługowych.

Infrastruktura: Sieć dróg wewnętrznych, kanalizacja sanitarna, sieć wodociągowa, sieć elektroenergetyczna i kanalizacja teletechniczna.

Sposób udostępniania terenu: Sprzedaż w drodze negocjacji cenowych bezpośrednio z właścicielami działek; przetarg dla działek będących własnością Gminy Miasta Jaworzno.

Powierzchnia terenu: 15 ha - wydzielone działki inwestycyjne dostosowane do potrzeb małych i średnich inwestorów, własność osób fizycznych i Gminy Miasta Jaworzno.



STREFA "PIŁSUDSKI"

teren inwestycyjny położony przy ul. Braci Gutmanów

Lokalizacja: Teren położony w pobliżu śródmieścia Jaworzna, bezpośrednio przylega do drogi krajowej DK 79 i obwodnicy południowej miasta, dogodnie połączony komunikacyjnie z autostradą A4 i drogą ekspresową S1.

Przeznaczenie: Teren zabudowy produkcyjno-usługowej. Możliwość zabudowy: produkcyjnej, składów, magazynów, obiektów handlowych bez ograniczenia powierzchni sprzedaży.

Infrastruktura: Wybudowane zjazdy z ul. Braci Gutmanów, elektryczność, woda, kanalizacja, odprowadzenie wód deszczowych.

Sposób udostępniania terenu: Sprzedaż w drodze przetargu.

Powierzchnia terenu: 91 294 m² - działka nr 69/37; 998 m² - działka nr 69/45; 11 962 m² - działka nr 69/44; 206 391 m² - działka nr 69/43; 10 582 m² - działka nr 69/42 w obrębie 276.

STREFA "JAN KANTY"

teren inwestycyjny położony przy ul. Grunwaldzkiej

Lokalizacja: Teren położony w zachodniej części Jaworzna, w rejonie Osiedla Stałego z wjazdem na skrzyżowaniu ul. Grunwaldzkiej z ul. Szczakowską. Obszar z wydzielonymi polami inwestycyjnymi.

Przeznaczenie: Możliwość zabudowy produkcyjnej, składów, magazynów, oraz obiektów usługowych.

Infrastruktura: Wybudowana droga wewnętrzna włączona w układ drogowy miasta na skrzyżowaniu ul. Grunwaldzkiej z ul. Szczakowską. Infrastruktura techniczna służąca przyszłym inwestorom: kanalizacja sanitarna, sieć wodociągowa, sieć elektroenergetyczna i kanalizacja teletechniczna.

Sposób udostępniania terenu: Przetarg nieograniczony dla działek będących własnością Gminy Miasta Jaworzno i Spółki Restrukturyzacji Kopalń SA.

Powierzchnia terenu: 25 ha - wydzielone działki inwestycyjne dostosowane do potrzeb małych i średnich inwestorów, własność Spółki Restrukturyzacji Kopalń SA i Gminy Miasta Jaworzno.



Zlokalizowane we wschodniej części województwa śląskiego, przy ważnych szlakach i połączeniach komunikacyjnych, transportowych oraz lotniczych - Jaworzno - jest obecnie jednym z najbardziej atrakcyjnych miejsc do inwestowania. Obecnie w mieście działalność gospodarczą prowadzi prawie 7,8 tys. podmiotów, a samorządowcy cały czas starają się pozyskać kolejnych inwestorów i przedsiębiorców.

Mimo że miasto ukształtowane zostało przez przemysł wydobywczy, chemiczny i energetyczny, transformacja industrialna pozbawiła Jaworzno charakteru wielkoprzemysłowego. Tereny poprodukcyjne zostały zrewitalizowane i obecnie miasto jest otwarte na innowacyjne pomysły, nowe rozwiązania technologiczne oraz różnorodne inwestycje.

Jaworzno posiada w tej chwili około 100 hektarów terenów inwestycyjnych pod działalność przemysłową, usługową i logistyczną. Nieruchomości proponowane przedsiębiorcom chcącym rozpocząć działalność gospodarczą są terenami niezabudowanymi, w pełni uzbrojonymi i dobrze skomunikowanymi z największymi ośrodkami przemysłowymi w Polsce i Europie. Obszary te posiadają rozwiniętą sieć infrastruktury technicznej, a także łatwy dostęp do wykwalifikowanej kadry pracowniczej.

Otwartość na inwestorów i ich sprawna obsługa oraz ilość aktywnych zawodowo mieszkańców stwarza możliwość dla rozwoju na terenie Jaworzna dużych i nowoczesnych inwestycji. Miasto systematycznie przygotowuje pakiety udogodnień dla inwestorów, w tym zwolnienia z podatku od nieruchomości, a inwestowaniu tutaj dodatkowo sprzyjają również zrealizowane projekty przebudowy układu komunikacyjnego oraz efektywnie funkcjonujące otoczenie biznesu.

ATUTY JAWORZNA:

DOSKONAŁA LOKALIZACJA

- miasto położone na skrzyżowaniu autostrady A4 i drogi ekspresowej S1
- mała odległość od międzynarodowych portów lotniczych: 42 km Kraków-Balice, 46 km Katowice-Pyrzowice
- około 40 minut jazdy samochodem do Krakowa, 20 minut do Katowic, 2 godziny do Wrocławia

NOWOCZESNA KOMUNIKACJA

- wdrożona wielofunkcyjna elektroniczna Jaworznińska Karta Miejska,
- budowany szerokopasmowy internet i hot spoty
- nowoczesne drogi i autobusy, w które zainwestowano ponad 400 milionów zł
- przebudowany układ komunikacyjny Jaworzna (nagroda Top Inwestycja Komunalna 2012)

OTWARTOŚĆ NA INWESTORÓW

- wsparcie w załatwianiu formalności na każdym etapie procesu inwestycyjnego
- gminna Strefa Aktywności Gospodarczej uhonorowana nagrodą Grunt na Medal
- potencjał społeczny i liczne instytucje otoczenia biznesu
- ogromny rynek zbytu (w promieniu 100 km od Jaworzna mieszka 9 mln ludzi)
- przygotowane, uzbrojone i dobrze skomunikowane tereny inwestycyjne (100 hektarów gotowych terenów)

ULGI I ZWOLNIENIA PODATKOWE

- dla inwestorów, którzy zrealizują nowe inwestycje oraz dla przedsiębiorców tworzących nowe miejsca pracy, przygotowano zwolnienia z podatku nawet przez 10 lat

BEZPIECZEŃSTWO

- jedno z najbezpieczniejszych miast w regionie
- wysokie wskaźniki wykrywania przestępstw
- najniższa ilość kradzieży samochodów w całym województwie



Miejska dżungla, a w niej...

z Anetą Ozorek rozmawia Miła Skomra

W ostatnim czasie na terenie naszego regionu można zauważyć rosnące zainteresowanie tzw. grami miejskimi. „Metropolitalna Gra Miejska”, „Bytomska Gra Miejska”, „Sosnowiec Gra – Czasownicy” – to tylko niektóre z nich. O tym, czym są gry miejskie i na czym polega ich fenomen, rozmawiamy z Anetą Ozorek – podróżniczką, fotografką, menedżerką kultury, programerką Międzynarodowego Festiwalu ARS Independent i Międzynarodowego Festiwalu Producentów Filmowych REGIOFUN, a także koordynatorką gier podczas Festiwalu Cropp Filmy Kultowe.

Czy możesz wytłumaczyć, czym dokładnie jest gra miejska? Skąd przyszła moda na gry miejskie i jaki jest ich rodowód?

Gra miejska jest zbliżona do gry planszowej, tyle że planszą jest miasto – jego ulice i liczne zakamarki – czasami są to miejsca reprezentatywne dla danego miasta, a czasami miejsca tajemnicze, jeszcze nie odkryte. W trakcie gry drużyny, które zgłaszają się do gry, chodzą, biegają, czasem jeżdżą na rowerze, rozwiązując różnego rodzaju zadania związane z głównym tematem gry. Zadania te są przekazywane przez przebranych tematycznie agentów, którzy są porozsiewani po całym terenie gry na tzw. stacjach. Uczestnik za pomocą wskazówek otrzymanych od agentów musi znaleźć następną stację i wykonać kolejne zadanie. Tematyka może być różnorodna, od tej związanej z miastem, szeroko pojętą historią, po horror czy zagadkę kryminalną. Idea gier miejskich wywodzi się z podchodów i rajdów harcerskich, a także z LARPów, czyli terenowych gier fabularnych, w których przebijają się wszyscy – uczestnicy i organizatorzy. Co więcej, uczestnicy muszą na pamięć znać swoją postać i jej właściwości.

Jak myślisz na czym polega atrakcyjność gier miejskich w Polsce, na Śląsku i czemu ludzie chcą w nich brać udział?

Przede wszystkim jest to świetna zabawa i odpoczynek od codziennej rutyny. Gry miejskie przyciągają rzesze ludzi i nie są oni w określonym przedziale wiekowym – są to ludzie od wieku przedszkolnego do wieku dojrzałego. W zależności od tematu gry istnieje określona grupa uczestników, ale zazwyczaj zdarza się, że są to grupy zupełnie przypadkowe. Głównie są to osoby, które chcą się rozerwać i fajnie spędzić wolny czas. Gra miejska jest



Fot. M. Łuczak

połączeniem gry na czas, gry zręcznościowej i umysłowej – liczy się tutaj współpraca i wspólny wysiłek włożony w grę. Najważniejsze jest to, że każdy ma okazję wykazać się poprzez różnorodność zadań, które są oferowane w grze. Gra miejska jest dla każdego – nie trzeba być sportowcem czy mózgiem, ważne jest to, żeby współpracować i traktować grę z przymrużeniem oka.

Skąd pomysł na tworzenie gier miejskich na Śląsku? Jak długo się tym zajmujesz?

Zajmuję się tym około 4–5 lat. Inspiracja powstała głównie z gier miejskich, w których sama wzięłam udział. Pierwszą grą, w której byłam agentką, odbyła się na Zamku w Chudowie. To, co tam zobaczyłam, to, jakim zaangażowaniem uczestnicy się wykazywali, to, jak zwykłe, proste aktywności sprawiają, że ludzie przez te kilka godzin po prostu są szczęśliwi, spowodowało, że bardzo zapragnęłam stworzyć taką grę w Katowicach. Ostatecznie udało mi się zrobić kilka gier przy różnych festiwalach i wydarzeniach, m.in. przy współpracy z Kinem Kosmos, z Miejską Biblioteką Publiczną w Katowicach, Domem Kultury „Koszutka” czy z Festiwalami Filmów Kultowych. Tworząc te gry, nawiązałam wiele kontaktów towarzyskich i kulturalnych oraz stałam się „lokalnym ekspertem” od gier miejskich.

Czy masz może przepis na idealną grę miejską?

Ogólnie nie wierzę w przepisy, ale możemy spróbować coś wymyślić. Na pewno wiem, jakie są niezbędne składniki. Po pierwsze: koordynator. Powinien on rozbudzić fantazję agentów tak, aby stworzył mnóstwo szalonych pomysłów, a potem połączyć je w jedną logiczną całość. Drugim składnikiem są wolontariusze-agenci. Od ich zaangażowania w grę zależy dobra zabawa uczestników. Trzecim składnikiem jest niebranie niczego na poważnie – ważniejsza jest przyjacielska współpraca niż zacięta rywalizacja. Następnym składnikiem jest dobry scenariusz – od tego, jak bardzo jest skom-

plikowany, jak wiele ciekawostek zawiera, jak bardzo jest zaskakujący zależy satysfakcja uczestników. No i oczywiście nie może zabraknąć ostatniego najważniejszego składnika: uczestników, którzy muszą być otwarci na pomysły i wyzwania. Pogoda jest także ważnym elementem, ale wcale nie musi być słoneczna. Dobrze pamiętam sytuację, kiedy organizowałam grę w październiku. Było bardzo mroźno, ale uczestnicy wykazali się ogromnym zaangażowaniem – szczególnie jeden mały chłopiec. W tej okropnej pogodzie biegał po całym mieście razem z rodzicami i był tak rozemocjonowany, że ani deszcze, ani zimno nie przeszkadzały mu w wykonaniu zadania, co zostało nagrodzone – jego drużyna otrzymała nagrodę na podium.

No właśnie, gry miejskie są przepełnione często zaskakującymi zadaniami czy sytuacjami. Czy możesz powiedzieć jakie wydarzenia utkwiły Ci jeszcze w pamięci?

Bardzo dobrze wspominam grę „Kokoror” na Festiwalu Filmów Kultowych w tym roku. Gra ta była tak absurdalna i odpowiadała mojemu poczuciu humoru, że nie sposób było jej zapomnieć. Agenci poprzebierani za kury, walka uczestników z wielką nadmuchaną ośmiornicą, stacja w Barze Mlecznym „Europa”, gdzie uczestnicy musieli bez użycia rąk zjeść jajko – jeden z uczestników zjadł je w skorupce! Mam nadzieję, że to nie wszystko i że te najbardziej zaskakujące chwile są jeszcze przede mną.

Jeżeli miałabyś nieograniczone środki i możliwości – jaki miałabyś pomysł na grę miejską?

Wow! Jeżeli miałabym nieograniczone środki, gra miałaby miejsce na całym świecie. Trwałaby koło roku i byłaby równocześnie podróżą po całym świecie – pewnie trzeba by było zjeść samosy w Indiach, w Japonii zrobić skoki przez płotki w ubraniu gejszy. Taka gra miałaby związek z kulturą danego kraju – to jest pierwszy pomysł. Drugi pomysł, myślę, że bardziej mi bliższy – gra wykonana z dużym rozmachem – z balonami, kajakami, rowerami, na bardzo małym obszarze. Na przykład w dzielnicy Katowic, na Koszutce. Celem byłoby zaktywizowanie całej dzielnicy, co wyglądałoby mniej więcej tak: starsza pani podaje Ci zupę z ukrytą wiadomością, pan, który sprzedaje gazetę, podaje hasło, pani z warzywniaka, sprzedając twoje ulubione ziemniaczki i kalafior, zmrużyła oko i podała tajemniczy liścik. Byłaby to gra, która angażowałaby wiele środków technicznych, ale rozgrywała się w małym miejscu, gdzie współtwórcami byłiby mieszkańcy danej dzielnicy.

Na zakończenie: czy masz jakieś rady dla przyszłych uczestników oraz agentów?

Dla uczestników i agentów – brać ze sobą napoje (śmiech). Ale moja jedyna i najważniejsza rada to dobrze się bawić. I tyle. Te gry nie miałyby sensu, gdyby ktoś je robił ze złym nastawieniem. Jeżeli nie masz ochoty brać udziału – nie bierz. Jeżeli masz ochotę zrobić coś niekonwencjonalnego, na przykład przebrać się – zrób to. Chodzi o to, żeby lepiej się poczuć i spędzić dobrze wolny czas. Być wiernym sobie i dobrze się bawić. Jeszcze jedna rada dla agentów – nie rezygnować w trakcie gry, ponieważ skutki mogą być opłakane.

W takim razie życzę realizacji Twoich marzeń i kolejnych bardzo ciekawych gier miejskich! Dziękuję za rozmowę.

DR GRES **CHCE MANIPULOWAĆ HISTORIĄ**
ŻARTY SIĘ SKOŃCZYŁY...
ROZPOCZYNA SIĘ

GRA! MIEJSKA

7-16 WRZEŚNIA 2012

POWSTRZYMAJ GRESA
PRZYSZŁOŚĆ I PRZESZŁOŚĆ
JEST W TWOICH RĘKACH!

CZASOWNICY

zapisy, informacje, godziny, miejsca: www.sosnowiecgma.pl

Sylwia Mistewicz

Kolczyki marki śmierć

Pokochaj mnie tak troszeczkę, a nawet pod włos, jeśli nie inaczej po linii bajkowej, bo jeśli nie można mnie kochać tak jak królewską córę, to choć minimalnie, chociażby po kucharsku, albo w zamian za dostęp całodobowy do organów zewnętrznych i wewnętrznych. Na świecie śmierć, tyfus plamisty, bezdroża pełne biedaków wyciągających ręce po pieniądze, czy też wysyłających swoje rumuńskie dzieci z brudnymi palcami. Na świecie korporacje śmiertelności. Spółka Z.O.O. Kombinat kostuchy w bułkach z niepełnoziarnistego zboża, w foliówkach pełnych enzymów ze skór chemicznie barwionych, w wydętych od wiatru woskowych pęcherzach twarzopodobnych, w tej studni z wolnych rodników doprowadzającej wodę do wszystkich mieszkańców wszystkich osiedli kanałami z azbestu.

Bo co będzie ze mną, jeśli mnie nie ukochasz, to rozpadnę się najpierw paznokciami pękającymi w centralnym miejscu, a fizjo-energo-bio-antyterapeuci powiedzą: brak witamin A, B, D i kwasu foliowego z foliówek markowych zachodnich firm perfumeryjnych. I już punkt dla niej, dla Śmierci, kiedy to Śmiertelność się cieszy i zaciera ręce.

Potem ujdzie mi powietrze z opon mózgowych, zacznie się wielka posezonowa wyprzedaż mózgu. To pójdzie rozsypywać się po kątach zdolność realnej oceny, zabierając ze sobą coś w rodzaju dobrej miny od złej gry i nic już nie pomoże. Się porozklejam szwami wzdłuż kręgosłupa. Pójdę leżeć, patrząc w sufit.

(Na chandrę jest dobra muzyka. Na chandrę jest dobre czasopismo. Może być nawet z maja z zeszłego roku, nieważne, tam dawali rady co do ubioru, gdy biodra tęgie, nogi krótkie, szyja bez głowy, cycki luzem na brzuchu. Na chandrę dobra czekolada plus telefon zaufania, plus wyjście z psem na tak zwany spacer, plus herbata rozgrzewająco-rozciągająca).

Wypadające kręgi szyjno-łędźwiowe ułożę na podłodze to przyjdą mrówki i pociągną do mrowiska. I serce mi uschnie jak namalowane czarnym markerem na płytkach PCV w publicznej toalecie. Cztery punkty dla Śmierci, aż cztery do jej zeszytiku i mówię mi, że żyję na krechę, na dobre jej serce chrześcijańskie, ale dług to dług i kiedyś sprzeda mi tylko białą oranżadę w białej butelce i nic więcej. Nie da mi powietrza, ani enzymów do trawienia (nawet śliny), ani postawy stojącej, ani zielonego światła na przyjęciu dla pieszych. Za to po stokroć wesoła do salonu Spa zawita, zrewitalizuje się, odnowi na powierzchni. I weźmie sobie tęgie biodra odchudzi, nogi wydłuży, szyję i głowę napudruje, cycki zdyscyplinuje musuem z balsamu elastyczno-ujędrniającego NATURA.

Bo możemy przecież polatać balonem, iść nad zbiornik sztuczny, zjeść tort przed lasem, możemy wskrzesić średniowiecze i antyk, a nawet papier ocucić z letargu. Kiedyś chyba to jest możliwe. Tylko ty stajesz okoniem. Draniu.

Ale przecież jesteś czuła i delikatna, i też interesuje cię, co mam do powiedzenia (to znaczy nie interesuje, ale gdyby interesowało, to byłbyś czuła i delikatna, i zainteresowana), a wówczas spacer, szczere rozmowy, wspólne rzeczy na wspólnej półce, śniadania na trawie (my, dużo trawy, mleko w kartonie, po jednej szklance, chleb, masło w kostce, aparat z samowyzwalaczem na pnio, my na kocu uwieramy trawę). A teraz to ja mam (tylko ja) kolczyki marki śmierć u uszu.

A cała naga jestem przed lustrem i pod kołdrą. Do szpiku kości. Do białaczki. Do chemioterapii. Do krwi.

lę, a potem zniknąć pod kołdrą w dmuchawce i pszczoły. I ona między tymi dmuchawcami ma ciało delikatne i nagie, co mi je na sekundę użyczyła do wglądu, a teraz mówi plecami do mnie odwrócona, żebym stąd sobie szedł, bo nie jestem jej potrzebny, bo ją trzeba było tylko dostarczyć na górę, do łóżka, żeby się czasem nie zjebała ze schodów, a potem z karkiem na wpół złamanym nie czekała końca świata w pozycji niewygodnej.

Stoję u drzwi, z ręką na klamce, i albo będę człowiekiem i zdejmę wszystko, a potem wejdę w ten jej dmuchawcami sztyt świat, albo będę szmatą i wyjdę, zamykając za sobą drzwi cicho.

Świat mi teraz wkłada na głowę taką ciszę, że aż Śmierć paznokciem dotyka mi skroni, od czego wypływa mózg, skraplając się parą wydychaną haustami. Szczęk płuc. Syk nóg. I kolory w tej nocy ciągle żywe teraz zwiłają się do środka. Stojąc na progu świata i otchłani, nie będąc tu, ani tu.

A od niej nic, zero reakcji, najcichszej z cichych wypowiedzi, bo ona będzie teraz rozchylona udawać sen przez minut parę.

Na ścianie tapeta, na podłodze wykładzina bawełniana, u łóżka nocna lampka. Tak mówi ten udawany sen, że niby ja to nic, to błysk na tapecie, brud w wykładzinie, strumień fotonów nieczynny, bo wyłączony, ale jak ona tylko zechce to włączy i będzie szum, i będzie błysk, i będzie dyskoteka trans. Wszystko w ruchu wprawi, rozkołysze, w zadowoleniu to wszystko będzie na jej usługach za darmo, bo ona tak chce, bo takie jest jej życzenie. I kolorowy potop światła dokoła, roz hulana dźwiękogra dla dorosłych.

Tylko że ona za chwilę się rozjątrzy, odklei mnie od sprzętów i całego takiego z imienia i nazwiska, z postaci cielesnej z krwią i kością w środku tego wora, zaleje potokiem bluzgów i oszczerstw. Wtedy nie będę nawet szmatą, ale szmatą pierwszą spośród szmat, królem szmat, szmaciarzem, tępą szmatą z wyprzedzący. Nienawiść w jej ustach to śmierć.

Ona tylko potrafi pięknie pisać i pięknie mówić, i wtedy to brzmi tak pięknie, żeby ją kochać choć minimalnie, bo ona umrze na śmierć, na tyfus plamisty, na białaczkę, na szpik kości. Ona nawet jak mówi, że mnie kocha, to mówi o sobie, a ja widzę ją w śmiechu i na huśtawce, z dodatkiem słów, że takie rzeczy to już malowali malarze. I nic, nawet przepraszam.

Jej włosy to są robaki wypełzające z głowy, szukające ziemi, które się karmią moimi palcami.

A przecież ona jest czuła i delikatna, i też interesuje ją, co mam do powiedzenia (to znaczy nie interesuje, ale gdyby interesowało, to byłaby czuła i delikatna, i zainteresowana), a wówczas to miłość na murze, wspólne zwierzęta hodowlane, świeczki na stole, pieszczony jej włosów i karku. Mam przez nią chore serce, serce niewydolnego stulotka.

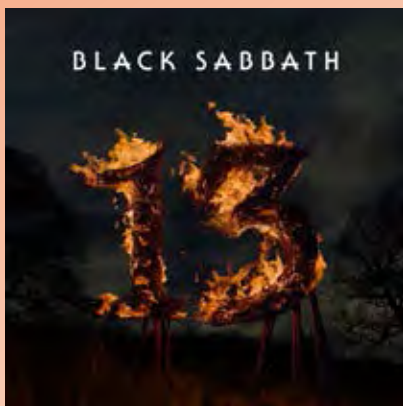
Szczęk płuc. Syk nóg.

Patrzę jak idzie przez pokój pogrążony w półśnie i zrzuca z siebie ubrania jak zeschnięte płaty skóry. Jest pogrążona, jest zlnatyzowana, jest pijana i bezwzględna. Wie, że patrzę, dlatego pokazuje mi siebie po pijacku, w pobliżu okna w poświęcanej księżycowej, żeby srebrzyć się nagim ciałem przez chwili-



Józef Gielniak:
Improwizacja dla Grażynki, linoryt.

Cztery strony muzyki – Mateusz Królik



Czarna magia

Nie od dziś wiadomo, że pośpiech jest wynalazkiem Szatana. Trudno coś dopracować, goniąc własny cień. Muzycy Black Sabbath wydali pierwszy album po osiemnastu latach przerwy. Ozzy Osbourne stanął ponownie za mikrofonem podczas nagrywania płyty po 35 latach milczenia. Oplątało się. Brytyjczycy za 13 nie zostaną strąceni w piekielną otchłań.

Nowa płyta Black Sabbath jest spójna i mroczna, uderza w duszę niczym stutonowy młot. Ozzy nie jest już młodzieniaszkiem, lecz nadal podąża za muzyką, nie wypada z formy i bez ogródek śpiewa, że *God Is Dead?* Nad produkcją krążka czuwał Rick Rubin, to nie mogło się nie udać. Utwory są świetnie do siebie dopasowane: monumentalne *End Of The Beginning* nie pozwala o sobie zapomnieć, *Zeitgeist* klimatem miesza w głowie, a *Live Forever* ciężkim riffem pozostawia w sercu wyraźny ślad.

Nie będę owijał w bawełnę, bo mam uczulenie. Nowy krążek Sabbathów to granie na starym, dobrym poziomie grupy. Zastanawia tylko, czy album 13 to pożegnanie zespołu z fanami? Jeśli tak jest, Brytyjczycy zeszli ze sceny z podniesionymi głowami. Prędko o nich nie zapomnimy.



Wakacyjne klimaty

Według legendy pewien stary człowiek z krainy Basków pisał operę. Śmierć zapukała do drzwi, starzec nie zdążył dokończyć dzieła. Wnuk, porządkując

po kilkunastu latach rzeczy dziadka, odnalazł operę, która stała się natchnieniem i to ponoć właśnie z niej pochodzi nazwa zespołu Crystal Fighters. Legenda głosi również, że kompozytor na stare lata postradał zmysły. Piosenki z drugiej płyty brytyjsko-hispańskiej kapeli mają w sobie pierwiastek szaleństwa, jednak trudno dla *Cave Rave* stracić głowę. Album to przeplatanka baskijskiego folklu, elektroniki, lekkich gitar i dźwięków txalaparty. Krążek zaczyna szumem morskich fal kawałek *Wave*. Utwór przenosi nas na sam środek oceanu, kolorowe ryby przepływają obok nas do rytmu bębnów, nasze uszy pięci melodia nucona przez zwoźnicze syreny. Jednak szansa na to, że zapłaczą się w *Wave* jak w morskie algi jest nikła. Kawałek traci swoją magię z każdym kolejnym przesłuchaniem. Podobnie jest z resztą piosenek zawartych na *Cave Rave*. Świeżość twórczości Crystal Fighters nie trwa długo, zaczyna się wkradać nuda.

Płyta *Cave Rave* jest ładnym tłem dla trwających wakacji. Nie zmusza słuchacza do skupienia się na skomplikowanej treści, nie wyróżnia się aranżacjami spośród radiowego zgłętku i nie wywołuje skrajnych emocji. *Cave Rave* jest jak delikatna fala, która nieśmiało unosi surfera, by za chwilę zniknąć wśród swoich oceanicznych braci i sióstr.



Tu radio muzyki popularnej

Jedenaście utworów przygotowanych w celu podbijania tandetnych list przebojów. Tak w skrócie można określić album *Blurred Lines* Robina Thicke. Utwory na krążku to mdłe, popowe ballady, w których czasami znajdziemy odrobinę energii. Nie czepiałbym się, gdyby nowe wydawnictwo oferowało kawał dobrego popu. Niestety, jedyne, co płyta ma na wysokim poziomie, to promocja. Kawałki na krążku są tak mało wyraziste, że po chwili traci się nawet kontrolę nad tym, kiedy rozpoczął się następny numer.

Tytułowe *Blurred Lines* już podbiło listy radiowych przebojów nieabsorbującym uwagi tłem i banalnym tekstem. Wyrafinowanie utworu *Ooo La La* doskonale opisuje sam tytuł. *Give It 2 U* nagrane wraz z Ken-

drickiem Lamarem, który pojawia się na co drugiej wydawanej płycie, to ciężki jak zima na Syberii bit i liryka na poziomie przeciętnego gimnazjum. Miało być zaskoczenie, dostaliśmy rozczarowanie. Krążek *Blurred Lines* to muzyka dla niewymagającego słuchacza. Nie ma na płycie wyrafinowanych brzmień, ciekawych eksperymentów czy oryginalnego wokalu. Jeśli ktoś nie lubi gadki prezentera w komercyjnym radiu i chciałby posłuchać tylko piosenek, może włączyć sobie najnowszy krążek Robina Thicke. Wysła artyście popowa, przeciętna audycja.



Kosmiczny talent

Jeśli Nowa Zelandia uruchomiłaby program kosmiczny, on zostałby jego ambasadorem. Willy Moon jest artystą, który niczym Neil Armstrong stawia swój pierwszy mały krok w muzycznym showbiznesie, robiąc przy tym wielki krok w historię muzyki i czerpiąc z twórczości lat 50.

Here's Willy Moon jest debiutanckim krążkiem młodego artysty. Płyta łączy w sobie klimaty muzyki indie, rock and rolla, popu i solidnej, tanecznej alternatywy. Słuchając albumu, przed oczami staje nam obraz eleganckiego wokalisty z zawiadackim uśmiechem, bujającego nóżką w klimacie delikatnego swingu. Za plecami amanta trąbki, smyczki i gitary robią fenomenalne tło.

Kawałek *Get Up (What You Need)* zaczyna sekcja smyczkowa, która tworzy galaktyczną przestrzeń. Charakter utworowi dodaje surowy wokal Willy'ego i drapieżne chórki. *Railroad Track* to mroczne dźwięki burzy i tajemnicze tło, na które składa się rytmiczna perkusja, dzwony kościoła oraz sekciarskie pomruki. Klimat albumu jest wciągający jak czarna dziura.

Willy Moon przez wielu okrzyknięty został współczesnym Jerry Lee Lewitem. Nie wysuwałbym aż tak śmiałych wniosków. Z pewnością jednak można o młodym artyście powiedzieć, że nie zmarnował czasu – na krótkiej płycie zawarł sto procent swojego talentu. Houston, mamy hit!

Spotkanie z poezją Macieja Krzyżana

Monika Bednarczyk

Nieco ponad ziemią poeta bierze w dłoń pióro i odprawia prywatne rekolekcje, które następnie odda w dłonie całemu światu.

I.

Rzeczony poeta nazywa się Maciej Krzyżan i wydał dotąd trzy tomiki poezji. *Prócz „Rekolekcji, czyli zapisków z trzeciego piętra”* (2013), który to zbiór zajmie nas nieco dłużej, oddał w ręce czytelników jeszcze *Okruchy* (2008) oraz *Tymczasem wracam do swoich* (2011). Kim jest Maciej Krzyżan? Jest polonistą – absolwentem poznańskiego uniwersytetu, jest twórcą i jednocześnie miłośnikiem twórczości innych poprzez, jakbyśmy to mogli określić, zawodową lekturę. Publikuje utwory od dawna w czasopismach kulturalnych – prezentację jego wierszy odnajdujemy m.in. w „Pamiętniku Literackim”. Także za sprawą czasopisma „Topos” możemy zapoznać się z ostatnim tomikiem, który wyszedł spod pióra poety. Poezja jako wartość dodana, posiłkująca się autorytetem prasy (tej nie-masowej), trafia też do przypadkowych odbiorców, którzy ulegając ciekawości, mają możliwość wejścia w przestrzeń dialogu, jaką jest literatura.

II.

Słowo „rekolekcje” zostało zaczerpnięte z języka religii, co nie jest przypadkowe. Maciej Krzyżan to człowiek wierzący – katolik. Na pytanie postawione w tytule jednego z wierszy – „dlaczego zostałem religijnym poetą” – odpowiada przewrotnie, gdyż również poprzez pytanie postawione w treści utworu – i jak tu nie być religijnym poetą. Argumenty stanowiące o charakterze poezji Krzyżana pochodzą zatem spoza jego „ja”, to świat dyktuje jego poezję. Rekolekcje – z łaciny „wewnętrzne skupienie” – stają się w tym świetle rozważaniem człowieka skonfrontowanego z tym, co zewnętrzne, znajdujące się poza podmiotem, a jednocześnie wpływające na jego życie. *Zapiski*, kolejne słowo wyrwane z tytułu zbioru, utwierdza nas w przekonaniu o edukacyjnym charakterze poezji Krzyżana. *Zapiski* to właściwie notatki czynione na bieżąco podczas lekcji odkrywania, rozpoznawania świata. Kogo poeta edukuje? Siebie. Doświadczając rzeczywistości, kształtuje własną osobowość i światopogląd. Staje się bardziej lub mniej wierzący. Wystawia siebie na próbę. Rekolekcje to inaczej ćwiczenia duchowe, które mają prowadzić do rozwoju duszy, tak jak fizyczne rozwijają ciało.

Osobista nauka pobierana przez poetę, odbywa się tuż ponad ziemią – na trzecim zaledwie piętrze. Duch, jego myśl wspina się dopiero po szczeblach drabiny, która pozwoli osiągnąć stabilność przekonania. A przekonanie to będzie mogło następnie zaowocować czynem – o czym traktuje wskazówka zawarta w wierszu o tym właśnie tytule „(czyn)”: dotkliwie / bolesna jest wiedza / bez umiejętności podjęcia / czynu.

III.

Mogę pisać / swobodnie / ku ucieście własnej / i służąc Tobie / nieznany czytelniku – głosi wiersz o intrygującym tytule „nieskromność”. Dlaczego poeta czuje się winien, służąc innym swoim słowem? Czy swoboda z jaką przekazuje myśli, ubierając je w szatę wiersza, zasługuje na miano pychy i domaga się sprostowania? Radość miesza się z intuicją grzechu. Świat nie jest czarno-biały, ten świat, który absorbuje rekolekjonistę, a do którego poznania ów rekolekjonista, będący również poetą-wiernym, nas zaprasza. To my stajemy się innymi, wchodząc w przestrzeń wersów i odczytując je według własnego doświadczenia i upodobania. Napotykamy pytania, które zadał sobie i Maciej Krzyżan, a na które sam może nie odnalazł odpowiedzi. Odkrywamy w jego słowach sensory dotąd nieodkryte, przekładamy je na własną rzeczywistość, z jaką dotąd te słowa nie miały okazji się spotkać. Przeżywamy osobiste rekolekcje wzdłuż zadanego nam przez poetę szlaku. Możliwe, że utrwalimy własne przekonania, obalimy napotkane tezy z łątwością lub przeciwnie – wyjdziemy z tego niemego dialogu odmienieni.

IV.

Nieznany czytelnik idący ulicą jeszcze nie wie, dokąd zaprowadzą go nogi. Zdarzy się jednak być może, iż wejdzie do księgarni, do salonu prasowego i tam na półce zaczepi go tomik



Fot. Z. Krzyżan

poezji lub trafi do jego rąk wraz z ulubionym czasopiśmie. Nieznany zapozna się z okładką, przyjrzy autorowi, z mniejszym lub większym zapałem zajrzy do środka. Wykona zatem ruch odwrotny do tego, który wykonał poeta, by zamknąć w kilkudziesięciu stronach kawałek świata, ustanawiając utrwalony drukiem mikrokosmos.

Rekolekcje, czyli zapiski z trzeciego piętra Macieja Krzyżana stanowią właśnie taki swoisty mikrokosmos, do którego warto wybrać się na wycieczkę, aby zażyć dialogu „ku ucieście własnej” i w służbie innemu, czyli tym razem poecie.



Morderstwo w Ikei

Skąd wzięła się popularność powieści kryminalnych ze Szwecji, Norwegii czy Danii? Czym wyróżniają się one spośród innych kryminalów? Lubimy rozwiązywać zagadki, to fakt. Jednak popyt na takie książki to coś więcej niż tylko pociąg do tego, co ukryte, tajemnicze i niezbadane. Powieści pisane na mroźnej północy wyróżniają się bowiem pewnymi cechami, które nie tylko decydują o ich sukcesie, ale też dają wgląd w mroczne zakamarki skandynawskiej duszy.

Egzorcyzmy nad Szwecją

Swoją popularność skandynawskie powieści kryminalne zawdzięczają pewnemu dziennikarzowi, który w wieku 15 lat był świadkiem zbiorowego gwałtu na swojej przyjaciółce i nie zrobił nic, co mogłoby jej pomóc. Poczucie winy prześladowało go tak długo, aż dziewczyna stała się pierwowzorem jego najsłynniejszej postaci literackiej. Dość powiedzieć, że owa przyjaciółka miała na imię Lisbeth... Stieg Larsson, bo o nim mowa, to autor bestsellerowej trylogii *Millennium*, opowiadającej o losach porwanczego dziennikarza Mikaela Blomkvista i społecznie nieprzystosowanej hackerki Lisbeth Salander. Choć seria z miejsca stała się światowym przebojem, nie zdążyła ona przynieść swojemu autorowi rozgłosu – Larsson zmarł na zawał jeszcze przed publikacją pierwszego tomu. Szwedzi błyskawicznie zekranizowali całą trylogię, w której genialną Lisbeth Salander zagrała Noomi Rapace. To dzięki tej roli Guy Ritchie obsadził ją w filmie *Sherlock Holmes: Gra cieni*, a Ridley Scott dał angaż w *Prometeuszu*. Grający Blomkvista Michael Nyqvist pojawił się natomiast jako przeciwnik Toma Cruise'a w *Mission Impossible: Ghost Protocol*. Swoiste apogeum popularności serii *Millennium* stanowiła jednak premiera hollywoodzkiego filmu *Dziewczyna z tatuażem*, opartego na pierwszej części cyklu, *Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet*. Tutaj w rolę dziennikarza wcielił się sam Daniel „James Bond” Craig.

W przeciwieństwie do filmu sama powieść tylko częściowo poświęcona jest wątkowi morderstw. Podobnie jak w *Imieniu róży* Umberto Eco odgrywają one istotną, choć nie kluczową rolę. Tak naprawdę *Mężczyźni...* to przedłużenie dziennikarskiej misji autora książki, spis demonów, które według niego trapią współczesną Szwecję. Mamy tutaj nierozliczoną nazistowską przeszłość kraju (którą sam Larsson bezlitośnie piętnował, tropiąc neonazistów), przemoc wobec kobiet, mactwa wielkiego biznesu i wreszcie wszechogarniające wrażenie, że w idealnym nordyckim społeczeństwie wszyscy przymykają oko na całe zło. Kto widział znakomitą *Białą wstążkę* Michaela Hanekego o Cesarstwie Niemieckim w przededniu pierwszej wojny światowej, ten wie, o czym mówię. Inni mogą potraktować obejrzenie tego filmu jako doskonałe wprowadzenie do tematu.

Dobry, zły i ludzki

Czasem gdy czytam kryminały z półwyspu skandynawskiego, zastanawia mnie, skąd biorą się zamieszczone w nich szczegółowe, metodyczne i epatujące przemocą opisy zbrodni? Czy pochodzą one z autentycznych akt policyjnych, czy są tylko wytworami chorych wyobraźni autorów, za wszelką cenę próbujących zszokować

czytelników? Morderstwa i okaleczenia wyzierające z kart powieści mogą niekiedy przyprawić o mdłości. Jednak sama zbrodnia to jedno, a jej sprawca to całkiem inna kwestia. Zaskakująco często bowiem winni są przerażająco zwyczajnymi ludźmi, o których winie decyduje przypadek. Świetnie pokazał to amerykański serial *The Killing*, będący adaptacją duńskiego hitu *Forbrydelsen* i pokazywany w Polsce jako *Dochodzenie*. Ukazana w nim sprawa morderstwa młodej Rosie Larsen ciągnie się niemiłosiernie, by w końcu pokazać, że śmierć dziewczyny spowodowana była przez kilka osób, które znalazły się w złym miejscu o złym czasie. Tutaj nikt nie jest bez winy, a nawet największy idealista na końcu uściśnie dłoń tego, kogo wcześniej zaciekle zwalczał. Zaletą serialu jest też fakt, że jest on... nudny, pełen pobocznych wątków i fałszywych tropów. Może nie trzyma on w napięciu tak jak *Lost*, ale dzięki temu pokazuje jak żmudne i długotrwałe musi być prawdziwe dochodzenie. Serial utorował drogę do sławy odtwórcom głównych ról: Mireille Enos zagra żonę Brada Pitta w nadchodzącej superprodukcji *World War Z*, a Joel Kinnaman otrzymał tytułową rolę w najnowszej wersji *Robocopa*, którą wyreżyseruje twórca filmu „Elitarni”, Brazylijczyk José Padilha.

Kto z nami, kto przeciwko nam?

Na zakończenie parę słów należy się bohaterom książek. Zastanawiające jest jak często są oni swego rodzaju wyrzutkami. Nie znajdują się przecież na marginesie jakiegoś tam pierwszego lepszego społeczeństwa, co to, to nie. Oni są poza nawiasem społeczeństwa doskonałego, takiego, w którym edukacja stoi na najwyższym poziomie, bezrobocie jest niskie, płacący najwyższe podatki mają wodę za darmo, a dziecko, które nie uśmiecha się w szkole, może zostać odebrane rodzicom i umieszczone w rodzinie zastępczej. No, może to ostatnie to zły przykład. Trzeba bowiem pamiętać, że za taką pozorną utopią kryje się rozbudowany system kontroli społeczeństwa. Do tego dochodzi charakterystyczne dla Skandynawów tłumienie emocji, częściowo związane z dominującym przez wiele lat kalwinizmem. Takie udawanie, że wszystko jest w porządku, może jednak skończyć się tragicznie, o czym świat rok temu brutalnie się przekonał poprzez czyny Andersa Breivika. To właśnie przed takimi ludźmi przestrzegał Larsson. Postaci ze skandynawskich kryminalów tak intensywnie kontestują zastany porządek społeczny, żeby w ten sposób zwrócić uwagę czytelnika na problemy, które to społeczeństwo trawia. Bohaterami – pozytywnymi! – są tutaj zmęczeni życiem detektywi, ojcobójcy i pacjenci szpitali psychiatrycznych. Aż strach pomyśleć, kim są ich przeciwnicy!

Lista wspomnianych książek, filmów i bohaterów nie jest rzeczą jasną wyczerpującą. Nie zdołam tu też wymienić nazwisk wszystkich istotnych autorów, takich jak piękna Camilla Läckberg czy badający sprawę morderstwa premiera Olofa Palmego Leif GW Persson. Szaleńczy popyt na skandynawskie kryminały sprawił, że na język polski tłumaczonych jest wielu tamtejszych autorów, zarówno tych lepszych, jak i gorszych. I tylko jedno pozostaje niezmiennie – o ich wartości trzeba się przekonać na własnej skórze. Dlatego też sam wracam – przynajmniej duchem – na lodowatą Północ, dokąd i Was zapraszam.

Jakub Wesecki

Rozbudowaną wersję artykułu można znaleźć na stronie Polemizuj z kulturą – www.polemizuj.com

Siadamy z kulturą

Z pisarzem Dariuszem Rekoszem rozmawia

Edyta Antoniak-Kiedos

Wielu ludzi utyskuje na stan czytelnictwa w Polsce. Pan należy do tych osób, które nie tylko włączają się w rozmaite akcje, ale sami je inicjują. Jakie są Pana refleksje na ten temat?

Polak już taką bestią jest, że musi sobie ponarzekać i obserwować, co z tego wynika. Otóż, ponieważ z narzekania na stan czytelnictwa nie wynika nic kreatywnego, wymyśliłem, by oklepane dotychczas formuły spotkań autorskich, wymienić na coś bardziej przystępnego. Z całym szacunkiem, ale siedzący za stolikiem facet, popijający wystygłą kawę lub herbatę i opowiadający, co też i dlaczego napisał – nikogo już dziś nie podnieca. Obecnie w niemal każdej dziedzinie życia wkradła nam się forma multimedialna i ogólnie rzecz ujmując – popularyzacja książek powinna się również na niej opierać. Tylko aktywne uczestnictwo w spotkaniu z pisarzem daje gwarancję, że Jan Kowalski w końcu zada sobie trud sięgnięcia po tę czy inną książkę bohatera spotkania autorskiego. Dlatego też wśród scenariuszy

moich spotkań najczęściej jest zajęć warsztatowych, a wyjątkowym powodzeniem cieszą się... spotkania nocne, trwające do dwunastu godzin!

Pana przygoda z pisaniem zaczęła się od swego rodzaju buntu przeciwko książkowym czarodziejom, wróżkom i nadprzyrodzonym siłom, ale też z braku literatury o perypetiach typowych polskich nastolatków. Co Pana szczególnie inspirowało do tworzenia kolejnych historii?

Ano właśnie te braki. Czarodzieje, wampiry, potulne kotki i rozbrykane pieski – niedobrze się robi, kiedy nasze nastolatki czytają o jakiejś Nicole z Nowego Jorku, czy Jonasie spod Chicago, którzy zastawiają się nad kolczykiem w pępku, albo nad kolejnym zawodem pseudo-miłosnym, opartym o nadprzyrodzone moce rodem z Transylwanii. Boże, co za bzdety! Przecież dzień zwykłego ucznia podstawówki czy gimnazjum jest totalnie inny. Inne też są problemy, z jakimi się boryka. Trzeba się zwlec z łóżka, żeby w końcu się

spakować. W kieszeni brakuje czasami na napój, który można kupić w szkolnym sklepiku. Lekcje robi się w przerwie między pomidorówką a powtórką *Kiepskich*, która akurat leci na Polsacie. Potem można iść z chłopakami pograć w nogę albo z dziewczynami powłóczyć się po jakimś centrum handlowym... Na kolację chleb z mielonką, bo jest tańsza nawet od żółtego sera. A jutro klasówka z matmy i sprawdzian z angielskiego... W tej nieco szarej rzeczywistości, gdzie sms-y pisze się szybciej niż mówi „dzień dobry” sąsiadom, coraz częściej pojawiają się tablety, a książka jest potrzebna tylko wtedy, gdy słyży się magiczne słowo „lektura”. I wtedy w pisarzu rodzi się bunt. A może pokazać tym młodym ludziom, że i w ich otoczeniu mogą się przydarzyć historie, które wcale nie muszą być fikcyjne? Kradzież, porwanie, dopalacze? Zawsze uważamy, że dzieją się „nie u nas”. A potem przychodzi zmierzyć się z rzeczywistością...

Pańscy bohaterowie przeżywają rozmaite przygody, czasem niebezpieczne i na granicy prawa, ale książki nie tracą wymiaru edukacyjno-wychowawczego. Co jest najtrudniejsze w utrzymaniu równowagi między takimi walorami serii o *Morsie, Pimki i...*, *Jacku i Barbarze* czy *Czarnym Maćku*?



Kadr z programu *Siadamy z kulturą*, autor Krzysztof Staudt

Założyłem sobie, że równowaga zachowań wszystkich moich bohaterów – zarówno młodocianych, jak i dorosłych – wynikać ma ze zdroworozsądkowego podejścia do problemów. To tak, jakbym zadał sobie pytanie: „a jak ja, albo ten właśnie bohater, zachowałby się w takiej sytuacji?”. Dochodzi tu czasami do kuriozalnych efektów tych przemyśleń. Bo w rzeczywistości odzywki niektórych skłaniałyby do wypowiedzi niecenzuralnych. Bo dialog między postaciami powieści nie może być cytatem z książek popularnonaukowych. Bo słowa wyrzucone z siebie muszą być w odpowiedni sposób przerywane – żeby podkreślić napięcie. Mało tego – edukacja powinna być zakamuflowana. Korzyść z kłamstwa powinna być ewidentna tylko wtedy, jeżeli przyświeca wyższym celom, ale sumienie pozostaje sumieniem. Świetnym zabiegiem jest tutaj poprowadzenie akcji „na łeb – na szyję”. Dzieje się szybko, dużo i dopiero, gdy można się zatrzymać i przemyśleć całą sytuację

– bohaterowie (z rozmysłem) decydują się na kolejny krok. I jeszcze jedno – w moich książkach dorośli muszą umieć się dogadać z młodymi (i na odwrót). Więc muszą zachować jak najwięcej naturalności. Inaczej cała intryga będzie jak wyszana z palca.

Jedna z Pana najnowszych książek, *Pocztówka z Toronto* to ciepła opowieść o więzach rodzinnych, przyjaźni i niespodziankach losu. Czyżby znudziły się Panu historie z tzw. dreszczykiem?

Oczywiście, że nie (śmiech). Jak łatwo za-uważyć i przez *Pocztówkę...* przewija się pewien dreszczyk. A właściwie – dwa dreszczyki. I czytelnicy z pewnością je wyłapią. Natomiast nie ukrywam, że książka ta z założenia miała być opowieścią o „trudnych problemach młodych ludzi”. No i te trudności piętrzą się od pierwszych stron powieści. Zresztą jedno z moich ulubionych powiedzeń to „problemów nie ma tylko ten, co nic nie robi”. A w *Pocztówce z To-*

ronto główna bohaterka chce coś zrobić. Coś zdziałać. Przełamać swoje niezbyt szczęśliwe życie. Wziąć się z nim za bary. Nie zawsze wie, jak to zrobić. Nie zawsze ma ku temu sprzyjające okoliczności. Ale chce! I ten upór znajduje w końcu premię. Jaką? Zapraszam do lektury.

Jest Pan przede wszystkim autorem książek dla dzieci i młodzieży, choć zdarza się Panu pisać prozę dla dorosłych. Kiedy można spodziewać się kolejnej powieści dla starszych czytelników?

Z pewnością tak, ale nie mogę obiecać dokładnej daty, kiedy zostanie wydana. Mam na uwadze nawet kilka publikacji dla dorosłych odbiorców, w tym dwa zupełnie odlotowe thrillery (jeden napisany do spółki z innym autorem – bardzo ciekawe doświadczenie).

Z niecierpliwością czekamy zatem na premiery nowych książek, jednocześnie zapraszając do lektury tych, które już się ukazały!

Dlaczego *Siadamy z kulturą*?

Jesienią 2012 roku mój stary znajomy jeszcze z czasów studenckich – Rafał Siciński, zadzwonił z propozycją, aby stworzyć program telewizyjny o kulturze w regionie. TV Zagłębie chce bowiem promować rodzimych twórców i tutaj na miejscu pokazać, że mamy potencjał artystyczny i intelektualny, który słabo wykorzystujemy, zamykając się w kompleksach poprzemysłowej metropolii. Nigdy nie miałam styczności z pracą w telewizji, o dziennikarstwo ocierałam się w redakcjach czasopism, szczególnie robiąc wywiady z literatami... Ale propozycja kusząca, cel szczytny i podgrzewany potrzebą buntu przeciwko schematom i stereotypom, które w Zagłębiu od lat pokutują. Musiałam się zgodzić, inaczej nie byłabym sobą.

Tak zaczęliśmy debatować o formule programu, szczególne emocje towarzyszyły wyborowi nazwy, ale ostatecznie *W teatrze kultury*, *Kulturalna ławeczka* itp. przegrały z *Siadamy z kulturą*... Zanim pierwszy raz ustawiliśmy kamery w Teatrze Zagłębia, były jeszcze rozmowy z jego Dyrektorem, powstała czołówka, a potem zaprosiłam pierwszego gościa... Nie wiedziałam jak sobie poradzę przed kamerą, różne dylematy kłębiły się w głowie, ale wybór padł na Zbyszka Podsiadło, wspaniałego fotografika i jednocześnie osobę niezwykle kontaktową, która pomogła mi przełamać pierwszy stres. W parę minut zapomniałam o trzech wpatrujących się w nas obiektywach i wywiad przerodził się w intelektualną przygodę, eksplorowaliśmy bowiem historię zagłębiowskich artystów, przywołyaliśmy wspomnienia z plenerów i porównywaliśmy fotografię wczoraj i dziś. Pozytywny odbiór wywiadu ze Zbyszkiem dodał mi wiatru w skrzydła i już wkrótce zrealizowaliśmy programy z interesującą plakacistką Mirą Kostyłą oraz znanym w całej Polsce poetą z Sosnowca – Wojtkiem Brzoską.

W wakacje powstały programy, które można oglądać w Telewi-



zji dla Ciebie kanał 360 na platformie UPS, na stronie internetowej TV Zagłębie i m.in. na kanale youtube.com. Już teraz zapraszam do obejrzenia wywiadów z pisarzem Dariuszem Rekoszem (na zachętę kilka pytań w tekście obok) oraz z Dyrektorem Instytutu Zagłębiowskiego dr. Michałem Kaczmarczykiem. Niedługo wyemitowane zostaną rozmowy m.in. z autorem *Korzeńca* i zapowiadanego *Pudru i pyłu* prof. Zbigniewem Białasem, prof. Jackiem Rykałą, Jerzym Suchankiem, Romualdem Pawlakiem, Marciem Przybyłą i Zbigniewem Leraczykiem.

Zapraszam na *Siadamy z kulturą*!

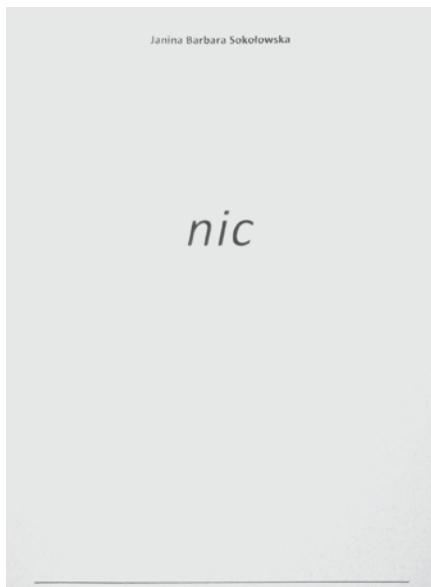
Edyta Antoniak-Kiedos

Cmentarz słów

Jednolicie biała okładka tomiku *Nic* autorstwa Janiny Barbary Sokołowskiej wiąże się bardzo wyraźnie z jego tytułem. Nawet wielkość wykorzystanej czcionki zdaje się przewrotnie pomniejszać zawartość, co nie tylko rozbudza ciekawość czytelnika, ale może wprawiać w pewien niepokój. Już pierwsze strofy wiersza rozpoczynającego tomik prowadzą czytelnika w kierunku rozwiązania zagadki dotyczącej tytułu książki: „wiersz/przecież nie potrafi nic zmienić/słowa – karły więc tylko papier (...) wiersz nic nie zmieni/nie zmieni nic”.

Można uznać te słowa za pewien manifest poetyckiej bezradności, wiersze są zbyt słabym narzędziem i środkiem, a sama poezja nie rozwiązuje problemów, nie naprawi ani nie zmienia rzeczywistości. Czy tak jest naprawdę? Przywodzi to na myśl sprzeczną pozornie sentencję Lukrecjusza: „Nic nie powstaje z niczego”. Zatem na tytułowe *Nic* składa się wszystko to, z czym odbiorca poezji Sokołowskiej mógł się spotkać we wcześniejszych książkach. Znajdziemy tu wiele dowodów na tak postawioną tezę. W porównaniu do starszych wierszy więcej jest tutaj naturalizmu, oznak nihilizmu i piętna śmierci, która wraca w reminiscencjach z dzieciństwa i dotyczy wcześniej zmarłego ojca, a następnie dziadka, babć oraz siostry. Surowy realizm i manifestacja pojawia się także w kolejnym tekście „bez pointy”: „(...) wychodzimy z kamienia masztem do pionu/zlepieni porcją bagiennego błota/namaszczeni strużką krwi nad brwią/ (...) wszystko musi iść w stronę północnego/nic (...) i nad pointą jedynej zaczarowanej bajki”.

Podobnie jak w poprzednich książkach pojawiają się religijne inklinacje, które tutaj wydają się być szczególnie wyraziste, z jednej strony nabierają ironicznego i humorystycznego zabarwienia, a z drugiej – dotykają bolesnej warstwy istnienia „tu i teraz”. Tak dzieje się np. w wierszu „pobożne życzenie”: „jeśli stworzysz mnie jeszcze raz/daj mi łuski syreny lub szorstką sierść kota (...) /byle nie dżdżownicą/nie lubię szpadelka”. Czy choćby w wierszu „do anioła”: „(...) jakbyś nie wiedział co ze mną uczynić/po pierwsze ty prowadzisz/po drugie wszystko o mnie wiesz/przecież nie pytam/o drogę do raj”. Albo też w po-



zbawionym ironicznej nuty, refleksyjnym wierszu „wiadomość z pralni”: „(...) nie chcę piór bezkrwawego anioła/białych stóp jak u piętaszka/nawet w chlebie pojawia się nóż/w końcu wiem od czego ten kwitek z pralni/znaleziony w trumnie w garniturze dziadka”.

W tomiku przeważa ten drugi, jakby bardziej naznaczony rezygnacją sposób wyrażania relacji i kontaktu z Bogiem, gdzie autorka stwierdza, że już nie walczy „mała i spalona jak piasek pustynny”, lecz chwilę później deklaruje, że „zawisnie na krzyżu/za krzywe lustra za siebie za ciebie za nich”.

Szerokie spektrum skrajnych zachowań wyraża głęboką niepewność w wierze we własną kondycję, zwłaszcza gdyby utraciło się tarczę wykutą ze słów. Podmiot liryczny uzmysławia sobie znikomość i marność, powolne zbliżanie się do kresu życia, ale równocześnie wie, że ma jeszcze coś do zrobienia, chce czegoś dokonać, poświęcić się komuś lub czemuś. Reminiscencje z dzieciństwa, które „jest jedno i zawsze ostatnie”, jest – z jednej strony ucieczką w beztroskie lata, a z drugiej – „gorzkim dzieciństwem” związanym z tragiczną śmiercią ojca, natomiast sam wiersz nie przynosi jednoznacznej oceny i pozostawia czytelnika samego. Autorka jakby chciała założyć nierozzerwalną klamrę między doświadczeniem młodych lat, jego przełożeniem na późniejsze losy, a obecnym dorobkiem doświadczeń. Takie akordy pojawiają się w „opowieści o ciszy”, gdzie w opa-

rach „gnilnego zapachu liści” oraz „nocy wdeptanej w gliniastą ziemię” pojawiają się obok siebie „dwa białe wróble wykąpane w śnieżnych liliach”, bliscy, którzy odeszli bez swoich amuletów: czapki leninówki, amerykańskiej spinki, czy też zwiewnej apaszki. Wydźwięk tych wersów wskazuje, że owe przedmioty codziennego użytku urastają do rangi „czegoś” i są w opozycji do tytułowego „nic”.

„Nic” jest zresztą swoistym leitmotywem, który pojawia się w wielu puentach. Stwierdzone przez autorkę „wszędzie wszystko nic; ma to do siebie że nic więcej nie ma/nawet nic/do stracenia”. W tekstach „nic” jest wszechobecne, reasumując paradoksalnie, iż nawet „nic/nie jest trwałe”. Stosując ten zabieg można odnieść wrażenie, że Sokołowska dokonuje pewnej dekonstrukcji zawartych w tekstach wartości, niwelując nadzieję albo przyjmując postawę realistyczną, tożsamą z manifestem sygnalizowanym na początku książki. Taka konstatacja zamykająca tomik sprawia, że całość można odczytać dwuznacznie.

Poetka nie ogranicza się jednak do jednego manifestu. W wierszu „przyjdzie czas” po kolei wzywa „umarłe drzewa, zwierzęta, ryby”, aby w końcu oznajmić: „(...) kiedyś zawałam wszystkich umarłych poetów/z chorobą długopisów – śmiertelną/przyjdą tutaj buszujący w niebieskim puchu/z konieczności/zapomniony o bólu”.

Wbrew pozorom, to rzadka sytuacja w tej poezji, gdzie podmiot liryczny stara się przełamać niemoc i nawoływać z romantyczną pasją. Z drugiej strony, trudno oprzeć się wrażeniu, iż najważniejszy jest tutaj człowiek. Człowiek, który jest podstawą rzeczy a wszystkie motywy i treści wydają się być tylko narzędziem, pretekstem i podłożem, aby dowieść słów Cyceirona, iż „nic człowiekowi nie wydaje się piękniejsze niż człowiek”.

Jak więc w tym uniwersum znaczeń i tropów umieścić podmiot liryczny? Najlepszą chyba wykładnię odnajdziemy w wierszu „imiona”: „każdego dnia nadaje mi nowe imię/świt/dzisiaj jestem pestką”.

Autorka nie ma zatem jednej twarzy ani jednego imienia, jest kameleonem, który zmienia barwy w zależności od okoliczności, ale nie jest też oportunistką. Stara się raczej być obiektywnym obserwatorem,

twardym jądrem owocu jakim jest pestka, który możliwie najdotkliwiej przekaże prawdę słowami, tak przecież niedoskonałymi i bezradnymi.

Tomik *Nic* jest zbiorem bodaj najbardziej osobistych tekstów Janiny Barbary Sokołowskiej, jakie miałem okazję przeczytać. Jakby potwierdzeniem całości wywodu jest tekst „cmentarz słów”: „nigdy nie pisz wierszy dla innych/dla bogatego snoba przebiegłej karierowiczki/nawet dla serca wyciekającego śliną (...) kalekie słowa wiercą dziurę w chmurach (...)”. Są to słowa bardzo kategoryczne wypowiedziane przez osobę doświadczoną i świadomą ich wagi.

„W tym gęstym morzu wierszy (...) faluję na zmarszczonej powierzchni/wewnątrz buduję dla siebie mały domek/z perły/wkrótce wypłynę nim na środek” – czy tymi słowami chciałyby powiedzieć czytelnikowi, że chce się schować, odciąć od świata zewnętrznego? A może jest to dojście do pewnej granicy ekshibicjonizmu, który uprawia przecież każdy poeta.

Nic jest książką pełną nieokreślonego do końca zagrożenia. Nie wiadomo czy jest to wyraz kapitulacji, czy może rekapitulacji dotychczasowego życia i doświadczeń, zakończenia jakiegoś etapu albo też zamknięcie cyklu, bo przecież nic nasuwa na myśl nicość. Nieliczne przykłady ironii i humoru nie rozwiewają wcale ponurych mgieł zawieszonych między wersami. Tytułowe „*Nic*” odbieram jako opozycję do „*Wszystko*”. Przeczytane teksty zawarte w tomiku nasunęły mi pewną analogię do krótkometrażowego filmu „*Podróż*” Daniela Szczechury – życie jako oczekiwanie, ciągła i monotonna podróż w czasie, podczas której zmienia się jedynie krajobraz za oknem. A docierając do celu, musimy niebawem wracać do początku. Czy zatem wszystko pozostawić w rękach Opatrzności i zdać się na łaskę a może na fatum? Zakończę słowami jednego z wierszy kończącego przedstawiany tomik „wola twoja”: „to nic – powtarzasz – jakoś to będzie/wola twoja panie (...) na niebie z kości”.

Patryk Chrzan

J. B. Sokołowska: *Nic*. Advert Studio, Chorzów 2012.

III zeszyt Zagłębiowskich Szkiców Monograficznych

Do rąk Czytelników trafia III zeszyt Zagłębiowskich Szkiców Monograficznych pod redakcją Jacka Malikowskiego – prezesa Oddziału Będzińskiego Stowarzyszenia Autorów Polskich, prezentujący różnorodne problemy z dziejów gospodarczych, narodowych i kulturalnych Zagłębia Dąbrowskiego. Ich rozprawy mają różny charakter i zakres chronologiczny: od XVIII wieku do czasów współczesnych, a autorzy wskazują na potrzebę poszukiwania „swoich korzeni”, gromadzenia pamiątek i źródeł o swych przodkach, zapisu informacji o wybitnych jednostkach wykonujących na tej ziemi określone zawody i zadania; pokazują pracę ludzi oraz dylematy przed którymi niejednokrotnie stawali; inwestycje francuskiego kapitału oraz proces przejmowania przez mieszkańców Zagłębia elementów kultury francuskiej. Łączy je to, że są rozważaniami o przeszłości i teraźniejszości „małej ojczyzny”.

Wiele zagadnień i informacji podawanych przez autorów tych rozważań nie było dotąd publikowanych, stąd zamieszczenie ich w niniejszym tomie podnosi jego wartość.

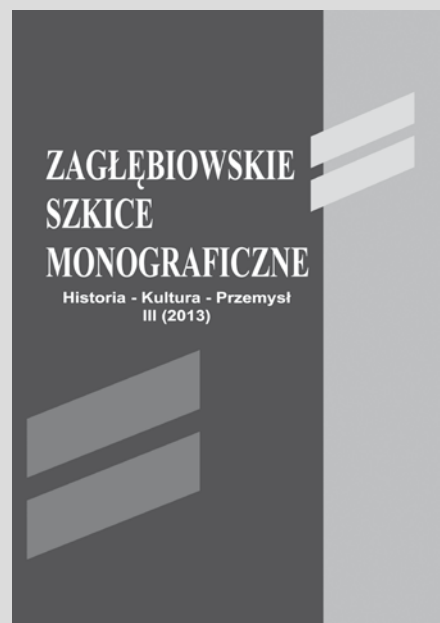
Prezentowana praca pozostaje co prawda jedną z wielu o charakterze popularnonaukowym, ale powiększa grupę regionalnych opracowań tego typu. Tematyka podjęta we wskazanym tomie daje podstawy do stwierdzenia, że na tym niewielkim obszarze byłego Królestwa Polskiego, wchodzącego od 1918 roku w skład odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej, żyli i pracowali ludzie, którzy przyczyniali się do powiększenia potencjału gospodarczego i kulturalnego tego regionu i innych ziem polskich, że byli otwarci na wszystkich przybyszy, że przyjmowali i przetwarzali różne tzw. nowinki płynące z Zachodu Europy. Mieszkając i pracując na tzw. południowo-zachodnich rubieżach monarchii Romanowych, stanowiących po powstaniu państwa polskiego w 1918 roku integralną część województw: kieleckiego, katowickiego i śląskiego, tworzyli oni dzieje tego niewielkiego skrawka ziemi nazywanego od ponad stu lat Zagłębiem Dąbrowskim. I tę właśnie zagłębiowską historię, jakże różną od historii leżącego tuż za Przemszą i Brynicą Górnego Śląska, należy chronić od zapomnienia, przekazywać

młodemu i najmłodszemu pokoleniu, badać, popularyzować i upowszechniać (na co zresztą już niejedną raz zwracano uwagę), między innymi przez wydawanie tego rodzaju prac.

Za pożyteczną i godną uwagi uznać więc należy działalność członków Klubu Kronikarzy Zagłębia Dąbrowskiego im. Jana Przemysły-Zielińskiego, Oddziału Będzińskiego Stowarzyszenia Autorów Polskich, a ostatnio i pracowników czeladzkiego Muzeum „Saturn”, której wynikiem jest między innymi organizowanie corocznych zagłębiowskich sympozjów, a także wydawanie materiałów pokonferencyjnych. Zaprezentowane na nich różne tematy czy wątki wskazują jak wiele – mniejszych i większych – wydarzeń miało miejsce właśnie na terenie zagłębiowskich miast oraz wsi i że niektóre z nich, o tzw. ogólnopolskim charakterze, także swym zasięgiem objęły obszar Zagłębia Dąbrowskiego.

Oddawana do rąk Czytelników praca powinna zainteresować wszystkich, którym bliska jest historia swej „małej” zagłębiowskiej ojczyzny, jak również powinna być wykorzystywana w pracy z dziećmi i młodzieżą na lekcjach regionalnych i innych zajęciach o regionie. Powinna też mobilizować dotychczas mniej zainteresowanych przeszłością swojej ziemi, do podejmowania badań, do prowadzenia poszukiwań i do gromadzenia wszelkich materiałów i źródeł świadczących o pełnej aktywności na polu gospodarczym, politycznym i kulturalnym naszych ojców, dziadków, pradiadków.

Anna Glimos-Nadgórska



Manko w budżecie

Czasy PRL-u i zamkniętych drzwi w sklepach z białą kartką „remanent” mamy dawno już za sobą, ale manko jako wynik zarządzania budżetem w liberalnej gospodarce rynkowej znowu nas dotknęło. Na dodatek nie dotyczy jednego, dwóch czy nawet dziesięciu sklepów, ale całej gospodarki, ponieważ wystąpiło w budżecie państwa. To poważny problem ekonomiczny, chociaż media cytując to, co mówią politycy, usiłują znaleźć winnego bądź winnych i potraktować go jako kolejny powód do sporów politycznych.

W obliczu powiększającej się o 24 mld zł dziury w tegorocznym budżecie – albo jak powiedzieliśmy manko – rząd zdecydował się na podniesienie deficytu o 16 mld złotych, a brakujących 8 mld zł poszuka, dokonując oszczędności w wydatkach publicznych. Według ekonomisty prof. Krzysztofa Rybińskiego kilku miliardów można szukać w zbyt dużych wydatkach administracji. Oszczędności dotkną każdego z nas, bowiem zapłacimy wyższy podatek VAT (23 proc. zamiast 22 proc.). Od stycznia ubiegłego roku płacimy więcej za objęte nim produkty i usługi. Podatnicy zapłacą również miliard złotych więcej, ponieważ zamrożona została kwota wolna od podatku. Dochody wyższe niż 85,5 tys. złotych rocznie osiąga w Polsce około 400 tys. obywateli i płaci wówczas wyższe podatki. Kwota progu podatkowego jest zamrożona, dlatego więcej osób ją przekracza i oddaje do Urzędu Skarbowego, a więc i budżetu, większy podatek. Nie jest to takie oczywiste w długim okresie czasu, bowiem według A. Laffera kolejny wzrost stawek podatkowych powoduje coraz mniejszy przyrost dochodów podatkowych, a po przekroczeniu pewnego punktu przychody te spadają. Martwimy się, jak tę dziurę załatać, przede wszystkim, skąd wziąć na to środki, a nie zastanawiamy się nawet, dlaczego to manko powstało. Budżet przygotowany przez rząd na 2013 rok okazał się zbyt optymistyczny. Kryzys trwa nadal, dlatego do budżetu trafia mniej pieniędzy z podatków. Osiągamy mniejszy niż zakładano wzrost gospodarczy, mniej konsumujemy i niższa jest inflacja. Dlatego konieczne było zwiększenie dotychczasowego deficytu i zgoda sejmu na dalsze zadłużanie państwa, powyżej 50 proc. proggu. Według prezesa NBP Marka Belki zwiększenie deficytu, czyli zmniejszenie cięć wydatków, ma sens, ponieważ zbyt drastyczne ogranicza-

nie wydatków zaszkodziłoby gospodarce, która i tak jest spowolniona i trzeba ją ożywić. Jednak jak mawiali mędrcy – „każdy kij ma dwa końce”. Likwidacja proggu ostrożnościowego pozwala na dalsze zadłużanie kraju. Tym bardziej że już w ubiegłym roku mieliśmy problem z domknięciem się budżetu. Wówczas dochody podatkowe były o 16 mld mniejsze od planowanych. Również stanęliśmy przed groźbą nowelizacji budżetu, ale NBP wpłacił bardzo wysoki odpis z zysku i tym samym uratował budżet. Dlaczego w takim razie ten budżet był taki optymistyczny, jeżeli z realizacją ubiegłorocznego już mieliśmy problemy. To taki „zabieg” Ministra Finansów, nazwany przez ekonomistów „oszukiwaniem rynków finansowych”. Gdyby przyjąć bardziej pesymistyczny scenariusz uwzględniający recesję w Polsce i Europie, to mogłoby to jeszcze bardziej wystraszyć konsumentów – obniżyć konsumpcję, a więc i podatki, czyli sytuacja budżetu byłaby jeszcze gorsza. A tak nasze obligacje mają niską rentowność, na czym korzystamy. Jednak co dalej? Czy zaciesnianie polityki fiskalnej nie doprowadzi do jeszcze silniejszego spowolnienia gospodarczego? To spowolnienie to dalsze kłopoty budżetu. Obawiam się krótkoterminowej polityki gospodarczej, tzn. czy rząd widzi perspektywę po wyborach, czy działa tylko na dobry wynik ekonomiczny do wyborów. Mam nadzieję, że patrzy długo-terminowo, bo w ekonomii i gospodarce to konieczność. Spójrzmy na naszych sąsiadów: Czechy i Słowacja również mają spowolnienie gospodarcze (jak cała Europa), ale nie rewidują swoich budżetów, mało tego, deficyt budżetowy w Słowacji jest niższy niż w tym samym czasie w ubiegłym roku. Osiągnął 54 proc. sumy planowanej za cały rok, a w Polsce około 90 proc. Czechy mimo głębokiej recesji też nie mają problemów budżetowych. Czyżby lepiej potrafili prognozować i zarządzać systemem podatkowym, który jest odporniejszy niż nasz na spadek koniunktury. Co możemy zrobić?

Jak zawsze jestem optymistką i uważam, że nie ma sytuacji bez wyjścia. Po pierwsze Unia Europejska bierze się za walkę z „szarą strefą”, czyli dochodami osiągniętymi bez płacenia podatków, więc jak zwycięży, to wpływy do budżetu wzrosną, ale to trochę potrwa. Po drugie, Minister Finansów liczy na pieniądze z OFE, nie oceniam, ale to też zastrzyk dla budżetu. Po trzecie, mamy wakacje i upalną pogodę, może Polacy spędzą



urlop nad polskim morzem, na Mazurach i w naszych górach, zwiększą tym samym konsumpcję i przychody hoteli, gospodarstw agroturystycznych, a te z kolei wpływy do budżetu z rodzimej turystyki. Po raz kolejny polscy konsumenci i mali przedsiębiorcy, bo tych najwięcej jest w naszej turystyce, mogą wspomóc budżet i Ministra Finansów, ale czy to wystarczy – mimo wrodzonego optymizmu – myślę, że nie. Dlatego konieczne są oszczędności i zaciskanie pasa, ale nie w gospodarce, tylko w wydatkach – najlepiej w urzędach administracji publicznej. Życzę udanego urlopu w Polsce z nadzieją na mądre decyzje naszego rządu.

Jadwiga Gierczycka



A PRAWO, PRAWO MIAŁO ZNACZYĆ

W poprzednich felietonach pisałem na temat prognozowania i tworzenia wirtualnego budżetu państwa. Nie chcę się chwalić, ale moje racje przekazane Czytelnikom niestety sprawdziły się i sprawdzają nadal. Osobiście życzyłbym sobie, abym tych racji nie miał, a treści publikowane w moich felietonach były kwestionowane jako wyssane z palca.

Niestety jest odwrotnie, nad czym ubolewam i pomimo że podpisuję felietony swoim nazwiskiem, nikt do tej pory nie zadzwonił do Redakcji ani do mnie z pretensjami, że piszę nieprawdę lub przesadzam. Nikt nie zażądał sprostowania ani nie zarzucił mi kłamstwa. I to mnie przeraża, bo chciałbym się mylić i pisać swoje felietony tak, jak są pisane wiadomości z kolorowych tygodników (plotka plotkę goni) i tym podobnych wydawnictw. Ogólnie można wyciągnąć jeden wniosek, że w naszym Państwie dzieje się źle i nie ma perspektyw, aby w najbliższym czasie było lepiej. Grupa nieudaczników lub ludzi pozbawionych kompetencji została wybrana przez nieświadomy Naród i w imię zasad demokracji skutecznie niszczy nasze społeczeństwo oraz kraj.

Ostatnim „przebojem” w mediach i na salonach politycznych jest „pomyłka” rządu i ministra finansów o 24 miliardy złotych w uchwalonym przez sejm RP budżecie państwa na rok 2013. Znowu prognoza ministra finansów nie sprawdziła się, jak wiele prognoz funkcjonujących w naszym codziennym życiu i egzystencji. Bo przecież nawet prognozy pogody w Polsce się nie sprawdzają, a co dopiero prognozy budżetu państwa.

Byliśmy „zieloną wyspą”. Państwem, które łagodnie, a wręcz z sukcesem przechodzi przez kryzys światowy, uzyskując co roku słaby, ale ciągle dodatni wzrost PKB. Karmiono nas frazesami, które nawet koło prawdy nie leżały na półce. Bzdury, którymi okłamano niezających się na finansach i prawie posłów RP w celu uchwalenia „Ustawy budżetowej” na rok 2013, były nie tylko niegroźnymi bzdurami, ale oszustwem. Ponieważ posłów mamy takich, jakich sobie w demokratycznych wyborach wybraliśmy, to gremium poselskie uchwaliło nam ten bzdurny budżet, bo się na tym nie znało. Przecież i tak za nic nie odpowiadają, więc co mają do stracenia? Swoją dietę kilkunastotysięczną i drugie tyle na prowadzenie biur, w których przeważnie nikogo nie ma i tak dostaną. Dostaną też darmowe przejazdy komunikacją lotniczą, morską i lądową, a paliwo do służbowych samochodów rozliczą w sprawozdaniach finansowych z działalności biur poselskich, chociaż to, co robią nie jest działalnością gospodarczą a „służbą społeczeństwu”. Śmieszne, ale prawdziwe. I pomyśleć, że to wszystko z naszych podatków, mandatów, kar nałożonych przez fiskusa i stosowanej nagminnie tzw. łapanki finansowej prowadzonej przez Urzędy Skarbowe, aby

zapewnić pieniądze dla zabezpieczenia wirtualnego budżetu na rok 2013 uchwalonego przez sejm RP na wniosek rządu.

Kto i komu służy? Społeczeństwo rządowi, sejmowi i innej wszelakiej „władzy”? Czy odwrotnie? Przecież to oni są dla nas, a nie my dla nich? To MY mamy decydować co jakiś czas, kto dla nas będzie pracował, dbał o nasze interesy, leczył nas, bronił i chronił przed wszelkim złem, jakie może spotkać nasze społeczeństwo. Dlatego ważne jest na kogo głosujemy (człowieka), a nie partię polityczną, która, wygrywając wybory, obsadza stanowiska jak trofea wojenne swoimi kolesiami, w zależności od partyjnych zasług, a nie od posiadanych kwalifikacji i umiejętności. Bo jak tu koledze odmówić stanowiska ministra czy wiceministra, jak tak bardzo udzielał się w mojej kampanii wyborczej, którą wygrałem? I tak trafiają do władzy ci, którzy nigdy nie powinni się w niej znaleźć. I CO? I NIC!!!

Znowu będą wybory i znowu naród będzie głosował na partię polityczną, a nie na człowieka i jego kwalifikacje do pełnienia danego stanowiska. Zmieni się (albo i nie) tylko ekipa nieudaczników, kolesiów z partii, która wygra wybory, a społeczeństwo po jakimś czasie znowu się ocknie (jak się dowie), ale już będzie za późno, bo będzie oszukane przez tych, których wybrało. I CO? I NIC!!!!

Szanowni Państwo!

Zastanawiam się, co by się stało, gdyby w przedsiębiorstwie, firmie czy jednostce budżetowej główny księgowy pomylił się o mniej znaczącą kwotę, np. 200 tysięcy złotych. Domyślam się konsekwencji z tego tytułu, z jakimi spotkałaby się taka jednostka gospodarcza.

Główny księgowy zostałby zwolniony w trybie natychmiastowym, zawiadomiono by prokuraturę o podejrzeniu o popełnienie przestępstwa, a jeżeli dotyczyłoby to firmy prywatnej (średniej lub małej), ogłoszono by jej upadłość.

Prawo nie przewiduje, aby państwo mogło zgłosić swoją upadłość, ale skutki braku 24 mld zł w budżecie państwa odczuwamy wszyscy. Należy nadmienić, że rzecz dzieje się w państwie, w którym ani jeden resort ministerialny nie funkcjonuje dobrze, o czym nie będę pisał, bo musiałbym napisać książkę, a nie felieton.

Co nam mówi obecnie „koalicja rządząca”? Jak zwykle, to samo: „Polacy nic się nie stało”. Zrobi się korekty budżetu państwa, sejmowi wciśnie się „farmazoni”, które przyjmie, a społeczeństwo, naród (?) musi jakoś

sobie poradzić, aby przeżyć. I CO? I NIC!!!

Na pytanie skierowane przez obywatela do Premiera Państwa (transmitowane w telewizji) – „...Panie Premierze – jak żyć?” – odpowiedzi nie usłyszeliśmy, więc śmiem twierdzić, że rząd coś robi, planuje, kombinuje, walczy z opozycją parlamentarną, ale nie wie, jak w wyniku jego działań żyć w zarządzanym przez siebie państwie. Więc czemu i komu ten rząd służy? Czy jest, bo musi być? Bo tak stanowi prawo? Przekazuję to Wam, Czytelnikom, do przemyślenia, zostawiając tę kwestię bez komentarza.

Michał Kręcisz

Ktoś może stwierdzić, że jestem jakimś złym prorokiem. W poprzednim wydaniu „Nowego Zagłębia”, martwiłem się losem hokejowego Zagłębia. A wydawać by się mogło, że powodów do zmartwień nie ma...

Ale to już było?

Na początku wakacji gruchnęła nagle wiadomość, że w Sosnowcu może powstać superdrużyna, złożona z polskich reprezentantów i prowadzona przez trenera naszej kadry narodowej, Rosjanina Igora Zacharkina. Płacić miał za to wszystko tajemniczy zagraniczny sponsor, pochodzący z Rosji, a może z Wielkiej Brytanii czy Kanady, zresztą mniejsza z tym skąd, bo ostatecznie do stolicy Zagłębia Dąbrowskiego nie przyjedzie. Aby było jeszcze ciekawiej, to na dodatek miał on zbudować nowoczesny wielofunkcyjny obiekt, głównie z przeznaczeniem dla hokeja na lodzie. No po prostu bajka!

Ale jak to z bajkami bywa, choć są piękne i chętnie się ich słucha, to nie zawsze spełniają się w rzeczywistości. I tak też stało się w przypadku hokejowego Zagłębia, które zwyczajnie zostało „na lodzie”, czego właśnie się obawiałem, dając temu wyraz w poprzednim felietonie. Bo na dziś rzecz wygląda tak, że na pewno sosnowieccy hokeiści nie zagrają w ekstraklasie. Ba, nie wiadomo czy przetrwa w ogóle nazwa „Zagłębie”, nawet jeżeli zespół zostanie zgłoszony do rozgrywek niższego szczebla, czyli I ligi. Mówi się, że dla uratowania hokeja w Sosnowcu, a zwłaszcza szkolenia młodzieży, trzeba będzie sportową spółkę postawić w stan upadłości. Jej długi są bowiem zbyt

wielkie, znacznie większe niż spodziewał się wspomniany na wstępie inwestor, który zniechęcony podobno wybrał Krynicę.

Co więc dalej z hokejem w Sosnowcu? Być może gdy ukaże się ten numer „Nowego Zagłębia”, będzie już wiadomo. Tak obiecują władze samorządowe, właściciel hokejowej spółki. Pani wiceprezydent Agnieszka Czechowska-Kopec przedstawiła bowiem wariant ratunkowy, w którym zespół ligowy oparty byłby na młodzieży i klubie UKS Sielec. Kto miałby go jednak finansować, skoro pani wiceprezydent, tłumacząc zamieszanie wokół hokeistów, poinformowała, że miasta nie stać na utrzymanie wielu drużyn na wysokich szczeblach rozgrywek. Przyznam, że czytając taką argumentację, przetarłem oczy ze zdziwienia. O jakich „wielu drużynach na wysokich szczeblach rozgrywek” mowa! Zgoda, hokeiści grali w ekstraklasie. I kto jeszcze? Piłkarze Zagłębia – również finansowani przez miasto – są przecież w drugiej (de facto trzeciej) lidze. Piłkarki Czarnych grają na zapleczu ekstraklasy, podobnie koszykarki JAS FBG, piłkarze ręczni Zagłębia właśnie wywalczyli awans do I ligi (również zaplecze ekstraklasy), koszykarze i siatkarze z Sosnowca są jeszcze niżej – w trzeciej lidze. Na papierze robi to może wrażenie, ale trzeba też od razu dodać, że poza hokeistami i piłkarzami (kosztującymi w sumie kilka milionów rocznie) pozostałe kluby otrzymują od miasta stosunkowo niewielkie wsparcie w postaci dotacji.

Być może, jako człowiek sporo starszy od pani wiceprezydent, jestem niejako „skażony” pamięcią o latach – nie tak znowu dawnych – kiedy to Sosnowiec miał w ekstraklasie wiele drużyn, które na dodatek regularnie zdobywały mistrzostwo Polski. Łza się w oku kręci, gdy człowiek wspomni wspaniałe mecze i wielką radość po sukcesach siatkarzy i siatkarki Płomienia, koszykarzy Zagłębia i Victorii, piłkarzy Czarnych i oczywiście hokeistów Zagłębia. Jakież to były wspaniałe lata dla kibiców!

A skoro zeszło na historię, to i ciekawa rzecz mi się przypomniała. Związana z osobą Piotra Hałasika, znanego biznesmena i kandydata na senatora. Otóż od lat jest on również bardzo mocno związany ze sportem. To on budował profesjonalny zespół siatkarki Płomienia; i to przy nim sosnowieccy siatkarze stanęli na podium rozgrywek. Co ciekawe, pan Hałasik był jednym z inicjatorów i współtwórców profesjonalnej PlusLigi, w której koniec końców zabrakło miejsca dla „jego” Płomienia.

Warto przypomnieć pewną historię związaną z ratowaniem tego klubu przed upadkiem



po rozwiązaniu umowy z firmą Hałasika, BH Steel-Energią. Ówczesny prezes Płomienia, Paweł Kaczmarczyk, tak mówił w jednym z wywiadów dla portalu „Sportowe Zagłębie”: „Od połowy marca 2008 roku prowadziliśmy rozmowy z kanadyjską firmą z branży turystycznej, której właścicielem był Polak, mieszkający w Ameryce Południowej. Rozmawialiśmy kilkunastokrotnie, cały czas byliśmy w stałym kontakcie mailowym. Przedstawiłem wszystkie dokumenty, dotyczące spółki oraz planów na przyszły sezon. W czerwcu podpisałem umowę na świadczenie usług reklamowych, a właściciel firmy na sprzedaż akcji spółki. Myślałem, że wszystko mamy już poukładane. Niestety, umówiony termin pierwszej zapłaty minął, a kontakt z firmą się urwał. Zgodnie z zapisami, umowa wygasła i znowu zostaliśmy na lodzie”. Po nieudanym mariażu z branżą turystyczną klub liczył na pomoc ze strony miasta. Ta jednak była znikoma, wręcz bliska zeru. – „Przykro to mówić, ale gmina Sosnowiec nie czuje sportu. W przeciwieństwie do okolicznych miast, ze sportu nie robi się tutaj wizytówki i nie wykorzystuje potencjału marketingowego, towarzyszącego imprezom sportowym. Pomoc od miasta to około 110 tysięcy złotych na sezon, przeznaczane na stypendia dla siatkarzy” – mówił zawiedziony prezes Kaczmarczyk. A w sierpniu 2008 r. działacze podjęli decyzję o wycofaniu zespołu z rozgrywek.

Czy nie przypomina to trochę obecnej sytuacji z hokejowym Zagłębiem? Gdzie tu jednak związek z Piotrem Hałasikiem? Otóż od ponad roku jest on prezesem Polskiego Związku Hokeja na Łodzie. W tym sezonie w życie wchodzi projekt zrobienia w pełni profesjonalnych rozgrywek hokeistów, zgodnie z którym każdy klub musi mieć gwarancje finansowania na określonym poziomie. I podobnie jak pięć lat temu siatkarze Płomienia, tak teraz hokeiści Zagłębia nie są w stanie spełnić tego wymogu. Co oczywiście nie znaczy, broń Boże, że to pan Hałasik jest winny upadku wcześniej Płomienia, a teraz hokejowego Zagłębia. To jednak sosnowiecki radny, Jacek Kazimierczak,

będący asystentem prezesa PZHL, stał za pomysłem z niedoszłym inwestorem dla hokeistów. A zdaniem wielu ludzi z sosnowieckiego Urzędu Miasta, to on był jednym z tych, przez których doszło chyba do wielu niejasności na drodze komunikowania się z inwestorem, co skutkowało jego ostatecznym wycofaniem się z zakupu akcji hokejowej spółki.

Czyż nie nasuwa się więc wniosek: że to już było...

Andrzej Wasik

Porady prawne



Udzielając porad, zapoznając się z problemami prawnymi, z którymi borykają się mieszkańcy Zagłębia. Po porady zwracają się zarówno osoby bezrobotne, jak i pracujące, emeryci i renciści, osoby starsze i młodsze, małżeństwa, samotne matki oraz samotni ojcowie. Katalog poruszanych problemów prawnych jest bardzo szeroki. Dotyczy zarówno dziedzin prawa cywilnego, rodzinnego, administracyjnego, prawa pracy, kwestii egzekucyjnych, mieszkaniowych, spadkowych itp.

Proponuję więc, aby w kolejnych artykułach omawiać poszczególne problemy i pokrótce je naszym czytelnikom przybliżyć i wyjaśnić. W tym numerze poruszymy problem eksmisji, zjawiska dotyczącego coraz liczniejsze grono społeczeństwa oraz często poruszany problem dotyczący odrzucenia spadku.

Od dwóch lat obowiązują nowe zasady dotyczące eksmisji lokatorów, gdyż w 2010 roku Trybunał Konstytucyjny dokonał nowelizacji przedmiotowej kwestii. Trybunał uznał, iż art. 1046 § 4 kpc, który gwarantował każdemu eksmitowanemu pomieszczenie tymczasowe, o ile sąd nie przyznał mu lokalu socjalnego, za niezgodny z Konstytucją. Przepis ten budził problemy praktyczne, jako że nie określał, kto powinien ponieść koszty zapewnienia takiego lokalu ani na jak długo powinien on być zapewniony. Trybunał uznał uchylony przepis za niezgodny z zasadą poprawnej legislacji z powodu jego niedookreśloności, przez co wyroki w sprawach eksmisyjnych nie mogły być skutecznie wykonywane. Ponadto, znowelizowane przepisy nie chroniły w sposób wystarczająco

jący członków rodziny osoby eksmitowanej, w stosunku do której procedowano eksmisją ze względu na znęcanie się nad rodziną.

Z nowego rozporządzenia wynika szereg powinności, jakie musi wykonać komornik przed wykonaniem eksmisji. Są to zarówno obowiązki wynikające z samego wykonania eksmisji, jak i obowiązki informacyjne wobec wierzyciela i dłużnika. Procedura przewiduje kilka elementarnych scenariuszy (przypominam, że chodzi o eksmisję osób, wobec których sąd nie orzekł o prawie do lokalu socjalnego):

- jeżeli dłużnik nie posiada prawa do lokalu, do którego mógłby być eksmitowany, komornik zwraca się do gminy właściwej ze względu na lokal podlegający eksmisji o wskazanie pomieszczenia tymczasowego, do którego dłużnik będzie mógł być eksmitowany,
- gmina będzie musiała wskazać komornikowi schronisko, noclegownię lub inną placówkę zapewniającą nocleg,
- komornik wyeksmituje lokatora do innego lokalu, do którego ten posiada tytuł prawny np. jako właściciel czy najemca.

Przed wykonaniem eksmisji, zgodnie z nowym rozporządzeniem, komornik ma obowiązek wysłuchać dłużnika oraz dokonać opisu rzeczy ruchomych znajdujących się w lokalu.

Kwestię przyjęcia lub odrzucenia spadku, jak i odpowiedzialność za długi spadkowe reguluje ustawa Kodeks Cywilny w artykułach od 1012 do 1034; problem też porusza ustawa Kodeks Postępowania Cywilnego artykuły od 640 do 644. W tym miejscu udzielam paru wskazówek, w jaki sposób odrzucić niechciany spadek. Najistotniejszym elementem odrzucenia spadku jest dotrzymanie sześciomiesięcznego terminu zawitego (nie przywracalnego) od dnia, w którym spadkobierca dowiedział się o tytule spadku, tj. otwarciu spadku, czyli chwili śmierci spadkodawcy.

Odrzucenie polega na złożeniu odpowiedniego oświadczenia. Oświadczenie takie może złożyć spadkobierca, jak i jego pełnomocnik. Pełnomocnictwo do złożenia takiego oświadczenia powinno być udzielone z podpisem urzędowo poświadczonym.

Oświadczenie to stanowi deklarację o braku zamiaru bycia spadkobiercą. Wniosek składa się w sądzie spadku, tj. w sądzie rejonowym ostatniego miejsca zamieszkania zmarłego, a jeśli nie można go ustalić, to w sądzie, w jakim znajduje się miejsce położenia majątku spadkowego lub jego części. W razie braku powyższych podstaw właściwym jest sąd rejonowy dla miasta stołecznego War-

szawy. Co ważne: oświadczenie o odrzuceniu spadku można złożyć również przed notariuszem – notariusz przesyła akt notarialny do sądu spadku.

Osoba, która takie oświadczenie złożyła, traktowana jest jakby otwarcia spadku nie dożyła.

W oświadczeniu należy wykazać swój tytuł do dziedziczenia, a ponadto imię i nazwisko spadkobiercy, datę i miejsce jego śmierci oraz ostatni adres jego zamieszkania, tytuł powołania do spadku, wymienienie wszelkich wiadomych osób należących do kręgu spadkobierców ustawowych. Ponadto, należy złożyć wypis aktu zgonu spadkodawcy albo prawomocne orzeczenie sądowe o uznaniu za zmarłego lub o stwierdzenie zgonu, jeżeli dowody te nie zostały poprzednio złożone.

Na zakończenie pragnę poinformować, iż w biurze Sojuszu Lewicy Demokratycznej przy ulicy Ignacego Mościckiego 14 w Sosnowcu, w każdą środę i czwartek w godzinach od 15.00 do 17.00, udzielane są bezpłatne porady prawne.

Zainteresowanych serdecznie zapraszamy.

*Radca prawny
Jacek Chomicz*

Król na emeryturze – niech żyje król!

A więc stało się. Albert II, szósty król Belgów, ustąpił – zgodnie z przewidywaniami wielu belgijskich obserwatorów, w tym Frédérica Deborsu, autora głośnej książki „Question(s) royale(s)”, o której pisałam dla „Nowego Zagłębia” na początku roku. Na (nieistniejącym) tronie zasiadł więc siódmy król Belgów – 53-letni Filip.

Zanosilo się na to od dawna. Deborsu pisał, że 79-letni Albert jest zmęczony panowaniem i trudnymi relacjami walońsko-flamandzkimi, że niedomaga (przeszedł m.in. operację przepukliny i wszczepienia bajpasów). Z drugiej strony, biorąc pod uwagę niepewny wynik wyborów krajowych w 2014 r., król miał pozostać na stanowisku. Poza tym abdykacji króla nie przewiduje belgijska konstytucja, chociaż ojciec Alberta II – Leopold III – został przez opinię publiczną zmuszony do ustąpienia ze względu na budzącą wątpliwości postawę podczas II wojny światowej. Wielka zmiana nie była zupełnym zaskoczeniem. Najpierw, w majo-

wym półmaratonie w Brukseli wziął udział książę Filip (co uznane zostało za krok medialny), a potem król wygłosił orędzie telewizyjne, zapowiadając, że jego najstarszy syn przejmie władzę 21 lipca, tj. w dniu święta narodowego Belgii. I tak się stało.

3 lipca 2013 r. o 18.00 Albert II wystąpił w telewizji, kierując do swych poddanych te słowa: „Wkroczyłem w 80. rok życia (król obchodzi urodziny 6 czerwca – przyp. autorki) i jest to wiek, jakiego nie dożył żaden z moich poprzedników pełniąc swój urząd. Stwierdzam, że mój wiek i stan zdrowia nie pozwalają mi dalej wypełniać mojego urzędu tak, jakbym chciał. Byłoby z uszczerbkiem dla moich obywateli i mojej koncepcji funkcji królewskiej, gdybym zechciał pełnić tę rolę za wszelką cenę (...). To podstawowa kwestia szacunku dla instytucji i dla was, drodzy współobywatele. Po 20 latach panowania oceniam, że nadszedł czas, by przekazać pałeczkę kolejnemu pokoleniu. Stwierdzam, że książę Filip jest dobrze przygo-

towany do sukcesji. On i księżna Matylda cieszą się moim pełnym zaufaniem. Z biegiem lat, a zwłaszcza w ramach zagranicznych misji gospodarczych, książę Filip dowiódł, jak bardzo leży mu na sercu zaangażowanie w sprawy naszego kraju. I nade wszystko z czasem przekonałem się, że nasz kraj może liczyć na swój niezwykle atut, na WAS, moi drodzy współobywatele! Z narodem obfitującym w takie talenty, taką różnorodność, taką energię, taką szczodrość, przyszłość naszego państwa znajduje się w dobrych rękach! A zatem ze spokojem i zaufaniem dzielę się z Wami moim zamiarem abdykacji w dniu 21 lipca 2013 r., w dniu naszego święta narodowego, na rzecz następcy tronu, mojego syna Filipa. (...) Oczywiście koniec mojego panowania nie oznacza, że nasze drogi się rozchodzą. Wręcz przeciwnie. Niech żyje Belgia!”

Media przyjęły decyzję króla ze zrozumieniem i szacunkiem. Jedynym zasmuconym wydawał się rysownik Pierre Kroll, którego ulu-

bioną postacią był król Albert portretowany na tronie w szlafroku... Komentarz Krolla wiele mówi o belgijskim poczuciu humoru: „Tracę swoją ulubioną postać! Czuję, że tak będzie, ale i tak jestem zaskoczony. Szkoda, bo dzięki moim rysunkom przechodził do historii w szlafroku i kapiach”.

Panowanie Alberta trwało więc niecałe 20 lat; okrągłą rocznicę obchodziliby 9 sierpnia tego roku. Zdecydował się jednak wcześniej oddać władzę młodszemu pokoleniu.

Jakiego rodzaju to władza? Nie wywodzi się z mroków średniowiecza ani nie pochodzi od Boga. 21 lipca 1831 r., około godziny 14.00 przysięgał na konstytucję pierwszy król Belgów Leopold I, zaproszony przez rodzące się państwo z zagranicy do tego, by został jego suwerenem. Król odtąd gwarantuje jedność i spójność państwa podzielonego praktycznie pod każdym innym względem; Walonów i Flamandów łączy więc przede wszystkim osoba suwerena. To król po wyborach wyznacza negocjatora, który ma zbudować koalicję. Po wyborach w 2010 r. proces formowania nowego rządu trwał 541 dni, co miało znacznie nadszarpnąć zdrowie Alberta. Gdy w końcu zaprzysiężono nowy rząd – stało się to 6 grudnia 2011 r. – króla okrzyknięto zbawcą ojczyzny. Jak pisze Sébastien Ministru w dodatku do tygodnika „Moustique” poświęconym abdykacji Alberta II: „Nigdy nie był on bardziej królem, niż podczas tych 541 dni (...), gdy balkony Belgów rozkwitły trójkolorowymi flagami [Belgii]”. Podczas kryzysu wywołanego w 1995 r. aferą Dutroux, pedofila-mordercy, Albert II zdecydował się zorganizować „okrągły stół” – spotkanie z osieroconymi rodzicami. W dużej mierze ten (pozakonstytucyjny) krok króla pozwolił uspokoić nastroje społeczne w kraju. Król łączy, a nie dzieli – choć Albert II i jego najbliższe otoczenie lepiej posługuje się francuskim niż flamandzkim, większy zatem entuzjazm budzi na południu kraju, we frankofońskiej Walonii.

Powszechnie uważa się, że przed Filipem stoi trudne zadanie. Jego ojciec cieszył się dużą sympatią poddanych, jest bowiem człowiekiem bardzo dowcipnym i potrafiącym nawiązać kontakt z każdym rozmówcą. Jeden z byłych premierów Belgii, znany ze swojej pobożności, miał zwierzać się królowi, że codziennie modli się do Matki Boskiej. „A ja rozmawiam bezpośrednio z Szefem” – odrzekł król (podają za Deborsu). Z kolei Filip uchodzi za osobę pełną rezerwy. Ma on jednak niezaprzeczalny atut w osobie swojej żony Matyldy, wedle wszelkich rankingów cieszącej się największą sympatią



Fot. Maximus0970

poddanych. Liczy sobie ona tylko czterdzieści lat, jest wykształcona, atrakcyjna i szalenie elegancka w belgijskim znaczeniu tego słowa. Jest to dyskretny, nienachalny szyk, jaki proponują tacy belgijscy projektanci, jak Édouard Vermeulen, który ubiera także obecną królową Holandii. Matylda ma szansę zostać królową doskonałą. Jest też pierwszą królową Belgów, która urodziła się w Belgii, zatem sama jej osoba może zjednoczyć podzielonych poddanych. Ma także znaczenie dla nas, Polaków, bo jak powszechnie wiadomo, jej matka hrabina d’Udekem d’Acoz urodziła się w Polsce i jest kuzynką polskiego prezydenta.

Filip był wcześniej przygotowywany do roli następcy tronu. Jego stryj król Baldwin (Baudouin) pozostał bezdzietny. Otoczył on zatem szczególną opieką swego najstarszego bratanka, wprowadzając go w sprawy państwowe. Jednak po przedwczesnej śmierci Baldwina, który zmarł na serce 31 lipca 1993 r. podczas wakacji w Hiszpanii, telefon od premiera rządu zadzwierczał na biurku Alberta, a nie jego najstarszego syna. Taki scenariusz przewiduje konstytucja, a poza tym – Filip nie był jeszcze wówczas żonaty. Oczywiście życie następcy tronu nie jest łatwe. W swojej książce Deborsu opisuje, jak podczas studiów na akademii wojskowej koledzy z roku chcąc mu dokuczyć, wołali „Vive la republique!”. Nikt jednak Belgii nie chce przekształcać w republikę... Panuje też przekonanie, że pełniąc nową rolę suwerena Filip – podobnie jak jego ojciec, który na początku panowania wydawał się nieśmiały – stanie się z czasem bardziej swobodny w kontaktach z mediami.

Para królewska ma dziś czworo dzieci, dwie

dziewczynki i dwóch chłopców. Kolejnym suwerenem będzie więc 12-letnia dziś Elżbieta, która do swej roli przygotowuje się starannie; już mając 10 lat wygłosiła oficjalne przemówienie w języku flamandzkim przy okazji otwarcia szpitala dziecięcego.

Pojawiają się głosy, że obecny kształt monarchii wymaga reformy. Zanim jednak zostanie ona ewentualnie przekształcona w monarchię protokolaną o wymiarze czysto symbolicznym, urzędujący premier, socjalista Elio Di Rupo, zdecydował się na śmiały krok: opodatkował rodzinę królewską. Kwota wypłacanej Pałacowi dotacji wynosi około 12 milionów euro rocznie, nie jest więc na tle innych monarchii europejskich oszałamiająca. Pensję od państwa w rozmaitej wysokości otrzymują niepracujący członkowie rodziny królewskiej, w zamian za to pełniąc funkcje reprezentacyjne i społeczne. I tak – następcą tronu tradycyjnie uczestniczy w zagranicznych misjach gospodarczych Belgii, a inni członkowie rodziny królewskiej przewodniczą różnym fundacjom i organizacjom, np. Czerwonemu Krzyżowi.

Podobno król przekonał się, że abdykacja będzie właściwym krokiem, uczestnicząc w kwietniu tego roku w przekazaniu władzy swemu następcy przez holenderską królową Beatrix. Niektórzy dodają, że jest być może jeszcze jeden powód, dla którego król zdecydował się odejść na emeryturę. To Delphine Boël, wychowana w Londynie artystka tworząca m.in. rzeźby z papier mâché, która urodziła się w 1968 r. Formalnie jest córką bogatego przemysłowca Jacquesa Boëla i jego żony baronowej Sybille de Selys Longchamps, lecz jej prawdziwym ojcem ma być Albert. Opinia publiczna dowiedziała się o jej istnieniu 19 października 1999 r., wraz z ukazaniem się książki flamandzkiego dziennikarza Mario Danneelisa. Niedawno do sądu trafił wniosek Delphine o ustalenie ojcostwa (zgodnie z prawem ma na to czas do 48. roku życia). DNA ma zostać pobrane od jej przyrodniego rodzeństwa; króla pod tym względem chroni konstytucja. Ale kiedy nie będzie już królem? Belgowie dowiedzą się tego 3 września – na ten dzień zaplanowano posiedzenie sądu.

A tymczasem – jeśli o poczuciu wspólnoty mowa – wszyscy chyba Belgowie cieszą się, że Czerwone Diabły zajmują najwyższą w historii pozycję w światowym rankingu piłki nożnej. Belgijska drużyna jest sklasyfikowana wyżej niż Brazylia i właśnie do Brazylii wybiera się na mistrzostwa świata.

Katarzyna Wywiat

Komu w drogę, temu czas, czyli z podróży w nieznane

6.00 rano. Katowice – Dworzec PKP: na peron 3 podstawia się pociąg Pojezierze do Gdyni Głównej.

Cel

Jest 24 kwietnia. Wyjadę z Katowic o godzinie 6 rano, by dotrzeć na miejsce w okolicach 14.15. Pokonam trasę do Warszawy (przez Sosnowiec i Częstochowę), skąd skręcę na wschód w rejony dotąd mi nieznane – słoneczne Podlasie. Lasy będę podziwiać jedynie przez okno pociągu. Przedmiotem mojego zainteresowania jest bowiem miasto. Kolejne miasto, które zamierzam choć w części przemierzyć z mapą w dłoni. To mój ulubiony sposób zaprzyjaźniania się z nową przestrzenią. Planuję trasę najpierw na mapie, by potem powielić ją w terenie. Odległości, krzywizny ulic zawsze mnie zaskakują. Satysfakcję przynosi jednak zdolność nazywania miejsc, które mijam, ulic, którymi przechodzę i docieranie do celów, jakie sobie wyznaczam. Tym właśnie sposobem rozbrajam miasta – sławne i te uznawane za pospolite (zwyyczajne).

W większości przypadków udaję się na swoje wycieczki wraz z konkretnymi oczekiwaniami wobec odwiedzanych miast. One zaś niewiele sobie robią z moich wyobrażeń. Wyrastają przede mną realne i prawdziwe. Mimo to staram się choć odrobinę pozostawać wierna marzeniom. Będąc w Poznaniu, zjrzałam więc na Roossvelta 5, gdzie wedle powieści Małgorzaty Musierowicz mieszkają Borejkiwie. W Warszawie poszukiwałam aury międzywojnia, spacerując po Nowym Świecie. W Bielsku-Białej odkrywałam galicyjską duszę miasta. Tym razem pragnęłam zaznać wschodu, jakkolwiek miałby się ów wschód objawić.

Pociąg wjeżdża, a podróżni starają się niezwłocznie odnaleźć stosowny wagon. Mój okazuje się znajdować na samym końcu składu. Prócz mnie wsiada do niego grupa dzieci żegnana czule przez rodziców – tłok i chaos zwiastują początek niezapomnianej wycieczki szkolnej. Dostrzegam przerażenie nauczycielki-opiekunki – Miał być wagon bez przedziałów – powtarza, chodząc tam i z powrotem wąskim korytarzem. Rzeczywiście i na moim bilecie widnieje zapis „bez przedziałów”, dodatkowo: „miejsce pod oknem”. Siedzę przy drzwiach, skąd doskonale słychać i widać biegającą i wrzeszczącą jeszcze nie młodzież.

Przyglądam się pozostałym pasażerom. Zastanawiam, czy ktoś dotrwa ze mną aż do Białegostoku. Zazwyczaj towarzystwo zmienia się w Warszawie. Na jednej ze stacji wsiada starsza pani. Wita się uprzejmie i pyta o wolne miejsce. Jej śpiewny akcent zdradza cel podróży. Urok wschodnich rejonów Polski zakorzenił się w języku. Mam więc przedsmak Podlasia. Jako się rzekło, wysiadliśmy obie w Białymstoku.

Miejsce

Białystok – miasto „gadających” autobusów obchodzi się przyjaźnie z nowo przybyłymi. Pierwsze kroki w obcym miejscu zawsze są jednak trudne. Wchodzę zatem do budynku dworca



Altana w parku Branickich w Białymstoku. Fot. arch. aut.

i udaję do kiosku w celu zasięgnięcia języka. Kupuję bilet i wychodzę na przystanek komunikacji miejskiej, gdzie staram się rozgryźć linie autobusowe. Ostatecznie postanawiam poradzić się kobiety stojącej nieopodal. – Czy z tego miejsca dostanę się do akademików politechniki? – pytam. Zostaję poinstruowana, w jakie rejony winnam się kierować, na co zwrócić uwagę i, przede wszystkim, którym numerem wyruszyć. – Przy odrobinie szczęścia trafi pani na „gadający” autobus – dodaje przewodniczka. Tak, szczęście to klucz do sukcesu każdego podróżnika. Zapytana kobieta odbiera mnie jako raczej roztargnioną i nieobytą z miejskością. – Proszę trzymać torebkę przy sobie – tłumaczy – proszę nikomu nie ufać – straszy wręcz. Jej zachowanie wydaje mi się przesadzone, a miasto zieleni i tańca nie wzbudza mojego lęku. Przyjechałam w końcu z potężnej śląskiej aglomeracji, pełnej zatłoczonych autobusów i milczących tramwajów. Dam sobie radę.

Fakt faktem dotarłam na miejsce według podjętego planu. Rozpakowałam bagaż i wyszłam zapoznać się bliżej z miastem.

Oddycha się w nim pełną piersią, innym jakby wilgotniejszym powietrzem. Rejon akademików, w których nocowałam, to niewątpliwie strefa studenckiej egzystencji. Na ulicach spotyka się głównie młodych ludzi. Słoneczna pogoda zachęca ich do wyjścia na trawiaste tereny okalające budynki, gdzie siedzą, piją (nie sprawdzałam co), grają w piłkę, dyskutują. Stanowią obfitą większość i mają, co najważniejsze, wyłącznie na młodość.

Akademiki znajdują się w pobliżu rozległego parku. Na przeciw niego wybudowano stadion lekkiej atletyki. Elastyczne ciała każdego dnia przebiegają kilometry czerwonej bieżni tam i z powrotem. Inne tymczasem skaczą w dal lub wwyż. Energia, ruch, pełna mobilizacja przyciągają wzrok przechodniów. Po drugiej stronie ulicy sprawy mają się inaczej. Tam jest cmentarz, który przylega bezpośrednio do parkowej ścia-



Park Branickich w Białymstoku. Fot. arch. aut.

ny. Jawna opozycja witalności wita spragnionych zieleni spokojem, ale i bezduszną kamieniem.

Szukam dalej, miejsca wytchnienia i jednocześnie miejsca reprezentatywnego dla miasta, które nie byłoby naznaczone tak silnymi kontrastami. Deptak okalający park, wraz z pałacem Branickich po środku, zdaje się zapraszać zblakłego wędrowca miarowym rytmem niespiesznych stóp. Rodziny, znajomi i samotni spacerowicze przechadzają się w swoim tempie,



Pałac Branickich w Białymstoku. Fot. arch. aut.

prysiadając czasem na ławce. Jest pan sprzedający watę cukrową. Są i dzieci spragnione owego lepkiego specjału. Zdarzy się również, że ktoś przesyje tę wyizolowaną przestrzeń, pokonując deptak na rolnkach bądź rowerze. Po chwili chaosu wywołanego taką sytuacją wszystko jednak wraca do normy.

Nie tracę czujności. Szybko też spostrzegam nietuzinkowego mężczyznę, który porusza się nieco szybciej, nie przystaje do otoczenia ukojonego spacerem. Wyczuwam jego potrzebę podzielenia się czymś, co powoduje niepokój. I on dostrzega moją mimowolną gotowość, więc pospiesznie zbliża się i szepcze – Tutaj, w tym budynku – wskazuje konkretny – mieściło się gestapo. Właśnie tu. A potem... – nie słyszę jednak, co działa się potem. Odchodzi, ale po chwili odwraca

się, podchodzi jeszcze raz i dodaje – Powiedz innym, informacje muszą krążyć.

Ludzie

Warszawa Centralna – połowa drogi z Białegostoku do Krakowa – drogi powrotnej. Tłum ludzi napiera na pociąg. W przedziale zostałam sama na kilka dosłownie chwil.

Pierwsi zjawiają się dwaj Amerykanie. Młodszy kiwa porozumiewawczo głową i rozpoczyna instalację nieskromnego bagażu ponad naszymi głowami. Za dwójką wpada zdyszana kobieta, by natychmiast opaść na siedzenie. Następnie pojawia się pani z kilkuletnim synkiem, który podczas podróży skonsumuje całe rodzinne zapasy. Wchodzi również młoda dziewczyna, by usiąść koło mnie i starsza pani z dużą walizką, by zająć miejsce obok chłopca. Do przedziału wchodzi dwóch młodych Rosjan, którzy, jak się okazuje, posiadają bilety na miejsca zajęte przez Amerykanów. Cała wielonarodowa grupa okazuje się związana siłą nikłej przestrzeni na ponad trzy godziny podróży do miasta królów.

Szybko problemem okazuje się walizka starszej pani. Właścicielka nie pozwoliła umieścić jej na półce, twierdząc, że jedzie tylko godzinę do Włoszczowej. Walizka została wystawiona na korytarz, w którym gęsiego stoją podróżni. Zaprzyjaźnieni Amerykanie chcąc nie chcąc objęli bagaż opieką. Ich koszmar trwa bez końca, jak i wędrówki pasażerów. W Warszawie jest jeszcze jedna stacja, na której chętnych do podróży nie przeraża przepakowany wagon. Chodzą więc tam i z powrotem w poszukiwaniu miejsca. I tak walizka kursuje z przedziału na korytarz i z korytarza do przedziału, dzięki sile mięśni młodzieńca zza wielkiej wody. Kiedy docieramy do Włoszczowej, Amerykanie wracają do przedziału. Okazuje się, że to ojciec i syn. Przyjechali zobaczyć kraj pradziadka, który wyjechał swego czasu z Poznania do USA. Turyści pochodzą z małej miejscowości na terenach farmerskich, więc Polska oglądana z okna pociągu nie wydaje im się obca a raczej podobna do rodzinnych stron. Okazuje się również, że przypadkowo zakupili mapę w języku hiszpańskim, której właściwie nie rozumieją, choć Ameryka językiem hiszpańskim stoi. Jest więc w tych dwóch zagubionych w polskich realiach turystach coś ujmującego, nawet ich konstatające każdą myśl „OK”.

Bez końca

Kraków wita nas długotrwałym wysiadaniem z pociągu. Tłum powstający na peronie powoli przemieszcza się w stronę przejścia. Każda z osób siedzących w naszym przedziale udaje się siłą rzeczy w swoją stronę. Mnie czeka jeszcze dalsza droga do Katowic. Nielatwa z powodu zbliżającego się długiego majowego weekendu.

Gdy próbuję ogarnąć mój wieloelementowy bagaż, dostrzegam porozumiewawcze spojrzenia starszego z Amerykanów. Brakuje mu młodzieńczej fascynacji, jaką emanuje syn. Wydaje się zmęczony tą sentymentalną przygodą, a przepelniony ludźmi peron nie zachęca do dalszej wędrówki, raczej do ucieczki. Wszystko wokół wydało mu się pewnie przytłaczająco obce... Znam to uczucie.

Monika Bednarczyk

III wojna światowa – scenariusz niedokończony cz. 2

Eugeniusz Januła

Desanty nie poszłyby tak dobrze, jak planowano. Z trzech wysłanych dywizji wylądować mogło przeliczeniowo najwyżej około półtora, a reszta w czasie przelotu została na pewno strącona, ponieważ – mimo że samoloty transportowe miały lecieć pod silną eskortą własnych myśliwców – maszyny NATO zestrzeliłyby co najmniej połowę maszyn transportowych. Straty w samolotach myśliwskich też byłyby poważne po obu stronach, tyle że zapewne więcej spadłoby na ziemię maszyn strony wschodniej. Po wylądowaniu spadochroniarze trafiliby na dobrze zorganizowaną i przygotowaną obronę. Natomiast nieco lepsze powodzenie mogli odnotować „Specnaziści”. Niewielkie gabarytowo samoloty Jak-40 mogły lecieć nisko nad ziemią i wielu z nich udało się przeniknąć przez obronę i dokonać desantowań. „Specnaziści” mogliby przystąpić do działań, gdyż w wielu miejscach mieli czekać na nich działający od dawna agenci z przygotowaną logistyką itp. oraz ci „turyści” i „dyplomaci”, którym udało się przetrwać. Tyle że tu mogły czekać na żołnierzy wojsk specjalnych niespodzianki – większości agentów i baz logistycznych po prostu już by nie było. Służby kontrwywiadowcze państw zachodnich działały profesjonalnie i o większości agentów i minibaz materiałowych od dawna wiedziały, a w swoim czasie musiały zareagować. Również należało się spodziewać, że będzie możliwe schwywanie sporej części grup bojowych, którymi w gruncie rzeczy byli turyści, „urzędnicy” i znaczna część dyplomatów. Oczywiście, nie mogło się to odbyć również bez strat w ludziach po stronie zachodniej, gdyż osaczeni żołnierze „Specnazu” zazwyczaj drogo sprzedawali swoje życie.

Na terenie zagłębia Ruhry wylądować miało około 160 polskich żołnierzy z batalionu specjalnego w Lublińcu. W wyszkoleniu nie ustępowali w niczym „Specnazistom”. Co prawda, w rejon działań ruszyć miało około 350 żołnierzy, lecz z góry zakładano, że znacząca część samolotów zostanie zestrzelona. Natomiast ci, którzy byli zdolni do podjęcia działań,

rozdzielali się na podstawowe 7-osobowe grupy i mieli niszczyć przede wszystkim obiekty infrastruktury gospodarczej. Wśród nich znajdowały się 4 grupy plutonurków, którym postawiono zadanie zniszczenia 11 ważnych mostów. Polacy chcieli i mieli działać w swoich mundurach, lecz pod naciskiem Rosjan kazano im na mundury polskie nałożyć mundury Bundeswehry. Polacy w odróżnieniu od radzieckich specnazistów mogli zdawać sobie sprawę ze śmiertelnych konsekwencji takiego czynu i większość zapewne po wylądowaniu zrzuciłaby obce mundury. W takim wypadku mieliby przynajmniej formalne prawa kombatanckie. Formalnie, bo przecież musieliby mieć świadomość, że żołnierzy sił specjalnych traktuje się praktycznie wszędzie także specjalnie¹.

Należało się spodziewać że radzieccy „Specnaziści”, mimo że w znacznie przewidzianej liczbie, będą działali jednak z właściwą im determinacją, połączysz siły kilku oddziałów (prawie 500 ludzi) mieli zaatakować w pierwszej kolejności instalacje łączności NATO na zachód od Bad Godesberg. Założyć należy, że dużą część z tej instalacji udało by się im zniszczyć, co spowodowałoby dotkliwą szkodę w systemie łączności NATO. Natomiast ogromne straty, jakie by przy tym ponieśli atakujący, miałyby znaczenie trzeciorzędne...

Inne grupy mogły czasowo opanować kilka mniejszych, gorzej bronionych lotnisk, lecz to też były by pyrrusowe zwycięstwa. Siły NATO dysponowały w głębi swojego obszaru operacyjnego specjalnymi siłami, których zadaniem miało być szybkie odbicie tego rodzaju obiektów, a naprawa pasów startowych i zainstalowanie nowych urządzeń nawigacyjnych miało potrwać przynajmniej 48 godzin. Wiadomo było także w NATO o planach ataków na centra polityczne i dowództwa wojskowe. Spodziewano się ataków m.in. w Paryżu, Bonn i Lizbonie, dlatego obiekty polityczne były dobrze zabezpieczone i bronione, a ponadto sztaby i gremia polityczne już co najmniej od kilkunastu dni przed hipotetycznym terminem

wybuchu działań wojennych miały pracować w przygotowywanych od dawna, zakonspirowanych kwaterach. Rosyjscy „Specnaziści”, w odróżnieniu od polskich, bez wahań mieli używać mundurów poszczególnych armii NATO. Nie miało to jednak większego znaczenia, poza chwilową konsternacją, lecz po schwyceniu w obcych mundurach sądy polowe natychmiast rozwiązywały problem – z wiadomym skutkiem. Poza „Specnazistami”, na terenie RFN miały się pojawić dywersyjne grupy NRD-owców, zarówno tych ze Stasi, jak i NAL (Narodowej Armii NRD). Niemniej liczone się z tym, że co najmniej połowa z nich ujawni się i przejdzie na stronę zachodnią.

W drugim dniu wojny, na środkowym odcinku frontu, obrońców miały wzmocnić siły francuskiego III Korpusu armijnego, a praktycznie już III Armii Polowej, Francuzi nigdy nie zasypiali gruszek w popiele i byli zawsze stosunkowo dobrze przygotowani do działań wojennych. Tempo postępu wojsk wschodnich od razu musiało poważnie zmaleć, a Francuzi sygnalizowali, że do walki w ciągu 48 godzin wejdzie kolejna I Armia Polowa. Na froncie miały także pojawić się pierwsze dwie dywizje hiszpańskie i jedna portugalska. W dowództwach NATO doskonale zdawano sobie sprawę, że przyhamowanie w tej fazie postępu wojsk II Frontu Zachodniego jest zadaniem pierwszoplanowym.

W silosach płaskowyzu Albion w Maszywie Centralnym znajdowały się na wyrzutniach 42 francuskie rakiety strategiczne średnio-dalekiego zasięgu. Bez trudu każda z nich mogła zmieść z powierzchni ziemi Moskwę lub Leningrad. Zasięg tych pocisków sięgał Uralu i Kaukazu. Ponadto, co nie było specjalną tajemnicą dla Rosjan, że Francuzi w ciągu dwóch godzin po wystrzeleniu mogli „doładować” każdy z silosów nowym pociskiem, ponieważ mieli także kolejne – rezerwowe. Te francuskie pociski były dla Rosjan bardzo dużym problemem, gdyż Francuzi mogli odpalić łącznie 84 pociski wymierzone w terytorium ZSRR bez szczególnego ryzyka oraz dalsze 64

zlokalizowane na francuskich okrętach podwodnych. Kolejne około 50 głowic przeznaczonych było do przenoszenia przez samoloty „Mirage-IV”². Następne 80 mniejszych głowic przenosiły samoloty Super Ethendart bazujące na lotniskowcach Foch i Clemensau³.

Francuzi odpalali swoje rakiety szczególnie ryzyka, bo Rosjanie nie mogli odpowiedzieć uderzeniem, które zmiażdżyłoby Francję, chociaż mieli w dyspozycji o wiele więcej pocisków i głowic niż Francja. Nawet nie o to chodziło, że przeznaczone były głównie po to, aby trzymać w szachu podobny potencjał w Stanach Zjednoczonych. Po prostu Rosjanie bez przemyślenia uderzyć i zniszczyć terytorium Francji nie mogli, ponieważ chcieli je zdobyć później i korzystać z ekonomiki i zasobów tego państwa. Zresztą nie tylko z zasobów Francji, ale całej Zachodniej Europy i wobec tego należało przejść całą infrastrukturę gospodarczą w jak najlepszym stanie, a taktyczno-operacyjne uderzenia jądrowe dokonane na samym początku pierwszej fazy wojny także miały swoje znaczące, destrukcyjne znaczenie. Rosjanie musieli być teraz bardzo wstrzeźliwi w dalszych uderzeniach jądrowych, bo na przejściu postatomowej pustyni im nie zależało. Właśnie fatalny stan ekonomiki państw Układu Warszawskiego był jedną z decydujących przesłanek rozpoczęcia wojny.

Francuzi nie mieli takich dylematów, gdyż dobrze wiedzieli, że głębokość operacyjna terytorium RFN to tylko około 300 km. Rosjanie mieli spore szanse przekroczyć Ren w 8–9 dni. Reasumując, wszystko co opóźniało, również pośrednio, postępy Układu Warszawskiego, było Francji na rękę. Jeżeliby wojska Wschodu znalazły się nad Renem, Francuzi mieli zamiar uderzyć pełną salwą strategiczną, wiedząc, że Rosjanie prawdopodobnie nie będą mogli na nią odpowiedzieć.

W sztabach ZSRR także rozważano ten problem i przywiązywano do niego dużą wagę. Pozostawało wyjście teoretycznie najprostsze: wysadzić odpowiednio silne oddziały „Specnazu”, które miałyby w szybkim tempie opanować poszczególne rakietowe silosy, a przede wszystkim zniszczyć centrum dowodzenia i koordynacji.

W czasie pokoju, obok licznych posterunków Gwardii Republikańskiej i od-

działów wartowniczych, francuskie rakiety strategiczne ochraniał pułk Legii Cudzoziemskiej o pełnym, wojennym etacie, a taka ochrona gwarantowała skuteczność. Rosjanie mieli natomiast świadomość, że w pełni skompletowany pułk legionistów w chwili wybuchu wojny musi znaleźć się niemal natychmiast na pierwszej linii frontu (co prawda, pozostawał w koszarach Legii oddział mobilizacyjno-marszowy). Ale reprezentował on niewielką w porównaniu z macierzystym pułkiem wartość bojową, tym bardziej że doszkalał i wysyłał jako uzupełnienia kolejne kontyngenty legionistów na front. W miejsce Legii miały przybyć cztery bataliony wojsk obrony terytorialnej oraz pełny batalion specjalny Gwardii Republikańskiej.

Rosjanie zamierzali wysadzić w rejonie płaskowyżu Albion 41, 42 i 44 pułki „Specnazu”, tak żeby w okolicy celu znalazło się około 950 gotowych na wszystko żołnierzy. Zakładano, że dwa razy tyle zginie w czasie transportu lotniczego oraz w czasie lądowania. Zgodnie z wypracowaną od wielu lat taktyką, ocaleni natychmiast tworzyli nowe oddziały i w walce mieli posuwać się w kierunku francuskich instalacji. Wielu z nich na pewno by zginęło, jednakże francuscy żołnierze obrony terytorialnej nie stanowili wystarczającej przeszkody i oczywiste było, że w ciągu około 1,5–2,5 godziny radzieccy komandosi mogą opanować poszczególne silosy. Dwa szwadrony szturmowych śmigłowców „Gazelle” które miały przybyć obrońcom na pomoc, opóźniłyby pochód „Specnazistów” i przysporzyłyby im dalszych strat, lecz powstrzymać ich nie mogły. Pierwsze związki pancerno-zmechanizowane mogły dotrzeć na pomoc dopiero po około 5 godzinach, bo saperzy „Specnazu” zrywali skutecznie możliwości komunikacyjne. Również brygada obrony terytorialnej podążając z kierunku południowego, musiałyby w walce torować sobie drogę do Albion, gdyż na jej drodze stanęłyby bowiem nieliczne, ale skutecznie walczące i opóźniające grupy „Specnazu”⁴.

W tej sytuacji prezydent Francji przebywający w podziemnym stanowisku dowodzenia mieszczącym się w Masywie Centralnym (około 80 km na południe od płaskowyżu Albion), musiałby podjąć decyzję, iż 42 pociski na paliwo stałe,

z których każdy niósł co najmniej 200 KT głowic, wystartowałyby. Niedługo potem z pasów startowych poderwałyby się 50 maszyn „Mirage-IV”, a każda z nich miała podczepioną głowicę o mocy 50 KT. Ze startem rakiet z atomowych okrętów na pewno by się wstrzymano. Natychmiast po starcie pierwszego rzutu rakiet na stanowiskach startowych w silosach podjęto by procedury doładowania. Musiałoby to jednak trochę potrwać, bo Francja nie miała opanowanej technologii odpalania „na zimno”, a zastąpić ją miał skomplikowany system chłodzenia i wentylacji – te czynności demaskowały jednak stanowiska startowe, ale tu już alternatywy nie było. Kolejne linie oporu francuskich żołnierzy otrzymałyby w takim wypadku rozkaz walki do końca. W bitwie o to czy Francuzi zdołają odpalić kolejną serię rakiet, mógł zacząć się rysować wyraźny kryzys, tym bardziej, że 550 żołnierzy policyjnych sił specjalnych Gwardii Republikańskiej dysponowało nie gorszym wyszkoleniem niż „Specnaz”⁵.

Tymczasem francuskie rakiety pomknęłyby na Wschód, co nie byłoby tajemnicą dla Rosjan. Były one przeznaczone nie tyle do uderzeń w cele sensu stricto wojskowe, lecz miały zniszczyć największe miasta od Mińska i Kijowa po Moskwę i Leningrad. Takie zadania stawiała francuska doktryna wojenna pozostająca niezmienną od czasów Ch. De Gaulle’a. Marszałek Iwan Pawłowski, który miał dowodzić z Legnicy grupą trzech najważniejszych frontów, czyli 1–3 na kierunku zachodnim, na pewno zażądałby od swojego szefa, marszałka Ogarkowa (który przebywał w leżącym ponad 150 m pod ziemią stanowisku dowodzenia w Samarze) natychmiastowej odpowiedzi nuklearnej. Ale Ogarkow, który przebywał tylko o piętro wyżej od całego areopagu Biura Politycznego z Leonidem Iliczem Breżniewem na czele, pewnie byłby znacznie ostrożniejszy.

CDN

1. E. Januła: *III wojna światowa...*, op. cit.

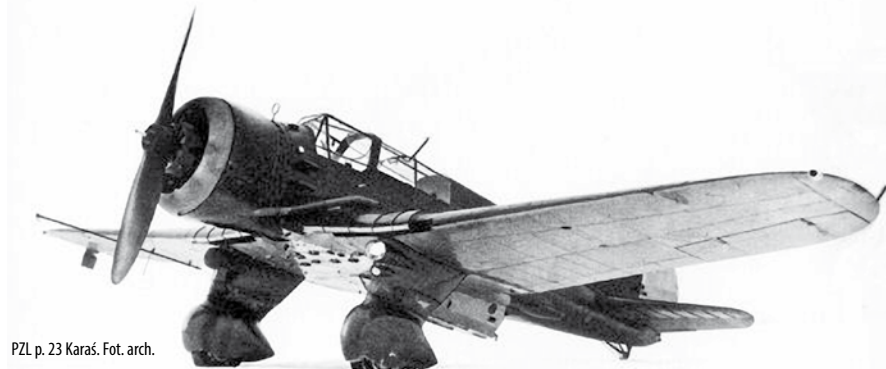
2. *Military Balance. France Weapons*. Part 3. London 1979, card 17–29.

3. E. Januła: *Ostrze Lancy – Specnaz*. „Przeгляд” nr 17/2000.

4. Ibidem.

5. E. Januła: *III wojna światowa...*, op. cit.

Lotnisko w Klimontowie



PZL p. 23 Karaś. Fot. arch.

Mało znanym epizodem II wojny światowej w Sosnowcu, a konkretnie w jego obecnej dzielnicy Klimontowie, był fakt krótkiego funkcjonowania na jego terenie polowego lotniska. Zlokalizowane było na istniejących do dzisiaj polach obok pekińskiego cmentarza. Działo od 31 sierpnia 1939 r. do 3 września tegoż roku. Stacjonował tutaj II pluton z 26 Eskadry Obserwacyjnej Armii Kraków. Dysponował on 3 samolotami obserwacyjnymi R – XIII D i jednym łącznikowym RWD – 8. Dowódcą plutonu był por. obs. Stanisław Król, który później walczył w Polskich Siłach Powietrznych w Wielkiej Brytanii. Służył m.in. w 301 Dywizjonie Bombowym „Ziemi Pomorskiej”.

Wybór Klimontowa na stacjonowanie tutaj II plutonu był nieprzypadkowy. Doskonale warunki polowe tej miejscowości w Zagłębiu Dąbrowskim zauważono już podczas tzw. kryzysu zaolziańskiego jesienią 1938 r. Na klimontowskim lotnisku stacjonowały wówczas trzy eskadry bombowe wyposażone w samoloty PZL p. 23 Karaś. Był to podstawowy lekki bombowiec lotnictwa polskiego. Maszyna wyposażona była w silnik o mocy 680 KM, który pozwalał osiągnąć maksymalną prędkość 319 km/h i pułap 7300 m. Uzbrojony był w 1 karabin maszynowy wz. 33 kal. 7,92 mm i 2 karabiny maszynowe Vickers F kal. 7,7 mm oraz zabierał 700 kg bomb (6 x 100 kg i 2 x 50 kg).

Podczas kryzysu Karasie z Klimontowa startowały nad Zaolzie celem zniszczenia stanowisk artylerii czechosłowackiej. Natomiast samoloty rozpoznawcze wykonywały loty zwiadowcze w rejonie pogranicza, a często również penetrowały dalsze obszary Republiki Czeskiej. To właśnie z tego lotniska polowego 2 października 1938 r. wystartowały maszyny do wspólnej defilady powietrznej nad Cieszynem.

Wracając do kampanii wrześniowej, wiadomo, że już wczesnym rankiem personel lotniska został postawiony w stan gotowości bojowej. Uczyniły to przelatujące w pobliżu samoloty niemieckie. Nie trzeba było długo czekać na meldunek ze sztabu Armii Kraków, którego nadaw-

cą był pplk Felician Sterba. Wkrótce też por. Stanisław Król otrzymał dyspozycje ze sztabu Grupy Operacyjnej Śląsk.

W pierwszym dniu wojny „osy” (symbolem 26 Eskadry Obserwacyjnej była osa na tle kwadratu) wykonały trzy zadania. Jako pierwsi o godz. 9 wystartowali ppor. Łapa i kpr. Duda. Lotem na niskim pułapie mieli rozpoznać lotnisko w Gliwicach i jego okolicach. Niestety w rejonie Mikołowa dostali się pod silny ostrzał z ziemi. Samolot stanął w płomieniach. Nadludzkim wysiłkiem pilot, kpr. pil. Andrzej Duda wylądował na terenach kontrolowanych przez polskie wojsko. Ranny obserwator ppor. Mieczysław Łapa trafił do szpitala w Sosnowcu, gdzie po opatunku o godz. 14 wraz z pilotem powrócili do Klimontowa.

Z ich powrotem wiąże się ciekawa historia. Otóż wzięli sobie taksówkę i zamówili kurs na lotnisko. Kierowca wiedząc, iż idą ciężkie czasy i o benzynę będzie coraz trudniej zgodził się ich zawieźć. Jako zapłatę od pasażerów i przewożony karabin maszynowy, który wymontowali z uszkodzonego samolotu, zadowolili się zatankowanym pełnym bakiem paliwa.

Pierwszą ofiarą tego dnia był ppor. pil. Zygmunt Czyżkowski. Razem z obserwatorem ppor. Janem Konikowskim wykonywali podobne zadanie, co swoi poprzednicy. Ich lot odbywał się jednak na znacznie wyższym pułapie – 1200 m. Widząc niemiecką kolumnę samochodową postanowili ją ostrzeżać. Obrona przeciwlotnicza zestrzeliła ich samolot, a obserwator dostał się do niewoli.

Zadanie rozpoznania lotniska w Gliwicach udało się dopiero trzeciej załodze. Okupione to było stratą dwóch maszyn, śmiercią jednego pilota i wzięciem do niewoli obserwatora. Jak widać, bilans był niekorzystny dla plutonu.

2 września personel Klimontowa posiadał tylko dwie maszyny zdolne do lotu: R – XIII D i RWD – 8. Sztab Armii Kraków i GO Śląsk potrzebował meldunku o kierunku poruszania się szybkich jednostek niemieckich, w tym pancernych. W rejon walk polecieli z rozpoznawczą misją dowódca plutonu Stanisław Król i kpr. pil. Józef Talała. W tym dniu startowali dwukrotnie. Za drugim razem mogło się to skończyć tragicznie, gdyż zostali mylnie ostrzelani przez własne oddziały. Mimo uszkodzonej pompy paliwowej udało im się szczęśliwie wylądować.

3 września wobec faktu zagrożenia II pluton przystąpił do ewakuacji lotniska do Balic, a następnie do Pasternika i Pobiednika. Ostatnim lotniskiem funkcjonującym od 14 do 18 września 1939 r. był Zagwóźdź. Po zniszczeniu ocalałego sprzętu personel II plutonu, poprzez Rumunię przedostał się na Zachód, gdzie nadal walczyli.

Również mieszkańcy Klimontowa złożyli daninę krwi. Kilku mieszkańców, w tym harcerzy, którzy pomagali w przygotowaniu i obsłudze lotniska, po wkroczeniu wojsk niemieckich zostało rozstrzelanych.

Henryk Kocot



RWD-8 zniszczony na lotnisku. Fot. arch.

Czwartek Literacki z Tomaszem Łubieńskim

Czwartki Literackie w Zawierciu to jedna z najważniejszych cyklicznych imprez kulturalnych w regionie. Już od ponad trzydziestu lat, z inicjatywy znanego pisarza Bogdana Dworaka, zawierciański klub Novum gości uznanych twórców i krytyków literackich oraz utalentowanych debiutantów. 13 czerwca odbyło się ostatnie spotkanie przed wakacjami, kończące sezon literacki 2012/2013. Gościem wieczoru był hr. Tomasz Łubieński – wybitny prozaik, dramaturg, eseista i tłumacz, a prywatnie bliski przyjaciel Bogdana Dworaka. Łubieński zadebiutował w 1955 r. swoją poezją w czasopiśmie „Dziś i jutro”. Publikował także między innymi w czasopismach „Twórczość”, „Współczesność”, „Res Publica” oraz w czasopismach emigracyjnych. Obecnie jest redaktorem naczelnym „Nowych Książek”. Współprowadził również telewizyjny program kulturalny *Dobre książki*.

Tomasz Łubieński posiada tytuł hrabiowski, lecz z dystansem odnosi się do swoich arystokratycznych korzeni. Jak zaznacza, jego rodzina chętniej zajmowała się działalnością w przemyśle i bankowości niż chodzeniem na polowania. Gospodarz wieczoru przedstawił więc postać Łubieńskiego z właściwym sobie poczuciem humoru, pozwalając sobie przy tej okazji na krótką analizę hi-

storyczno-socjologiczną: „Drogi Hrabio, tak się dziwnie składa, że nasza koleżanka po fachu, znakomita pisarka, córka pierwszego ministra spraw zagranicznych II RP miała komunistyczne przekonania, pokochała Związek Radziecki i napisała na życzenie wybitnego językoznawcy, Wodza Narodów (...) Józefa Stalina Manifest Lipcowy (...). Dzięki temu Manifestowi zniknęła z powierzchni Polski klasa ziemiańska i arystokratyczna. Powstała za to zwycięska klasa robotnicza – w większości z chłopów, którzy przybywali, aby odbudowywać kraj, zniszczony po II wojnie światowej. I właśnie przedstawiciel tej klasy robotniczej (...) przekroczył bramę Stoczni Gdańskiej. Zwycięska klasa robotnicza upadła, a powstałi fachowcy. I tak oto, Drogi Hrabio, jesteśmy równi, ponieważ kultura zawsze niwelowała różnice klasowe, a teraz, gdy należymy do jednej warstwy, pragniemy, aby inteligencja była powszechnym zjawiskiem, a intelektualiści nie rodzili się na kamieniach”. Bogdan Dworak przypomniał następnie o zasługach rodziny Łubieńskich dla ówczesnego Królestwa Polskiego i Zagłębia: przodek Tomasza Łubieńskiego, Henryk Łubieński był pomysłodawcą przyszłej Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej oraz założycielem Huty Bankowej w Dąbrowie Górniczej,

a jego popiersie z roku 1839 znajduje się w zasobach Muzeum Miejskiego „Sztetgarka”. Brat Henryka, Tomasz był natomiast jednym z pierwszych dyrektorów budowy kolei. Gospodarz wieczoru zdradził też co nieco z czasów wspólnej młodości obydwu literatów. Jako przyjaciele z lat studenckich brali udział w ówczesnym życiu literackim. Byli związani ze środowiskiem „Hybrydów”, ale – co potwierdził Łubieński – z umiarem korzystali z uroków artystycznego życia. Tematem przewodnim literackiej gawędy była postać Adama Mickiewicza w kontekście przypadającej na lata jego życia sytuacji politycznej i społecznej na ziemiach polskich, czemu Łubieński poświęcił książkę *M jak Mickiewicz*. Dyskusja zeszła następnie na pokrewne tematy historyczne, przy czym największe zainteresowanie słuchaczy wzbudziła kwestia Powstania Warszawskiego, o którym traktuje zbiór szkiców Łubieńskiego pt. *Ani Tryumf, ani Zgon*. Zaprezentowano także kilka wierszy z dorobku gościa.

Wieczór zwieńczyła uroczysta niespodzianka: obecny na sali starosta zawierciański Rafał Krupa w towarzystwie redaktora Andrzeja Kotuleckiego z Radia Katowice wręczył Bogdanowi Dworakowi odznaczenie Zasłużony dla Kultury Polskiej, przyznane przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Bogdana Zdrojewskiego. Wniosek o uhonorowanie Dworaka złożony został na wniosek redaktora Kotuleckiego i wiernych czytelników. Wysłuchawszy wygłoszonej przez Kotuleckiego uroczystej laudacji gospodarz spotkania powiedział: „Chyba wejść pod stół, bo jeszcze mnie nikt publicznie nie pochwalił w tym mieście, ale bardzo dziękuję. W notce o mnie zawsze było napisane, że odznaczeń brak, ale od teraz już nie będę tak wolny, jak dawniej”. Następnie, uroczyste podziękowania oraz kwiaty przekazała Dworakowi posłanka na Sejm RP Anna Nemś za pośrednictwem Agnieszki Cuprian z biura poselskiego posłanki. Literat otrzymał także piękny bukiet ręcznie wykonanych sztucznych kwiatów od czytelniczki z Włodowic.



Michał Kubara



KURIER SŁAWKOWSKI

BIULETYN SAMORZĄDOWY

„Kurier Sławkowski” jest comiesięcznym biuletynem samorządowym wydawanym od 1991 r. Jest periodykiem lokalnym o najdłuższej historii wśród prasy samorządowej powiatu będzińskiego i jedną z pierwszych wydawanych w ówczesnym województwie katowickim. Do tej pory ukazało się już 247 numerów.

Pismo zawiera informacje o działalności władz samorządowych i prezentuje kronikę wydarzeń, publikuje artykuły o tematyce społecznej i kulturalnej, popularyzuje wiedzę o historii miasta i o ludziach z nim związanych, promuje lokalną kulturę i twórczość. Kolportowane jest nie tylko w Sławkowie, ale wysyłane jest także do wielu miejsc w Polsce, w których mieszkają sławkowianie. Sprzedaż poszczególnych numerów „Kuriera Sławkowskiego” oscyluje wokół 600 egzemplarzy.

Pierwszy „Kurier Sławkowski” ukazał się w sierpniu 1991 r. i był niejako odpowiedzią nowych demokratycznych władz samorządowych Sławkowa na potrzebę komunikowania się z mieszkańcami i zaangażowania ich w sprawy społeczno-polityczne miasta. W redakcji pracowali wówczas Krzysztof Kaczmarzyk, Stanisław Kolesiński, Krzysztof Urbanowski, Paweł Kostka, Antoni Michniewski i Krzysztof Szumera. Pierwsze dwa numery pisma miały podtytuł „Biuletyn Burmistrza”, numer trzeci – „Gazeta Samorządowa”, a od numeru czwartego nosił już podtytuł „Biuletyn Samorządowy”.

Początki wydawania „Kuriera Sławkowskiego”, ze względu na ograniczone możliwości techniczne, były dosyć trudne. Nie było drukarni, folii, naświetlania i komputerów oraz programów graficznych i edytorskich. Artykuły powstawały na maszynie do pisania, a następnie odbijano je na ksero i składano do odpowiedniego formatu. Pomimo pewnych

niedociągnięć „Kurier Sławkowski” spotkał się z olbrzymim zainteresowaniem wśród mieszkańców, którzy dzięki tej gazecie mogli śledzić sprawy i problemy Sławkowa.

Przez pierwsze lata redaktorem naczelnym pisma był Henryk Drzewiecki. Później (od roku 1995) naczelną „Kuriera” była Teresa Krzewicka, a redakcję tworzyli ponadto Antoni Michniewski, Paweł Kostka, Zdzisław Prowancki, Grażyna Bierońska, Janusz Łuckoś, Janusz Mróz i Waldemar Janik. Od 2010 r. do dnia dzisiejszego redaktorem naczelnym jest Janusz Mróz, a nad szatą graficzną czuwa Anna Bednarczyk. W „Kurierze” nie pracują etatowi dziennikarze, a mimo to co miesiąc udaje się opracować 24 strony. Możliwe jest to głównie dzięki zaangażowaniu mieszkańców, instytucji, stowarzyszeń czy też jednostek organizacyjnych miasta, które co miesiąc przysyłają do redakcji nowe artykuły, informacje, relacje i sprawozdania. Każdy mieszkaniec na łamach „Kuriera Sławkowskiego” może zamieścić swój tekst, niezależnie od stopnia jego profesjonalizmu dziennikarskiego. Ten właśnie fakt stanowi między innymi o charakterze tego periodyku, który bez wątpienia współtworzy koloryt i kulturę Sławkowa.

„Kurier” jest czasopismem, które zmienia się razem z sytuacją na rynku prasowym i dostosowuje się do potrzeb oraz oczekiwań Czytelników. Zdając sobie sprawę z faktu, iż tradycyjne gazety i wydawnictwa wypierane są przez Internet i komunikację elektroniczną, redakcja wydaje jego wersję internetową, za pośrednictwem Serwisu Informacyjnego Urzędu Miasta. Kurier daje każdemu możliwość czynnego uczestnictwa w życiu społecznym i kulturalnym, i przez już 22 lata stał się częścią sławkowskiej kultury.



Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury i Sportu w Szczekocinach istnieje już od prawie 50 lat. Instytucja ma bogatą i ciekawą historię, i prowadzi różnorodną działalność, skierowaną do szerokiego kręgu odbiorców. Koncentruje się przede wszystkim na edukacji kulturalnej i wychowaniu przez sztukę. Służą temu zajęcia, podczas których wszyscy chętni mogą opanować umiejętność gry na pianinie, gitarze oraz instrumentach dętych. Zainteresowani śpiewem mają możliwość rozwijania swojego talentu dzięki lekcjom wokalu. Dużym zainteresowaniem zarówno dzieci, młodzieży, jak i doro-

Fot. U. Pytlarska



ślých cieszą się zajęcia taneczne oraz ćwiczenia aerobiku. Chętnie odwiedzana jest pracownia plastyczna. Wśród jej wychowanków są absolwenci szkół plastycznych, w tym Akademii Sztuk Pięknych. Twórczość nieprofesjonalnych artystów plastyków promowana jest poprzez wernisaże, które organizowane są także poza granicami miasta i gminy. Liczne konkursy i przeglądy skierowane do dzieci i młodzieży dają możliwość sprawdzenia swoich artystycznych umiejętności. Co roku w czasie wakacji organizowana jest, cieszącą się dużą popularnością, akcja „Lato w Mieście”.

MGOKiS prowadzi także działalność wydawniczą, której podstawowym celem jest promocja „Małej Ojczyzny” ze szczególnym uwzględnieniem jej historii. Już od 21 lat ośrodek wydaje lokalny miesięcznik społeczno-kulturalny

„Echo Szczekocin”. To jedna z najstarszych i najdłużej wydawanych gazet lokalnych w kraju.

Ważnym elementem działalności jest współpraca i wspieranie licznych organizacji pozarządowych funkcjonujących na terenie miasta i gminy Szczekociny, ze szczególnym uwzględnieniem Kół Gospodyń Wiejskich.

Wśród najważniejszych imprez cyklicznych organizowanych przez MGO-KiS należy wymienić „Regionalny Przegląd Zespołów Ludowych, Kapel i Śpiewaków” oraz „Jarmark Twórców Ludowych i Rękodzielnictwa”. Impreza ta odbywa się nieprzerwanie od piętnastu lat i corocznie gromadzi kilkuset wykonawców. O renomie tego festiwalu świadczy fakt, że jego zwycięzcy zostają zakwalifikowani do udziału w „Ogólnopolskim Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu nad Wisłą”.

Fot. U. Pytlarska



Od dwóch lat instytucja prowadzi także działalność w placówce pozamiejscowej we wsi Starzyny. Także od dwóch lat decyzją Rady Miasta i Gminy Szczekociny do zadań ośrodka należy też działalność w zakresie sportu i rekreacji – wspierana jest działalność istniejących na terenie gminy klubów sportowych, instytucja dbać także o gminną infrastrukturę sportową. W lipcu tego roku oddano do użytku siłownię zewnętrzną. Część środków finansowych na jej budowę została pozyskana z funduszy Unii Europejskiej.

s.p.b.

Stowarzyszenie Przyjaciół Harcerstwa i Skautów Skauting Jurajski



Jurajscy skauci – reaktywacja!

Pomysł ponownego zainicjowania działalności harcerstwa na terenie Włodowic powstał z inicjatywy Marii Utrackiej, Doroty Wnuk i Stanisława Ibka, pod przewodnictwem



głównego założyciela, ks. Jacka Reczka, proboszcza parafii św. Bartłomieja we Włodowicach. Zrodził się zimą 2010 r., a wraz z pierwszymi oznakami wiosny, 26 marca 2011 r. odbyła się pierwsza zbiórka skautingu. Dzieci i młodzież w wieku od 9 lat nie trzeba było długo zachęcać do udziału w przygodzie, jaka właśnie się rozpoczynała. Na pierwsze spotkanie przybyło 86 chętnych w różnym wieku.

Skauting Jurajski jest inicjatywą wzorowaną na ruchu harcerskim, tzn. opiera się na służbie innym oraz pracy nad sobą. W nawiązaniu do pierwotnej idei skautingu, skauci pragną

działać odwołując się do wartości chrześcijańskich i patriotycznych. Inicjatywa otwarta jest dla każdego, kto zechce zaangażować się w pracę na rzecz młodego pokolenia.

Obecnie drużyna liczy 50 osób, są to dzieci ze szkoły podstawowej oraz grupa młodzieży gimnazjalnej i ponadgimnazjalnej. Młodzież pełni funkcje zastępowych i przybocznych. Stowarzyszenie Skauting Jurajski daje młodzieży z gminy Włodowice wiele możliwości



ciekawego spędzania wolnego czasu. Zbiórki odbywają się w każdą sobotę od godz. 15 do 17 na terenie harcówki, dawnej wikaryjki, znajdującej się przy kościele św. Bartłomieja. Każdy z zastępów skautów podczas zbiórki wykonuje zadania, które nie tylko integrują młodzież, ale również pozwalają zdobywać różnorakie sprawności i stopnie. Skauci wspólnie gotują, budują, szyją proporce, strzelają z łuku i grają w gry terenowe, jeżdżą na liczne biwaki, obozy oraz spływy kajakowe. Sprzyja temu bardzo teren Jury Krakowsko-Częstochowskiej, ale poznają również inne piękne zakątki Polski, np. Mazury, Beskidy czy Roztocze. Uczestniczą w różnych akcjach organizowanych na terenie gminy.

Tekt i fot. Dorota Wnuk



V Jarmark Rzemiosła i Rękodzieła

W Muzeum Zagłębia w Będzinie ostatnia niedziela czerwcowa tradycyjnie przeznaczona była dla miłośników i twórców wyrobów hand made. Pomimo zachmurzonego nieba Park przy Pałacu Mieroszewskich od godzin przedpołudniowych aż do wieczora tętnił życiem. Na kolorowych kramach i straganach wytwór-



cy, rzemieślnicy, rękodzielnicy i artyści prezentowali swoje wyroby, prócz tego przygotowano warsztaty plecionkarskie, garncarskie, bibułkarskie, z technik mozaiki i decupage.

Przez cały dzień na scenie prezentowały się zespoły folklorystyczne i kapele ludowe: reprezentacyjny Zespół Pieśni i Tańca „Zawiercie”, zespoły folklorystyczne „Tęcza” z Bzowa, „Nasz Gródków” z Psar, Zespół Pieśni Ziemi Będzińskiej oraz zespół „Brzękowanie”. Na estradzie pojawili się wykonawcy muzyki folkowej zarówno opartej na rodzimym folklorze (zespół folkowy HAWOK ze Stalowej Woli), jak i wzorowanej na muzyce z południa Europy (Balkan Sevdah Akustik z Warszawy).

W samo południe w Pałacu Mieroszewskich otworzono dwie ekspozycje: wysta-

wę fotografii Roberta Garstki „Świat obok nas. Tradycje i obrzędy województwa śląskiego”, a także wybór prac konkursowych z lat 2009–2012 „O złoty cyganek”. Goście odwiedzający tegoroczny jarmark mogli również zapoznać się z prezentowaną w parkowej alei wystawą planszową pt. „Kapliczki Zawiercia” udostępnioną przez Urząd Miejski w Zawierciu.

Jak co roku, organizatorzy nagrodzili wystawców ubiegających się o statuetkę „Złotego cyganka” (*cyganek: nożyk, kozik*). Nagroda Grand Prix powędrowała w ręce Henryka Stanieczko z Istebnej za bransoletę „Złoty Groń”, miejsce I zajął Grzegorz Pietrowski za pracę „Anioł”, II miejsce przypadło Katarzynie Wojnar za ręcznie szyte maskotki „Miś Amadeo z psem Morusem”, a trzecia nagroda trafiła w ręce Małgorzaty Namysłowskiej-Antkiewicz za ceramikę zatytułowaną „W zaroślach”.

Z okazji piątej edycji „Jarmarku Rzemiosła i Rękodzieła” specjalne, ręcznie wykonane statuetki otrzymali wieloletni sponsorzy i partnerzy imprezy: Urząd Miejski w Będzinie, Starostwo Powiatowe w Będzinie, Urząd Miejski w Sosnowcu, Ośrodek Kultury w Będzinie, Śląska Organizacja Turystyczna w Katowicach, Klub Absolwenta MZS nr 1 w Będzinie, PKM Sosnowiec, PTHU „Interpromex”, Elektrociepłownia Będzin oraz Bank Spółdzielczy w Będzinie.

Dobrawa Skonieczna-Gawlik

Fot. B. Gawlik



Art Passion Festival. Nie dyplomy się liczą, a talent i poświęcenie



W środę 26 czerwca w hali targowej Expo-Silesia odbyło się wielkie otwarcie I Międzynarodowego Zagłębiowskiego Festiwalu Sztuki Nieprofesjonalnej „Art Passion Festival”. Organizowane przez Stowarzyszenie Twórców Kultury Zagłębia wydarzenie spotkało się z dużym uznaniem odwiedzających oraz artystów.

Udział w wystawie wzięło ponad 100 artystów, którzy łącznie zaprezentowali przeszło 300 prac, podzielonych na cztery kategorie – malarstwo, fotografia, rzeźba oraz haft artystyczny. Najwięcej dzieł – nieco powyżej 200 – zostało zgłoszonych w tej pierwszej kategorii.

– Festiwal spotkał się z bardzo dobrym odbiorem, dostaliśmy wiele pozytywnych sygnałów ze strony uczestników – mówi Teresa Orłowska, prezes Stowarzyszenia Twórców Kultury Zagłębia. – Organizacyjnie wszystko udało nam się dopiąć do ostatni guzik, a poziom prezentowanych prac był naprawdę wysoki. Szczególnie cieszy, że udział w Art Passion Festival wzięły osoby z całej Polski, a nawet z zagranicy.

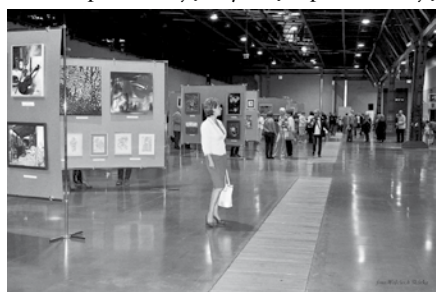
W każdej kategorii przyznane zostało Grand Prix. Nagrody otrzymali: w kategorii malarstwo: Jolanta Placzyńska za „Prowansję”; w kategorii haft artystyczny: Halina Kwiatkowska za „Mnóstwo maków”; w kategorii fotografia artystyczna: Olga Dudek za „Ptaki”; w kategorii rzeźba: Grzegorz Jaros za „Chrystusa”.

– To wyróżnienie było dla mnie bardzo miłym zaskoczeniem, jestem niezwykle zado-

wolona – mówi Jolanta Placzyńska. – Tworzę od wielu lat, malarstwo zawsze było dla mnie prawdziwą pasją, odskocznią od życia codziennego, ale dopiero od niedawna, tak naprawdę od kiedy wstąpiłam do Stowarzyszenia, zaczęłam wystawiać swoje prace. Tego typu wydarzeń powinno być zdecydowanie więcej. Poza możliwością pokazania się dają szansę na spotkanie szalenie interesujących ludzi.

Wyboru nagrodzonych prac dokonało jury, któremu przewodniczył kurator festiwalu, profesor Janusz Karbowniczek. Jak przyznał, decyzja o tym, która praca powinna zostać wyróżniona nagrodą była bardzo trudna i wymagała wielu kompromisów.

– Ocena współczesnej sztuki jest wyjątkowo skomplikowana. Artyści niejednokrotnie przesuwają, czy wręcz przekraczają



Fot. W. Skórka

granice tej dziedziny – komentuje profesor Karbowniczek. – Tym, co według mnie definiuje artystę, jest świadomy wybór własnej drogi, na której najtrudniejszym pytaniem, jest pytanie o sens – po co się to robi. Ludzie, którzy tworzą sztukę nieprofesjonalną, robią to z niesamowitą pasją i poświęceniem, której my, zawodowcy, nieraz bardzo im zazdrościmy.

Również wystawiający swoje dzieła twórcy chwalili poziom artystyczny festiwalu. – Był bardzo wysoki – przyznaje Jolanta Placzyńska. – Prac było dużo, były bardzo zróżnicowane, ciekawe i tworzone z duszą oraz ogromnym zaangażowaniem.

– Chcielibyśmy organizować Art Passion Festival cyklicznie, przynajmniej co dwa lata – mówi Teresa Orłowska. – Koszty są bardzo wysokie, ale jeśli uda nam się otrzymać na ten cel dotację, na pewno się tego podejmemy. Zagłębiowskie władze popierają tę inicjatywę, myślę więc, że szanse są duże. Chcemy, aby festiwal stał się wizytówką Zagłębia.

Prezentowane na wystawie prace trafią teraz do zagłębiowskich muzeów, gdzie będzie można je obejrzeć do końca lipca.

Krzysztof Macha

Krakusi nad Brynicą – relacja z wystawy

18 czerwca 2013 r. w budynku Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie przy al. Armii Krajowej 36a otwarto wystawę poświęconą przemysłowej elicie Zagłębia Dąbrowskiego – Skarbińskim. W uroczystości uczestniczyli: dyrektor Instytutu Historii dr hab.



Dorota Starościak

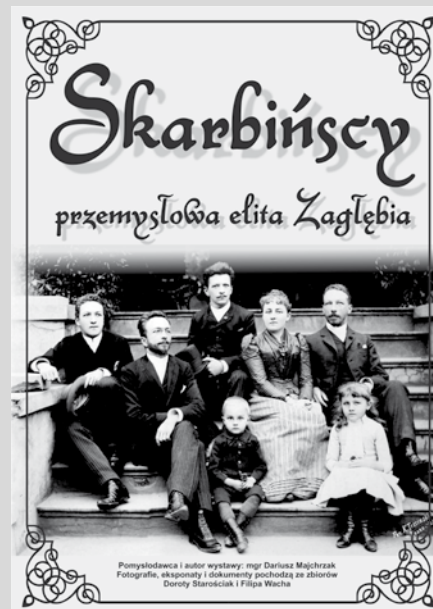
prof. AJD Marceli Antoniewicz, prof. dr hab. Tadeusz Srogosz oraz pracownicy, doktoranci i studenci Akademii. Wydarzenie to zaszczyliła swoją obecnością prawniczka Stanisława Skarbińskiego seniora – dr inż. Dorota Starościak. Członkowie rodziny Skarbińskich pochodzący z Krakowa, w drugiej połowie XIX wieku związali się z Zagłębiem i tutaj postanowili nie tylko prowadzić swoje interesy, ale także się osiedlić. Najwybitniejszym przedstawicielem tego rodu był niewątpliwie wspomniany Stanisław Skarbiński senior (1856–1925) – przemysłowiec i społecznik. Był on m.in. współtwórcą i pierwszym dyrektorem Grodzieckiego Towarzystwa Kopalń Węgla i Zakładów Przemysłowych oraz jednym z założycieli Akademii Górniczej w Krakowie (obecnie AGH). Na wystawie znalazły się archiwalia pochodzące ze zbiorów dr inż. D. Starościak oraz Filipa Wacha. Graficzna

oprawa wystawy to efekt talentu Anny Badowskiej. Znajdujące się na wystawie zdjęcia, dokumenty, mapy oraz papiery wartościowe ukazują nie tylko



historię Skarbińskich i rodzin z nimi związanych, ale także dzieje grodzieckiego przemysłu, któremu zapewnili oni rozwój i wieloletni okres prosperity. Wystawa potrwa do 12 lipca. We wrześniu będzie ją można obejrzeć w filii Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Będzinie – Grodźcu, a od października w Wyższej Szkole Biznesu w Dąbrowie Górniczej. Autor wystawy (Dariusz Majchrzak) pragnie serdecznie podziękować Dianie Wawender, Barbarze Szymczyk oraz Marzenie Formie za pomoc przy instalacji wystawy.

Dariusz Majchrzak



Zagłębiowskie rody

Gdy w kwietniu lub maju tego roku od młodego zagłębiowskiego historyka Dariusza Majchrzaka usłyszałam propozycję, aby na terenie Akademii Jana Długosza w Częstochowie zorganizować wystawę poświęconą rodzinie Skarbińskich, uznałam ten pomysł za wymieniony i z radością udostępniłam posiadane archiwalia. Pan Majchrzak przygotował ciekawy scenariusz i interesująco pokazał losy czterech przedstawicieli rodu, zawodowo i rodzinnie związanych z Grodźcem. Wiem od autora, że we wrześniu wystawa będzie prezentowana w grodzieckiej bibliotece, a w październiku w Wyższej Szkole Biznesu w Dąbrowie Górniczej.

Jest mi tym milej, że ponieważ wspomniana wystawa stanowi zwia-
stun książki, którą właśnie przekaza-
łam do wydawnictwa. Pozwalam so-
bie przytoczyć fragment jej wstępu:
„Moje pierwsze wspomnienia z odległego dzieciństwa to wielka brązowa teka z dokumentami i album pełen fotografii rodzinnych, oprawiony w ciemno zieloną skórę. Gdy Mama była zajęta i chciała przez jakiś czas mieć spokój, sadzała mnie na podłodze i pozwalała oglądać owe archiwalia. Mogłam się nimi zajmować godzinami. W naszym skromnym, mieszkaniu były one – obok obrazu śpiącej kobiety Juliana Chmielewskiego i góralskiego obrazka malowanego na szkło, autorstwa Jana Gąsienicy Szostaka, jedynym wspomnieniem grodzieckiej przeszłości.

Prababcia Izabella zmarła w styczniu 1955 roku i zapewne dlatego Mama nie zabrała mnie na pogrzeb. Gdzieś głęboko tkwiło w podświadomości przeświadczenie, że pogrzeb odbył się w Grodźcu. Gdy po przejściu na emeryturę zaczęłam zajmować się historią rodziny, postanowiłam odnaleźć grób prababci. W roku 2008 udaliśmy się z mężem do Grodźca i spędziliśmy ponad dwie godziny na miejscowym cmentarzu. Niestety, mimo pomocy kilku miejscowych pań, które widząc nasze zagubienie włączyły się w poszukiwania, grobu nie odnaleźliśmy. Po powrocie do domu napisałam do miejscowego proboszcza z prośbą o pomoc, ale nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. I dopiero wiosną roku 2009, zu-

pełnie przypadkowo natknęłam się na książkę Bolesława Ciepieli „Encyklopedia Grodźca”, w której zamieścił notkę o moim pradziadku Stanisławie Skarbińskim seniorze. Potem trafiłam na kolejne publikacje B. Ciepieli. W końcu udało mi się dotrzeć do autora i umówiliśmy się na spotkanie podczas naszej urlopowej podróży po Polsce. Wspominałam w rozmowie telefonicznej, że poszukuję grobu prababci Izabelli Skarbińskiej. I ku mojej ogromnej radości, a jednocześnie wzruszeniu, na kilka dni przed przyjazdem do Grodźca otrzymałam telefon z informacją, że dzięki pomocy znawcy dziejów Grodźca i jego mieszkańców – Jerzego Sz. Wieczorka, udało się odnaleźć poszukiwany grób. Na początku sierpnia 2009 roku przyjechałam do Grodźca i w towarzystwie obydwu panów – po 54 latach od dnia jej śmierci – zapaliłam lampkę na grobie prababci Izabelli. Spacerując po cmentarzu odkryłam groby Mieczysława i Janiny Zarębskich oraz Jana i Stanisławy Pogorzelskich. Obydwie panie pamiętam doskonale z corocznych, wielkanocnych wizyt w Grodźcu. Nie natrafiłam natomiast na grób państwa Kwapiszewskich ani Jerzego Kolbe, których także spotykałam przy wielkanocnym stole wujostwa Stefanii i Stanisława juniora Skarbińskich. Najwyraźniej nie zostali pochowani w Grodźcu. Dopiero rok później, dzięki poszukiwaniom będzińskiego historyka Dariusza Majchrzaka, mogłam zapalić świeczkę na grobie Małgorzaty i Włodzimierza Kwapiszewskich, pochowanych na sosnowieckiej nekropolii.

Pradziadek Stanisław Skarbiński, jego brat Jakub Marian i syn Stanisław junior związani byli zawodowo z Zagłębiem Dąbrowskim, a konkretnie z cementownią i kopalniami węgla kamiennego w Grodźcu. Losy zawodowe, ale także rodzinne i przyjacielskie wiązały rodzinę Skarbińskich ze Stypułkowskimi (Edward Stypułkowski, mąż córki Stanisława Skarbińskiego seniora – Jadwigi był moim dziadkiem), Karszami (Stanisław Karsz i Stanisław Skarbiński junior byli szwagrami), Pogorzelskimi (Zofia z Pogorzelskich Karszowa i Stefania z Pogorzelskich Skarbińska były siostrami), Schönami (pasierbica Stanisława Skarbińskiego juniora Elżbieta Cichowska wyszła za mąż za Aleksandra Schöna)

i Zarębskimi (córka Janiny i Mieczysława Zarębskich Donata wyszła za mąż za Borysa Schöna, a siostra Janiny Zarębskiej Stanisława Foltańska była żoną Jana Pogorzelskiego, brata Zofii Karszowej i Stefanii Skarbińskiej).[...] Tak więc moja opowieść, która w początkowym zamyśle miała być opowieścią o Skarbińskich, z czasem stała się historią kilku zasłużonych zagłębiowskich rodzin, spokrewnionych, spowinowaconych bądź silnie przyjaźnionych ze sobą. Moja opowieść nie jest jednak wyłącznie osobista, wspomnieniowa i anegdotyczna. Od pewnego czasu staram się gromadzić wszystko, co związane jest z Grodźcem i Zagłębiem Dąbrowskim. Dysponując sporą ilością dokumentów, publikacji i materiałów źródłowych postanowiłam pokazać losy bohaterów mojej opowieści na tle rzeczywistości gospodarczo-politycznej, w jakiej przyszło im żyć i pracować”.

Książka opisuje dzieje doskonale wykształconych przemysłowców, żyjących pod zaborami, którzy wykorzystywali swoją wiedzę i umiejętności dla dobra „małej ojczyzny”, dając zatrudnienie i wsparcie socjalne miejscowej ludności, dbając o interesy polskiej kadry inżynierjno-technicznej i aktywnie działając dla dobra Niepodległej po roku 1918. Podkreśla znaczącą rolę właścicieli i kadry zarządzającej zakładami przemysłowymi dla rozwoju ekonomicznego, ale też zmian urbanistyczno-kulturowych regionu oraz warunków życia i pracy miejscowej ludności, wskazując na mechanizmy rządzące powstawaniem i rozwojem przemysłu w Zagłębiu Dąbrowskim. Podkreśla znaczącą rolę kobiet, wspierających swych mężów w ich działalności zawodowej, ale także realizujących własne pasje i aktywności filantropijne. I wreszcie, rysuje obraz dziewiętnastowiecznych rodzin, których członkowie wzajemnie się inspirowali, wspierają i pomagają w dokonywaniu wyborów życiowych.

Mam nadzieję, że zarówno wystawa, jak i moja publikacja przybliżą współczesnemu odbiorcy skomplikowane losy zagłębiowskiej inteligencji technicznej i jej udział w industrializacji tego regionu kraju.

Dorota Starościak

Tydzień Kazimierzowski w kazimierzowskim Będzinie

25 kwietnia minęła 680. rocznica koronacji Kazimierza Wielkiego na króla Polski. W 1333 r., w Krakowie, w Katedrze Królewskiej na Wawelu, arcybiskup gnieźnieński Janisław koronował 23-letniego syna Władysława Łokietka. W czasie Tygodnia Kazimierzowskiego 22–27 kwietnia stowarzyszenia i instytucje będzińskie (Stowarzyszenie Raturmy Kościół na Górcze, Towarzystwo Przyjaciół Będzina, Związek Harcerstwa Polskiego Hufiec Ziemi Będzińskiej, Stowarzyszenie Harcerskie Ziemi Będzińskiej, Muzeum Zagłębia i Miejski Zespół Szkół nr 1 oraz ogólnopolskie Stowarzyszenie Króla Kazimierza Wielkiego) przygotowały dla mieszkańców wydarzenia lokalne związane z rocznicą koronacji założyciela miasta. 5 sierpnia 1358 roku, 655 lat temu,



Fot. W. Borkowski (Foto Borkowscy)

Kazimierz Wielki nadał Będzinowi prawa miejskie.

Stowarzyszenie Raturmy Kościół na Górcze zorganizowało w kościele Świętej Trójcy mszę świętą w intencji Kazimierza Wielkiego. To on na historycznej Górcze Zamkowej w Będzinie ufundował pierwszy murowany kościół w obrębie obecnej świątyni. W czasie nabożeństwa odczytano fragment opisu koronacji króla według *Roczników, czyli Kronik sławnego Królestwa Polskiego* Jana Długosza. Po jego zakończeniu złożono wiązanki kwiatów przed obeliskiem poświęconym Kazimierzowi Wielkiemu, który w 2010 roku z okazji 700. rocznicy urodzin króla ufundowało Stowarzyszenie w ramach obchodzonego wówczas w Będzinie Roku Kazimierzowskiego. Muzeum Zagłębia

zorganizowało wykład w formie prezentacji multimedialnej wraz z warsztatami „Został Polskę drewnianą, a został murowaną. Król Kazimierz Wielki – fundator, budowniczy, reformator” dla młodzieży będzińskich szkół gimnazjalnych i średnich. Spotkanie odbyło się wprawdzie w Pałacu Mieroszewskich, drugim obiekcie Muzeum, ale zostało połączone ze zwiedzaniem zamku. Władze samorządowe Będzina upamiętniły rocznicę koronacji króla w czasie XXXVI sesji Rady Miejskiej Będzina. Głównym punktem tej części obrad była emisja filmu *Kazimierz Wielki i jego czasy*, wydanego nakładem Stowarzyszenia Króla Kazimierza Wielkiego. Społeczność Gimnazjum nr 4 im. Kazimierza Wielkiego w Miejskim Zespole Szkół nr 1 przygotowała w ramach święta patrona prezentację multimedialną, inscenizację historyczną oraz wystawę plastyczną. Związek Harcerstwa Polskiego Hufiec Ziemi Będzińskiej im. Króla Kazimierza Wielkiego i Stowarzyszenie Harcerskie Ziemi Będzińskiej przygotowały dla młodzieży szkolnej „Będziński spacer z Królem Kazimierzem Wielkim”. Spacer ten zaczął się z dwóch miejsc: z Placu Bohaterów Getta Będzińskiego oraz przed Zamku Piastowskiego. Na zaproszenie Stowarzyszenia Króla Kazimierza Wielkiego prof. dr hab. Antoni Barciak z Uniwersytetu Śląskiego wystąpił z wykładem *Kazimierz Wielki i jego czasy*, a dr Zdzisław Jan Zasada, sekretarz generalny stowarzyszenia z prezentacją multimedialną o stowarzyszeniu. Spotkanie to poprzedziło pierwsze posiedzenie Kapituły Odznaczeń Stowarzyszenia Króla Kazimierza Wielkiego.

Z rocznicą wiąże się publikacja dwóch książek o Kazimierzu Wielkim. Stowarzyszenie Raturmy Kościół na Górcze patronowało samodzielnemu wydaniu rapsodu Stanisława Wyspiańskiego *Kazimierz Wielki*. Jego wydawcą jest Sławomir Brodziński, radny Rady Miejskiej Będzina, a mecenasem Przedsiębiorstwo Komunikacji Miejskiej Sp. z o.o. w Sosnowcu. Natomiast Towarzystwo Przyjaciół Będzina wydało książkę Jarosława Krajniewskiego *Kazimierz nad Przemszą*, opowieść o życiu króla i jego związkach z Będzinem.

Sławomir Brodziński

Gmina Psary ma 40 lat



Gmina Psary jest jedną z najmłodszych gmin w woj. śląskim, a także najmniejszą pod względem zajmowanego terenu – jej powierzchnia to 45,98 km² (4598 ha). Należy do powiatu będzińskiego, utworzonego po raz drugi w 1999 r. (po raz pierwszy w 1867 r.). Psary to kolebka górnictwa węglowego w Zagłębiu Dąbrowskim. Tutaj na pograniczu dwóch sąsiednich miejscowości: Psar i Strzyżowic uruchomiono w 1788 r. kopalnię węgla „Tadeusz”, która po przejęciu przez władze pruskie w 1797 r. otrzymała nazwę „Hoym”. Na archiwalnej mapie Jana Hempla z 1856 r. istnieje tzw. Zagłębie Strzyżowskie z usytuowaniem wspomnianej kopalni „Tadeusz”.

W skład gminy wchodzi 10 sołectw, są to: Brzękowice, Dąbie, Gołusza Górna, Góra Siewierska, Gródków, Malinowice, Preczów, Psary, Sarnów, Strzyżowice. Jest to gmina górnicza, dlatego w jej herbie pojawiają się godła górnicze: pyryk i młot. Herb został opracowany przez heraldyków w 25-lecie gminy. W pięciu miejscowościach gminy (Gródków, Malinowice, Psary, Strzyżowice, Sarnów) prowadzono eksploatację węgla (kopalnie i biedaszyby), a w Górcze Siewierskiej eksploatowano rudę żelaza. Na 35-lecie gminy wydano folder okolicznościowy, odbyły się liczne imprezy na stadionie sportowym w Psarach.

Na 40-lecie gminy Psary przygotowano obszerną monografię sołectwa tej gminy, miejscowości Preczów: „Preczów dawniej i dziś. Historia miejscowości”. Publikacja liczy 250 stron, zawiera ponad 100 ilustracji archiwalnych i współczesnych, a także kilka zestawień i map, ma rekomendację Śląskiego Centrum Dziedzictwa Kulturowego w Katowicach.

Należy wspomnieć, że władzę w gminie w roku jubileuszu sprawują: wójt Tomasz Sadłoń i przewodniczący Rady Gminy Jacency Kubica. Gmina wydaje własną gazetę samorządową pn. „Głos Gminy Psary”.

Bolesław Ciepiela

Zimnowojenna lekcja historii w Będzinie

Przy ul. 11 Listopada 5 w Będzinie, znajduje się schron przeciwatomowy, który dopiero od niedawna jest udostępniony dla zwiedzających. Przez wiele lat był pod kluczem. Jedynie garstka osób wiedziała, jak wygląda i co znajduje się w jego wnętrzu. Obecnie jest to miejsce, gdzie mieszkańcy Zagłębia Dąbrowskiego i Górnego Śląska mogą odbyć niezwykłą podróż po okresie zwanym w historii zimną wojną.

Będziński schron jest największym tego typu obiektem i pierwszym o takim przeznaczeniu, którym opiekuje się Stowarzyszenie Na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium”. Jest to ogólnopolska organizacja powstała w 2001 r. Jej siedzibą jest obecnie Bytom. Za cel postawiła sobie ratowanie zabytków architektury militarnej, a także promowanie wśród społeczeństwa w ciekawej formie problematyki fortyfikacji. Stowarzyszenie stara się oddziaływać na świadomość społeczną m.in. poprzez: udostępnianie izb muzealnych, organizację inscenizacji historycznych, udział w konferencjach naukowych, a także publikację książek o tematyce historycznej. W „Pro Fortalicium” jako jego sekcje, działają również grupy rekonstrukcji historycznej: Grupa Operacyjna „Śląsk” odtwarzająca jednostki stacjonujące na Górnym Śląsku i Zagłębiu Dąbrowskim w okresie międzywojennym, GRH „Karpaty” skupiająca się przede wszystkim na podtrzymaniu pamięci i tradycji Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich oraz „Die Kampfgruppe Hoffmeyer” odtwarzająca jednostki niemieckie. Stowarzyszenie współpracuje również z innymi organizacjami pozarządowymi, placówkami szkolnymi, instytucjami oraz jednostkami samorządu terytorialnego. Prezesem Stowarzyszenia jest Dariusz Pietrucha.

Powstanie będzińskiego schronu przypada na drugą połowę lat 50. XX wieku. Gmach Liceum Ogólnokształcącego im. C. K. Norwida stanowiąc przed wszystkim formę kamuflażu dla schronu, który znajduje się pod budynkiem szkoły. Pod liceum funkcjonował jeszcze jeden schron. Ten jednak obiekt był przeznaczony najprawdopodobniej dla uczniów i pracowników szkoły. Oba schrony nie są ze sobą w żaden sposób połączone.

Początkowo pieczę nad obiektem sztabowym sprawowała terenowa obrona przeciwlotnicza, a następnie powszechna samoobrona. Po pewnym czasie zastąpiła ją obrona cywilna. W 2006 r. schron przejęła szkoła. Będziński obiekt był centrum dowodzenia, na wypadek wojny, w tym także konfliktu atomowego. Schron umożliwiał pracę sztabu kryzysowego i koordynację działań pod-



ległych mu służb. Wyposażenie i przeznaczenie obiektu świadczy o tym, iż miał być on samowystarczalny. Schron posiadał także łączność telefoniczną nie tylko z przedstawicielami ówczesnej władzy ale również z ważnymi dla miasta i kraju zakładami, m.in. z pobliską hutą.

Obecnie znajduje się tam izba muzealna, którą opiekują się członkowie Koła Terenowego „Zagłębie Dąbrowskie” Stowarzyszenia „Pro Fortalicium”. Wspomniane koło powstało w 2010 r. Wówczas też dzięki porozumieniu z władzami Starostwa Powiatowego i Liceum Ogólnokształcącego im. C. K. Norwida w Będzinie, podjęto się zaadoptowania tu-tejszego schronu dla potrzeb zwiedzających. Członkowie stowarzyszenia przeprowadzili niezbędne prace porządkowe w obiekcie, a także doposażyli go w eksponaty z epoki, które stanowią uzupełnienie oryginalnego wyposażenia. Otwarcie schronu miało miejsce w 2011 r. Koło terenowe „Zagłębie Dąbrowskie” skupia się przede wszystkim na okresie tzw. zimnej wojny i tej tematyce poświęca tworzone w będzińskim schronie ekspozycje. Poprzez kontakt z żywą historią przybliżyła zwiedzającym czasy rywalizacji Układu Warszawskiego z Paktem Północnoatlantyckim. Organizując w schronie izbę muzealną, członkom Stowarzyszenia przy-

świecała także idea promocji wiedzy o historii miasta i regionu. Będzińskie Koło Terenowe Stowarzyszenia „Pro Fortalicium” jest drugim po kole „Dobieszowice”, które powstało i działa na terenie powiatu będzińskiego i Zagłębia Dąbrowskiego.

Zwiedzający w będzińskim schronie w ponad dwudziestu salach mają możliwość zobaczyć m.in.: oryginalne wyposażenie schronu (komora dekontaminacyjna, urządzenie filtrowentylacyjne, agregat prądotwórczy, centrale telefoniczne, oryginalna instalacja elektryczna i grzewcza oraz sanitarna), przykłady indywidualnych i zbiorowych środków ochrony (maski przeciwgazowe typu: MC-1, OM-14, MUA (SzM41M), SR-1, PRW-U, IP-5, MP-4 oraz kombinezony przeciwchemiczne typu: L-1, L-2, OP-1), pojemnik ochronny dla niemowląt SON-1u, urządzenia do wykrywania i analizy skażeń (kolorymetr PK-56, przyrząd chemicznego rozpoznania PChR-54M, komplet odkazający cekaemowo-moździerzowy wz. PM-DK, rentgenometri D-08 i DP-66M, Beta-Gamma radiometr DP-11-A, radiometr komorowy RKL-60, a także w pełni sprawny technicznie sygnalizator promieniowania RS-70, zaimprovizowane punkty: medyczny i gastronomiczny, środki łączności wykorzystywane przez Ludowe Wojsko Polskie i formacje Obrony Cywilnej (m.in. telefony polowe, łącznicę wojskową, radiostację), a także ubiory przez nie używane podczas służby.

Będziński obiekt bierze co roku udział w ogólnoeuropejskiej akcji „Noc Muzeów”. Można go także zwiedzić w czasie tzw. dni otwartych, o których informacja jest umieszczana na stronie Stowarzyszenia (www.profort.org.pl). Inne niż wspomniane terminy zwiedzania schronu można ustalić telefonicznie lub poprzez e-mail z jego opiekunem, tj. przewodniczącym Koła Terenowego – Danielem Ciszowskim (tel. 502 106 088; e-mail: daniel.ciszowski@vip.interia.pl).

Obecnie trwa termomodernizacja liceum, pod którym znajduje się schron. Dlatego też ze względu na bezpieczeństwo gości obiektu został on w tym roku zamknięty do czasu zakończenia najważniejszej części prac budowlanych. Informacja o ponownym otwarciu schronu znajdzie się na stronie stowarzyszenia.

W tekście zostały wykorzystane materiały Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium”.

*Tekst i fot. Dariusz Majchrzak,
Daniel Ciszowski*

Bóbr nadal nieuchwytny

Już po raz trzeci Oficyna Wydawnicza Regiony oraz Związek Zagłębiowski zorganizowały Rodzinny Festyn Ekologiczny „Powrót bobra nad Brynicę i Przemszę”. Tym razem bóbr, od trzech lat poszukiwany listem gończym na terenie Zagłębia tropiony był w gminie Psary, a konkretnie w Preczowie 22 czerwca, w Porębie – 29 czerwca oraz w Siewierzu 5–6 lipca.

Festyny mają na celu promowanie szeroko rozumianej ekologii ze szczególnym uwzględnieniem idei recyklingu, tj. odzyskania surowców wtórnych w postaci makulatury, butelek PET, opakowań szklanych, puszek aluminiowych i zużytego sprzętu elektronicznego. Każdy z uczestników festynów w poszczególnych miejscowościach, który przyniósł określoną ilość wyżej wymienionych surowców według taryfikatora organizatorów otrzymywał upominek w postaci sadzonek drzew, książek lub gadżetów.

W trakcie imprez były organizowane konkursy dla najmłodszych. Zwycięzcy zostali nagrodzeni wydawnictwami albumowymi oraz sprzętem sportowym. Podczas festynów przedstawiciele Zespołu Parków Krajobrazowych Województwa Śląskiego z Ośrodka Edukacyjno-Naukowego w Smoleniu w cyklu pogadek przybliżyli uczestnikom walory przyrodnicze Zagłębia. Plenerowe tropienie bobra umiliły występy wokalne Artura Topolskiego oraz Mariusza Kalagi, który chociaż nie był obecny wspierał poszukiwania tego sympatycznego gryzonia swoimi przebojami. Festyny honorowym patronatem objęli władarze poszczególnych samorządów: w Preczowie wójt Tomasz Sadłoń, w Porębie burmistrz Marek Śliwa, w Siewierzu burmistrz Zdzisław Banyś, starosta będziński Zdzisław Malczewski oraz starosta zawierciański Rafał Krupa. Imprezy

wspierali: Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach (główny sponsor), Nadleśnictwo Siewierz, Zespół Parków Krajobrazowych Województwa Śląskiego w Będzinie, Bank Ochrony Środowiska Oddział w Zawierciu. Obsługę logistyczną zagwarantowały: SPECTRUM Silesia Service Sp. z o.o., A.S.A. oraz SITA Polska Sp. z o.o.

(Koc)

Fot. arch. red.



Ranking największych podmiotów gospodarczych Zagłębia Dąbrowskiego

Procesy restrukturyzacyjne, które zachodzą od kilku lat, spowodowały systematyczne zmiany w strukturze gospodarki, a co za tym idzie Zagłębia. Zmniejszył się udział górnictwa i hutnictwa, choć w niektórych miastach nadal jest on dominujący, m.in. w Dąbrowie Górniczej, gdzie funkcjonuje i ciągle się rozwija ArcelorMittal Poland S.A. i Stalprofil S.A.

Dokonując podziału firm ze względu na wielkość, posłużono się listą 500 „Polityki” – rankingiem największych polskich firm w 2011 i 2012 roku. Jako kryterium przyjęto przychody ze sprzedaży w tysiącach złotych. Według tego podziału dominującym podmiotem gospodarczym jest wspomniany już ArcelorMittal Poland S.A., który zajął 11 miejsce na liście z 2011 roku. Grupa ArcelorMittal, która powstała w 2006 roku w wyniku fuzji największych na świecie firm stalowych: Mittal Steel i Arcelor, od lat jest wiodącym producentem stali i firmą wydobywczą.

Na liście rankingowej znalazły się również: CMC Poland Sp. z o.o. Zawiercie na 77 miejscu w 2011 roku, ze spadkiem na 90 w roku 2012. Warto zaznaczyć, że przemysł metalowy jest dobrze prosperującą branżą, przede wszystkim dzięki tej firmie.

Szczególną uwagę należy zwrócić na podmiot gospodarczy, jakim jest Grupa Magneti Marelli w Polsce, z siedzibą w Sosnowcu (123 pozycja na liście). Według „Diamentów Forbesa” zajęła ona 4 miejsce jako firma z przychodami powyżej 250 milionów złotych.

Kolejną firmą z przemysłu metalowego, która znalazła się w rankingu jest GK Cognor S.A. Poraj, która zmieniła pozycję ze 173 miejsca w 2011 roku na 183 w 2012 roku.

Największa hurtownia stali w Zagłębiu Dąbrowskim – GK Bowim S.A. zajęła 242 miejsce. Na 269 miejscu uplasowała się firma Scholz Polska Sp. z o.o. w Będzinie, zajmująca się usługami (skup złomu i dostawa do hut), natomiast Brembo Poland Sp. z o.o. z Dąbrowy Górniczej zajęła 365 miejsce.

Inny obok ArcelorMittal Poland S.A. dystrybutor stali – Stalprofil S.A. wykazuje tendencję spadkową aż o 42 miejsca. W 2011 roku firma znajdowała się na 377 miejscu, a w roku 2012 na 419. W 2011 otrzymała ona wyróżnienie w postaci białego listka CSR (Corporate Social Responsibility – społeczna odpowiedzialność biznesu). Na 375 miejscu w 2011 roku znalazła się BSK Return S.A. w Zawierciu (firmie tej, podobnie jak Stalprofil S.A. z Dąbrowy Górniczej, przyznano biały listek CSR). W 2012 BSK Return S.A. w Zawierciu zajęła 443 miejsce.

Podsumowując dokonaną analizę największych podmiotów gospodarczych Zagłębia, niewątpliwie faworytem rankingu jest ArcelorMittal Poland S.A. z Dąbrowy Górniczej. Pozostałe firmy również mają ogromne znaczenie dla kształtowania poziomu gospodarki oraz w znacznym stopniu przyczyniają się do wytwarzania Produktu Krajowego Brutto.

Monika Jarczok



Przedsiębiorco, wesprzyj Rodzinę!

W Jaworznie ruszył program pn. "Jaworzniczna Rodzina Wielodzietna", którego głównym elementem jest specjalna karta uprawniająca jej posiadaczy do szeregu ulg w instytucjach publicznych i prywatnych. Już dzisiaj zachęcamy przedsiębiorców z naszego regionu, aby dołączając do projektu, zaoferowali ulgi lub rabaty - i tym samym przyczynili się do poprawy sytuacji finansowej rodzin wielodzietnych.



Posiadacze Karty będą mogli liczyć na wiele ułatwień lub zniżek. Wśród nich znajdują się m.in.

darmowe przejazdy dla rodzin wielodzietnych w weekendy, zniżka na wywóz odpadów oraz szereg ulg w różnych instytucjach miejskich.

- Chcielibyśmy, aby zakres przywilejów dla posiadaczy kart wciąż się poszerzał, również o oferty prywatne - zachęca Anna Mocała-Kalina, naczelnik Wydziału Rozwoju i Polityki Gospodarczej. - Stąd też apel do przedsiębiorców z całego regionu o włączenie się do akcji, gdyż program Karty Jaworzniczej Rodziny Wielodzietnej jest cały czas otwarty, a kolejni przedsiębiorcy oraz instytucje mogą stać się uczestnikami projektu. Zależy nam na każdym rodzaju pomocy.

Dołączyć do akcji mogą prywatne przedszkola, lokale gastronomiczne, firmy z branży sportu i rekreacji, biura podróży, salony fryzjerskie, baseny, wszelkiego rodzaju sklepy oraz każda firma, która ma pomysł na wsparcie jaworzniczkich rodzin.

- Oferując zniżki na swoje produkty i usługi, poza tym, że przedsiębiorcy wesprą rodziny wielodzietne, to jednocześnie pozyskują nowych, stałych

klientów. Zaangażowanie się w tę cenną inicjatywę jest również szansą na kreowanie pozytywnego wizerunku firmy - dodaje Anna Mocała - Kalina.

Potwierdzeniem wyrażenia woli przystąpienia do programu będzie wypełnienie formularza, dostępnego na miejskiej stronie internetowej - www.jaworzno.pl i przysyłanie na adres: Wydział Rozwoju i Polityki Gospodarczej Urzędu Miejskiego w Jaworznie, Plac Górników 5, lub pocztą elektroniczną na adres: rg@um.jaworzno.pl. Kolejnym etapem będzie zawarcie porozumienia dotyczącego współpracy w ramach programu. Następnie Urząd Miejski w Jaworznie prześle materiały niezbędne do oznakowania siedziby Partnera Programu. Dodatkowo lista Partnerów zostanie zamieszczona na stronie internetowej miasta oraz w materiałach promujących Jaworzniczną Rodzinę Wielodzietną.



Więcej szczegółów o Programie
na www.jaworzno.pl

Jaworzno
źródło energii



Kocioł na biomasę w TAURON Wytwarzanie S.A. – Oddział Elektrownia Jaworzno III – Elektrownia II

W TAURON Wytwarzanie S.A. – Oddział Elektrownia Jaworzno III – Elektrownia II oddano do eksploatacji (31.12.2012 r.) nową jednostkę wytwórczą OZE zasilaną paliwem biomasowym o mocy elektrycznej 50 MW.

Podstawowe parametry techniczne:

Moc turbozespołu: **50 MW_e**
Typ kotła: **fluidalny OFz-201**
Wydajność kotła: **201 t/h**
Ciśnienie pary za kotłem: **9,7 MPa**
Temperatura pary: **510 °C**
Temperatura wody zasilającej: **210 °C**
Paliwo podstawowe: **biomasa**
Sprawność kotła: **≥ 91,5 %**

Gwarantowane emisje zanieczyszczeń gazowych w spalinach:

stężenie SO₂: **≤ 200 mg/Nm³**
stężenie NO_x: **≤ 200 mg/Nm³**
stężenie pyłu w spalinach suchych:
≤ 20 mg/Nm³



Beneficjent: TAURON Wytwarzanie S.A.

Wartość projektu: **282.470.580,00 PLN**

Wartość dofinansowania z Unii Europejskiej: **39.982.297,00 PLN**

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską
ze środków Funduszu Spójności
w ramach Programu Infrastruktura i Środowisko



UNIA EUROPEJSKA
FUNDUSZ SPÓJNOŚCI

